



5-8
1950

ŻYCIE MYŚL

5/6
1950

ŻYCIE i MYŚL

M I E S I Ę C Z N I K

I.

Aleksander Rogalski: Katolicy wobec wojny i pokoju.

II.

Listy G. Bernanosa.

III.

Jan Czekanowski: Domniemany ślad etnograficzny obrządku słowiańskiego w Słowacji.

IV.

Roman Pollak: Poezja Warszawy;

Marian Szyjkowski: Słowacki w Italii;

Przemysław Mroczkowski: Ostatnie blaski świata rycerskiego.

V.

Kazimierz Tymieniecki: Charakterystyka naukowej działalności Stanisława Smolki

VI.

Religia Balzaca — Nadzieja przeciw rozpaczcy — Przestępczość młodzieży chorobą cywilizacji współczesnej (A. R.)

VII.

Pierwszy Ogólnopolski Kongres Obrońców Pokoju:

Wezwanie Rządu polskiego do Episkopatu o diecezje na Ziemiach Zachodnich;

List otwarty pisarzy katolickich polskich do intelektualistów katolickich we Francji.

INSTYTUT ZACHODNI
POZNAŃ

~~CII - 56~~

Aleksander Rogalski

KATOLICY WOBEC WOJNY I POKOJU

1.

To, że ludzkość znajduje się w niezwykle krytycznej sytuacji, jest faktem bezspornym. Ale czy jedynie w wojnie trzeba widzieć wyjście z impasu, jedynie w wojnie — środek zdecydowanego usunięcia konfliktów, które wywołały dziś tak silne napięcie w świecie?

Zdawaloby się, że katolicy nie po rzebuja sobie w ogóle takich pytań zadawać, ponieważ Kościół zabrania uważać wojnę za remedium na zło w świecie, bo ona sama jest wielkim złem.

Tymczasem wiemy, że rzeczywistość nie przedstawia się tak prosto. Wiemy, że są katolicy, bynajmniej nie tylko z metryki, lecz nieraz szczerzy i gorliwi — co stanowi o ciężarze zagadnienia —, którzy z całą otwartością wypowiadają się za trzecią wojną, mimo świadomości, że może w skali dotąd nieznaney zmniejszyć stan liczebny ludzkości i glob nasz zamienić na puszynię i cmentarzysko. Wielu takich katolików znajduje się w Ameryce, we Włoszech, Francji, Anglii, Niemczech, nie brak ich też w Polsce.

Jesteśmy więc postawieni wobec zagadnienia, któremu musimy ze stanowiska katolickiego poświęcić dość dużą uwagę.

Bomba atomowa, twór materii — źródłem nadziei na ocalenie świata i chrześcijaństwa dla wyznawców najbardziej spirytualistycznego światopoglądu, jakim jest katolicyzm!

Czyż to nie jest cios wymierzony w samo serce katolicyzmu? Czyż to nie objaw niewiary w *credo* katolickie? Ludzie, których wiara uczy prymatu ducha nad materią, okazują się w tej najważniejszej sprawie, jaką jest dzisiaj problem pokoju, ślepymi bałwochwalcami materii. Ludzie, którzy codziennie modlą się do Boga, Ojca naszego,

i którzy codziennie niemal mają na ustach słowo „Opatrzność”, okazują się w odniesieniu do kwestii, która rozstrzyga po prostu o istnieniu lub o zagładzie ludzkości, a więc i chrześcijaństwa, najstraszliwsiymi nihilistami i ateistami: nie wierzą w Boga, nie wierzą w Opatrzność, skoro przyszłość świata pokładają tylko w bombach atomowych, znajdujących się w tajnych magazynach potentatów wojennych. Ludzie, którzy na codzień są łagodni i dobrotliwi, w wypadku gdy mowa o najbliższym losie ludzkości, ujawniają nagle najkrwawsze, najdziksze apetyty i gotowość ofiarowania na ołtarzu swej osobliwej miłości dla ludzkości choćby nawet połowy tej żyjącej ludzkości.

Katolicyzm jest między innymi także religią miłości człowieka do człowieka. Lecz ta kategoria jego wyznawców powodując się rzekomo tylko względami na dobro swej wiary, z najzupełniejszym spokojem bierze w rachubę możliwość zagłady milionów ludzi, nie traktując ich życia jako rzeczy świętej i nietykalnej.

W tym antyhumanizmie pewnej kategorii dzisiejszych katolików jest, zdaje się, pogłos nihilistycznej tradycji, idącej gdzieś od Krzyżaków i od Torquemady (a może z odleglejszej jeszcze epoki praktyk i kierunków manichejskich), tej tradycji, która była właściwie zdradą katolicyzmu, która położyła nań głębokie cienie i boleścią napelnia serce każdego prawdziwie wierzącego katolika. Kazała ona z czystym sumieniem poświęcać krocie istot ludzkich dla fałszywie skonstruowanego z nakazów wiary jakiegoś teoremu lub dla względów wręcz całkiem nieteoretycznej natury. Zwolennicy tej wielkiej wewnętrznej herezji katolickiej rozgrzeszali łatwo mord na żywych ludziach, jeśli on był dokonywany jakoby w imię wiecznego zbawienia tych ludzi. Miłość człowieka, o którym wielki artysta i wielki uczony (choć nie największy katolik) Leonardo da Vinci powiedział, że jest takim cudem, iż dla najbardziej nawet wzniosłej idei nie wolno go unicestwiać — ustąpiła u tych ludzi miejsca miłości doktryny, zresztą najzupełniej opacznie pojętej.

Za zdecydowanie sprzeczne z duchem i nauką katolicyzmu uznać mus my tedy wystąpienie wysokiego dostojnika Kościoła katolickiego w Niemczech, ks. kardynała Fringsa na zjeździe katolików w Bonn, w dniu 23 lipca 1950 r. Na zjeździe tym bowiem kardynał Frings posługując się hasłami o obronie kultury, cywilizacji i ładu Bożego wypowiedział się otwarcie za wojną potępiając „zgubny sentymentalizm i fałszywy humanitaryzm” ... o ile „istnieje prawdopodobieństwo zwycięstwa”¹⁾.

Jakże daleko odbiegł tym wystąpieniem ks. kardynał Frings od Ewangelii, od Chrystusowego nakazu miłości i dobroci człowieka dla człowieka! Jakże monstrualnie opaczną postać przybrała tu troska o dobro Kościoła, jakież rozmiary osiągnęła niewiara w słowa Zbawiciela, zapewniające Kościołowi niezwyciężalność, jak gwałtownie odrodził się nieszczęsny, inkwizytorski, nihilistyczny stosunek do życia i do ludzkości!

Wydarzenia i fakty tego rodzaju są jaskrawym przejawem zaślepienia oraz utraty równowagi duchowej w pewnych odłamach społeczności katolickiej w chwili, która najwięcej właśnie tej równowagi wymaga. Są zarazem dowodem, że walczący z kryzysem moralnym cywilizacji współczesnej katolicyzm (jako twór społeczno-kulturowy) sam wykazuje w pewnym zakresie zakażenie się bakcylami jej schorzenia.

2.

Ale istotna groźba polega na tym, że dokonuje się tu rękoma katolickimi zamach na miłość, że miłości odbiera się charakter uniwersalny, że przybiera ona wykoszlawioną postać doktrynalną, kazuistyczną i sekciarską; obejmuje tylko pewną grupę ludzi, tylko pewien typ człowieka, tylko pewien odłam ludzkości, cofa się przez to do epoki przedchrześcijańskiej, staje się faryzejską, zamienia się w przepis, paragraf, sofizm.

¹⁾ patrz Dziennik Zachodni nr 208, 1950 r.

Temu zaś niebezpieczeństwu w pewnym stopniu przeciwstawić się zdoła rozbudzane świadomości grozy, wiszącej nad światem w wypadku rozpętania wojny atomowej, tak bezmyślnie oczekiwanej przez niektórych ka. ol. ków — o znacznie jeszcze liczniejszych zwolennikach wojny atomowej wśród innow.erczych, liberalnych lub agnostycznych społeczeństw zachodnich nie będziemy tu wspominali.

Świadomość ta zaś zdoła może z kolei wywołać pożądany wstrząs moralny: sprawi on, że sparaliżowana wskutek błędu i psychozy mi ł o ś ć chrze ś jańska na nowo zacznie żyć i działać w duszach tych ka olików, których nie zdołała doszczętnie zatruć wroga chrześcijaństwu n i e n a w i ś ć.

A oto preliminaria tej terapii — spojrzenie w oblicze następujących faktów:

W dn. 6 i 9 sierpnia 1945 r. padły na Hiroszimę i Nagasaki dwie bomby atomowe. Zabiły one na miejscu 320 000 ludzi a dalsze dziesiątki tysięcy po wielotygodniowych cierpieniach. A jednocześnie zapoczątkowały one w organizmach pozostałych przy życiu mieszkańców procesy, których n szczące, wciąż wzrastające działanie skończy się dopiero z ich śmiercią. „Uczeni nie zdają sobie w pełni sprawy z możliwych skutków reakcji łańcuchowej, spowodowanej wybuchem bomb atomowych, dlatego utworzyli teraz komisję rzeczoznawców, która ma badać w ciągu najbliższych dwudziestu lat najrozszaśtsze zjawiska zachodzące w Hiroszimie” — informuje w jednym z ostatnich numerów „*New Statesman and Nation*”. „Bomba atomowa może wywołać zmiany biologiczne, których nie da się zupełnie przewidzieć — ciągnie dalej organ angielskiej Partii Pracy — Aldous Huxley dał w ostatniej swej uto.ijnej powieści obraz przyszłego społeczeństwa, w którym normalne dzieci będą rzadkością a poronienia i potworki regułą. Nie przesadził on bynajmniej. Biblijny zwrot o grzechach ojców, które mścić się będą aż do trzeciego i czwartego pokolenia — kończy tygodnik angielski — okazał się przestarzały i dzisiaj należałoby powiedzieć: aż do trzydziestego i czterdziestego”.

Dwutygodnik wiedeński „*Tagebuch*” publikując ten cytat zaopatruje go komentarzem, który również zasługuje tu na przytoczenie.

„Ażeby nie stracić wiary w ludzkość, chciałoby się przyjąć, że wynalazcy i sprawcy mordu atomowego w Hiroszynie i Nagasaki nie wiedzieli, co czynili. Do niesłychanych następstw w ich czynu, który porównywać można tylko ze zbrodnią hitlerowskich komór gazowych, dochodzą jeszcze jako rzecz dojmująco przykra ogromne cierpienia duchowe tysięcy serc dziecięcych. Najmłodsze pokolenie obydwu miast jest również pod względem duchowym przedwcześnie postarzałe, jego woła życia sparaliżowane a radość raz na zawsze zniszczona”.

I następnie „*Tagebuch*” daje za katolickim miesięcznikiem szwajcarskim „*Schweizer Monatshefte*” wyjąki z zeznań dzieci japońskich, które przeżyły eksplozję bomb atomowych w Hiroszynie i Nagasaki. Wciąż one są jeszcze w mocy grozy owych wydarzeń. Liczący dzisiaj jedenaście lat Fujio Tsuji-moło — jedno z 300 dzieci, które pozostały przy życiu spośród 1500 uczniów i uczennic szkoły powszechnej Yamazato w Nagasaki, dziecko z pewnej katolickiej rodziny japońskiej — pisał:

„Ludzie, którzy byli jeszcze przy życiu, umierali jeden po drugim jęcząc z bólów. Nazajutrz umarły moje młodsze siostry, umarła również moja matka. Byłem pewien, że ja też umrę. Wszyscy, którzy byli z nami w piwnicy, umarli... Babcia i ja siedzieliśmy w samym końcu piwnicy, wskutek czego nie przeniknęły do nas promienie. Myśmy więc jedynie pozostali przy życiu.

Dzień po dniu daremnie szukaliśmy pomiędzy wieloma zabitymi naszego ojca. Tylko niektórzy ocalili. Znosili oni drzewo na Plac Sportowy i palili zwłoki. Brat mój został tam również spalony. W moich oczach matka moja stała się popiołem. Z płonącego stosu padały z trzaskiem na ziemię rozżarzone kawałki drzewa. Ze łzami w oczach przyglądałem się ogniewi, babcia zaś moja przesuwiała w palcach ziarna różańca.

Babcia powiedziała mi, że gdy pójdę do nieba, wówczas spotkam się ze swą matką... Tak, babcia jest już stara, niedługo więc pójdzie do nieba, ale ja jestem jeszcze dzieckiem i dlatego muszę jeszcze wiele dziesiątków lat żyć, zanim się połączę z moją najukochańszą matką, zanim będę mógł się bawić z bratem i gawędzić z moimi małymi siostrzyczkami”.

Inne dziecko pisało:

„Tam gdzie niegdyś stał nasz dom, dostrzegam teraz pocerniałe mury, zwęglone belki i... biały popiół. Brata i siostry nie znaleźliśmy, tylko popiół. Wczoraj byli jeszcze zdrowi z nami, teraz są tym popiołem. Przykucnąłem nad popiołem. Padają nań moje łzy. W miejscu, gdzie one padają, powstają małe czarne otwory, wiele, wiele czarnych otworów...”.

Te dzieci japońskie rzucają nieświadomie straszliwe oskarżenie na cywilizację zachodnią, która przecież wyszła z chrześcijaństwa a doszła do zdrady chrześcijaństwa.

Przytoczmy jeszcze parę wymownych danych z raportów „*United States Strategic Bombing Survey*” i z „*Ranhattan Engineer District*” z bombardowań Hiroszimy i Nagasaki.

„Ognisty wiatr” osiągnął szybkość godzinną od 45 do 60 kilometrów w czasie dwóch lub trzech godzin, jakie nastąpiły po eksplozji. „Ognisty wiatr” i symetryczna budowa miasta sprawiły, że jego centrum wynoszące około 7 kilometrów kwadratowych zostało prawie całkowicie zniszczone przez ogień.

Na 200 lekarzy, którzy znajdowali się w Hiroszynie, jedynie tylko 30 zdolnych było do spełniania swych obowiązków po zrzucie bomby. Na 1.780 pielęgniarek zabitych lub rannych zostało 1.654. Z 45 szpitali ocalały 3.

Oficjalne japońskie statystyki podają, że na 90 000 budynków w Hiroszynie zniszczonych zostało 62.000, a 6.000 ciężko uszkodzonych.

Temperatura w Hiroszimie po zrzucie bomby atomowej osiągnęła miliony stopni centigradów. Eksplozja spowodowała prawie natychmiastowo setki pożarów, i to na odległość nawet 4 i pół kilometra. Ludzie zeznawali, że czuli gorąco na skórze w odległości 8 kilometrów.

Kobiety ciężarne znajdujące się w odległości półtora kilometra od miejsca eksplozji poroniły.

Nie potrzeba wielkiej fantazji, aby sobie wyobrazić, jaki byłby nastrój duchowy ludzi, ocalałych z ewentualnej wojny atomowej. Wydaje się pewne, że nie tylko nie odczuwaliby oni żadnej radości czy choćby tylko zadowolenia z osiągniętego pokoju, lecz byłiby jak ów 11-letni chłopczyk japoński porażeni psychozą śmierci, tym bardziej że na sumieniu swym czuli by potworne brzemie subiektywnej winy za tak straszliwe spustoszenie świata. Nie, taki „pokój” nie przyniósłby ocalałej ludzkości odrodzenia ani bujnego rozkwitu życia, lecz długą i powolną agonię, wspomaganą nadto biologicznym zwyrodnieniem, wywołanym eksplozją bomb atomowych.

Kapitan amerykański, który zrzucił bomby atomowe na dwa miasta japońskie, gdy pojął bezmiar nieszczęścia i zła, jakiego był narzędziem, wystąpił z wojska i udał się do klasztoru, by tam dokonać ekspiacji. Ale ci, którzy go wówczas wysłali ze straszliwym, ludobójczym ładunkiem, nie doznali żadnego wstrząsu moralnego, dla nich bowiem sumienie było podobnie jak i dla Hitlera tylko chimera. I dzisiaj studiują spokojnie mapę świata znacząc na niej miejsca, na które według ich planów mają paść z chwilą wybuchu trzeciej wojny światowej dziesiątki udoskonalonych bomb atomowych czy wodorowych. Czynią tak pewni poparcia moralnego nawet ze strony tysięcy tych przedziwnych chrześcijan, którzy stracili wiarę w Boga-ojca ludzkości, zastąpiwszy ją wiarą w „cud” bomby atomowej, i którzy niepomni na Chrystusowy nakaz miłości nieprzyjaciół gotowi są zaakceptować zagładę swych przeciwników a wraz z nimi milionów innych istot ludzkich...

3.

Ale istnieją jeszcze inne argumenty przeciw psychozie trzeciej wojny, które mogą posiadać znaczenie dla katolików, zwłaszcza dla typu poddającego się silnym wpływom autorytetów oraz powodującego się głównie motywami racjonalistycznymi. W tym związku przytoczymy tezy czterech artykułów ogłoszonych w katolickiej prasie włoskiej w r. 1947:

1. Trzecia wojna nie tylko nie będzie wojną ostatnią, ale jako sposób rozwiązywania konfliktów międzynarodowych okaże się równie złudna jak pierwsza i druga.

„Iluzja pierwszej wojny światowej, która miała przynieść ostateczny kres wojnie, została zniweczona przez drugą wojnę światową i jeśli już teraz znów wyłania się obawa nowej wojny, to taki sam los grozi oczekiwaniu, że trzecia wojna światowa raz na zawsze usunie wojnę z powierzchni świata. Dlatego obydwie strony muszą sobie postawić pytanie, czy trzecia wojna nie będzie zwiastunką czwartej a ta z kolei dalszym ogniwem w łańcuchu przesądu, przykuwającym ludzi do siły, której używają, ilekroć głoszą urzeczywistnienie marzenia o pokoju i prawie”.

2. Wojna nie jest nieunikniona.

„Wojna nie jest fałsz. Nigdy nim nie była... Wojna nie jest zeterminowana przez los, zwłaszcza wtedy nie, jeśli najdobitniejszym wskazaniom rozumu, doświadczenia i rzeczywistości towarzyszy wiara w Boga i oddanie się Bogu...”

„Dla tych, którzy widzą rzeczy w boskim porządku, nie ma żadnych wątpliwości, że również wśród ciężkich sprzeczności między ludzkimi i narodowymi interesami zawsze istnieje miejsce dla pokojowego wyrównania”.

3. Wojna nie jest ultima ratio, lecz nulla ratio.

„Wiele tragicznych doświadczeń zdemaskowało wojnę uważaną za ultima ratio jako nulla ratio, jako najzupełniejszy bezsens.

Wojna taka nie przyniosłaby żadnego odprężenia sytuacji, przeciwnie, tylko by ją jeszcze pogorszyła, co zdaje się być końcowym rezultatem każdej wojny... Należy bezwarunkowo zająć stanowisko przeciwko wojnie, zwłaszcza, gdy owa absurdalność w dziedzinie moralnej, politycznej i gospodarczej już dwukrotnie w okresie jednego pokolenia przyniosła gorzkie owoce, które wszyscy dzisiaj spożywamy: zwycięzcy i zwyciężeni, neutralni i prowadzący wojnę, bogaci i biedni, wielcy i mali”.

4. Nigdy jakiegokolwiek idei nie zniszczy się za pomocą wojny.

Historia uczy nas, że w „wypadku, gdy wojna ma się stać jeszcze raz walką przeciwko pewnej „idei”, wówczas nawet ewentualne zwycięstwo na polach bitew ani nie określi dokładnie postawionego celu, ani go nie pozwoli osiągnąć. Tylko na próżno zginą znowu dalsze miliony ludzi. „Idea”, jakakolwiek ona będzie... ożyje na powrót w świetle słonecznym życia cywilnego podobnie jak nasienie lub jak pęd rośliny, która kielkuje i rośnie wśród ruin, chociaż ma nad sobą tylko wąski kawałek nieba i niewiele powietrza do niej dochodzi; kielkuje i rośnie wprawdzie powoli i z trudem, lecz niemniej zawzięcie i pokrywa bogatą zielenią miejsce, które miało być jej grobem, aby w ten sposób zatryumfować w nowej formie bytu... „Idea” nie umiera, ponieważ żaden pocisk ani żadna bomba nie ugodzi na linii swego fizycznego lotu i żaden czołg na swej materialnej drodze —myśli, poglądów, pragnień i nadziei, nie mówiąc już o tym, by potrafiły je one zniszczyć...”

5. Ze stanowiska chrześcijańskiego nie da się usprawiedliwić wojny przeciwko komunizmowi.

„Jakikolwiek może być stanowisko i pogląd na komunizm, na jego ideę i działalność, jego moralność i światopogląd, jego ekonomikę i politykę dzisiejszą lub jutrzejszą, — nie można go pokonać lub przeobrazić przemocą i cierpieniem, bólem i niedolą oraz barbarzyństwem

wojny. Nie da się to usprawiedliwić ani ze stanowiska świeckiego, ani chrześcijańskiego, i to nie tylko z powodu zasad sprawiedliwości i miłości, które wieści Ewangelia wobec wszystkich bez różnicy, tak wobec przyjaciół jak i nieprzyjaciół..., ale także dlatego, ponieważ wszystkie rewolucyjne doktryny i dążenia mimo swych błędów źródło mając w nędzy wywołanej niesprawiedliwym podziałem dóbr dzięki niedoli wojennej tylko przybierają na sile". —

Prawda jest nieraz silniejsza od wypowiadających ją ludzi.

4.

Nie ulega wątpliwości, że jeśli niektórzy katolicy są zwolennikami wojny atomowej, powodowani rzekomo troską o przyszłość Kościoła i całego chrześcijaństwa, to jest nie tylko dowodem zachwiania wiary w Bożą opiekę nad światem, ale także rodzajem ucieczki od odpowiedzialności za dzieje, wybiegiem mającym usprawiedliwić i rozgrzeszyć lenistwo i bierność wobec społeczno moralnych zadań, ciężących na katolikach zawsze, a w epoce tak rozstrzygającej jak dzisiejsza szczególnie. Wynika więc z tego, że nawet gdyby ci katolicy zachowali wiarę w Opatrzność Bożą, do której się tak odwoływaliśmy w niniejszym artykule, i ona byłaby dla nich formą pasywizmu, zasłoną dymną, pozwalającą nie dostrzegać prawdziwego oblicza rzeczywistości, a przecież rzeczywistość ta, ustosunkowanie się do niej rozstrzyga nie tylko o losie doczesnym chrześcijanina, lecz także o jego losie nadprzyrodzonym. Dlatego podkreślić należy, że istnieje tylko jedno słuszne pojęcie Opatrzności, mianowicie: *gesta Dei per homines*. Przyszłość świata zależy przede wszystkim od nas, od tego, jak my ją kształtować będziemy.

Jako dalszy wniosek rozumowania tego narzuca się konieczność najdalej idącego zaangażowania się katolików w walkę z wszelkimi formami zła współczesnego, wyzysku człowieka przez człowieka, z systemami wyzysku społecznego i gospodarczego.

Do konkluzji niniejszych rozważań i przypomnień niechaj nam posłuży jeszcze jeden cytat. Otóż wydaje się, że słuszną dla katolików postawę w dobie dzisiejszej dobrze określił publicysta francuski Alain Berger w następujących słowach: „Ponieważ wiemy, że nawet zwycięska wojna może nam przynieść tylko ruiny i nędzę, nie możemy przyjąć tego wyboru. Dopóki nie padnie pierwszy wystrzał armatni i nie zostanie zrzucona pierwsza bomba atomowa, dopóty powinniśmy walczyć wciąż o pokój” („Esprit” — nr 6, r. 1950).

Nakazu zaś tego nie zdewaluował, nie zagłuszył huk dział rozlegający się na polach Korei, ani detonacje bomb tam padających. One tylko dowodzą, że walka o pokój wkroczyła w fazę dramatyczną i jej nakaz stał się tym bardziej naglący.

LISTY GEORGES'A BERNANOSA

Miesięcznik francuski „Esprit” ogłosił w sierpniowym numerze (8 — 1950) czternaście nie wydanych listów Bernanosa. Ich adresatem jest Amoroso Lima profesor filozofii, pisarz członek Akademii Brazylijskiej. Otoczył on serdeczną opieką Bernanosa, gdy ten opuścił ziemię ojczystą i osiedlił się w dalekiej Brazylii. Między obydwojema pisarzami wywiązała się przyjaźń, która nie była pozbawiona dramatycznych momentów, jak to wynika również z ich korespondencji. Redakcja „Esprit” zalicza listy Bernanosa, pisane do prof. Amoroso Lima do najważniejszych jakie nakreślił autor „Pod słońcem szatana”. Sprecyzował on tam w sposób, w jaki nie uczynił tego gdzie indziej, swoją postawę w Kościele, „postawę wielkiego buntownika, który jednak bez żadnej trudności pozostaje synem uległym”.

Z czternastu listów Bernanosa, opublikowanych przez „Esprit”, wybraliśmy dziesięć. Ogłaszamy je poniżej w przekładzie polskim — Uwaga Redakcji.

I.

26. 9. 38

Drogi Panie!

Odczuwam potrzebę napisania do Pana o tym, czego bym prawdopodobnie nie umiał Panu powiedzieć. Odczuwam potrzebę napisania do Pana, ponieważ wierzę, że zostaniemy przyjaciółmi w znaczeniu, w jakim rozumiem słowo przyjaźń — przyjaźń, która jest jednym z naszych doczesnych powołań.

Zanim Pana poznałem, odnosiłem się do Pana z wielką nieufnością, gdyż przyjaciele Jakuba (Maritana) nie zawsze są moimi przyjaciółmi — tak się już składa. Nasze pierwsze spotkanie niezupełnie rozwiało tę nieufność. Gdy opowiadał mi Pan któregoś dnia o tym towarzyszu, którego Pan stracił¹⁾, słuchałem Pana w milczeniu, a gdy podniósł oczy, zdawało mi się, że ujrzałem Pana po raz pierwszy...

¹⁾ Chodziło tu o Jacksona Figueredo, nazywanego często „brazylijskim Leonem Bloy”, o którego tragicznym zgonie opowiadał Amoroso Lima Bernanosowi (utopił on się przypadkowo w wieku lat trzydzieści sześć w oczach swego syna).

Wiem, że znaczy Pan o wiele więcej niż ja. Nie mówię tego z pokory — Bogu dzięki — lecz po to, by nie było między nami nieporozumienia. Nie byłbym tym, czym jestem, gdybym nie znał ceny i źródła promieniającej z Pana łagodności. Nie mogę nic Panu dać, czego by Pan już nie posiadał; wydaje mi się, że reprezentuję wobec Pana, że jestem wobec Pana pośrednikiem nie tych, których Pan potrzebuje, lecz tych, których Pana potrzebują.

Wszystko to wyjaśni się z czasem albo i bez niego, albo też nie wyjaśni się wcale, to jest bez znaczenia. Jest to wielką zarozumiałością w tym świecie chcieć inaczej kroczyć ku Panu Bogu niż po omacku.

Pański przyjaciel

G. Bernanos

Chciałbym, aby ten list pozostał między nami.

II.

(koniec roku 1938)

Drogi Przyjacielu!

Przyjmuję zaufanie Pańskie do mnie, jak przyjmuję wszystko, co mi dane zostało drogocennego, z nieco bolesnym zdziwieniem i niejasnym wrażeniem, czy jestem właściwym odbiorcą, czy nie zaszła tu pomyłka w adresie. Nie wiem, czym jest godzien tego zaufania, i skazuję się na tę niewiedzę, ponieważ od dłuższego czasu zrzekłem się poznania siebie samego, przynajmniej w sensie rozumianym przez mędrców tego świata. Zresztą wystarczy, by inni znajdowali we mnie to, czego im Pan Bóg każe tam szukać, i to, co On sam we mnie umieszcza, choćby na chwilę. Jak można sporządzić inwentarz magazynu, do którego nie posiada się kluczy i w którym Opatrzność składa, co Jej się podoba?

Mówiłem Panu kiedyś o tej łagodności, jaka promienieje z Pana. Pozbawiona jest ona cikliwości, zapewniam Pana. Wydaje mi się, że powinien ją Pan wziąć za to, czym ona jest — za łaskę, za dar. „Nie jestem tym... Nie jestem tamtym...” Cóż to ma za znaczenie wie-dzieć, czym Pan nie jest? Powtarzam, że tylko ci w świecie, którzy nas potrzebują, mogliby powiedzieć, czym jesteśmy, ponieważ oni wiedzą, czego im brak i co znajdują w nas. Dlaczego opowiadać o sobie, jeśli można się dawać? A my tak często dajemy siebie bez-

wiednie! Gdym widział Pana w sobotę z Pańską małą siostrzeniczką, nie myślałem ani o członku Akademii, ani o dyrektorze instytucji, ani o rektorze lub o przemysłowcu, słowem, o sprzecznościach, które Pana tak dręczą. Żył Pan w obliczu moim, a jam wzmacniał się Panem.

Pański przyjaciel

G. Bernanos

III.

Vassouras, dnia 5 marca 1939

Drogi Przyjacielu!

Stale zwlekam z napisaniem listu do Pana i wyrzucam sobie, że Pana zaniedbuję. Lecz cóż robić? Zbyt wysoko Pana cenię, bym opowiadał Panu o byle czym, a to, o czym pragnąłbym z Panem mówić, pochłania mnie zawsze tak głęboko, że czuję się coraz bardziej niezdolny do wyrażenia tego. Jest to, być może, bardzo naiwne złudzenie z mej strony chcieć wytłumaczyć lub objaśnić swe książki. Moje książki i ja stanowimy jedno a to, co się mówi o sobie, nigdy nie przynosi pożytku. Mówić o sobie jest to prawie zawsze pułapka demona.

Wydaje mi się, że Pan się myli, jeśli Pan sądzi, iż wymagam albo choćby tylko oczekuję od innych tego, co Pan musi nazywać mą gwałtownością. Jeśli jestem gwałtowny, to raczej dlatego, ażeby inni nie potrzebowali być takimi. W zamian, sądzę, winni mi oni świadczyć braterskie współczucie. Jeśli się powiedziało nie tylko to, co się myśli, lecz wszystko, co się myśli, wówczas zaznaje się wewnętrznej samotności w nader gorzkiej postaci. Ci, którzy umieją strzec zazdrośnie czułości, prawdy, jaką rozporządzają, mogą przynajmniej karmić się nią w ukryciu. Inni dawszy wszystko czują wielką pustkę w sobie.

Oczywiście znam dobrze wyjątkową nieczulość bardzo wielkiej liczby chrześcijan. Od dawna wyrobiłem sobie zdanie o tych chodzących grobowcach. Od nich, rzecz jasna, nie oczekuję niczego.

Bardzo mnie wzruszyło to wszystko, co Pan dla mnie uczynił w ostatnich czasach. Niech Pan tylko nie ocenia przesadnie moich małych rozczarowań w Vassouras. Nic w tym doprawdy nie ma tragicznego. To, co zawdzięczam przyjaźni, wydaje mi się zawsze dość bogate a zresztą nie odczuwam absolutnie potrzeby osobistego kom-

fortu. Niestety nie wierzę zupełnie w możliwość znalezienia tu pożytecznych zajęć dla mych synów i mego siostrzeńca. Lecz jakież to wspaniały dom i jakże jest czarujące to miasteczko!

Z najgłębszą przyjaźnią

G. Bernanos.

IV.

Drogi Panie!

Pirapora, początek stycznia 1940.

Oto już miesiące upływają, jak nieustannie odkładałam napisanie listu do Pana i czuję się zawsze winnym długu, który mi ciąży. Nie mówiliśmy z sobą często, lecz choćbym był tylko raz jeden rozmawiał z Panem tonem głębokiej szczerości, to już by wystarczyło, abym stracił prawo do uważania stosunków z Panem za najzupełniej przypadkowe.

Życzę przede wszystkim Panu, jak to jest w zwyczaju u nas, dobrego i szczęśliwego Nowego Roku.

Wiele w tych dniach myślałam o Panu. Nie chciałbym Pana w niczym urazić. Badałam siebie pod tym względem tak surowo, jak tylko mogłam. W rzeczy samej nie zapomniałem ani o swym dawnym liście, ani o Pańskiej odpowiedzi, która mnie tak gwałtownie wzruszyła, gdy ją otrzymałem, i która obudziła we mnie niepewność co do tego, co potrafilibyśmy wymieniać z sobą wzajemnie. Te rzeczy posiadają w moich oczach ogromne znaczenie, gdyż nie chciałbym regulować życia swego konwencjami, choćby nawet czcigodnymi. Ludzie oczekują od nas tego samego, czego oczekuje Bóg. Aż nadto wiem, że nie uda mi się nigdy całkowicie dostosować swego życia do tej reguły najwyższej. Lecz wierzę głęboko, że tylko to posiada znaczenie i że reszta jest tylko pobożną literaturą.

Pragnąłbym, aby Pan nie odnosił złego wrażenia z naszych spotkań, zawsze trochę burzliwych... Może na to nie wygląda, ale ja zawsze robię wielki wysiłek, by stać się naprawdę Pańskim przyjacielem. Jest rzeczą naturalną, że Pan o tym nigdy nic nie wiedział. Wspomnienie Pańskiego zmarłego przyjaciela jest między nami. Ja go już nie widzę. A jednakże istota, której nie znałem, jest mi niewytłumaczalnie droga i bliska. Opuszczając Pana nie sądzę, bym się oddalał od niego.

Żałuję, że nie udało mi się, że nie mogłem spotkać się z Panem. Pan jest u siebie, w swoim kraju, w wspaniałym otoczeniu. Ja byłem sam albo raczej byłem u skraju samotności, uważałem się za samotnego, choć wiedziałem w głębi duszy, że bym nie poprzestał na tym, że poszedłbym bardziej naprzód — w przeciwnym razie po co było przepływać morze? Lecz Pan, Pan tego nie wiedział. To tłumaczy wiele rzeczy i oszczędziło nam bolesnych nieporozumień.

Jesteśmy nieprzejeđnani, drogi Przyjacielu, na modłę właściwą dwom chrześcijanom, to znaczy, że dajemy się pogodzić tylko w Bogu. Takimi byliśmy już od naszej młodości, ja to czuję. Jak Mauriac, jak wieś u innych jest Pan z rodzaju tych dusz niespokojnych, wysubtelnionych od niepokoju, które znalazły bezpieczeństwo w pewnej trochę intelektualnej, jak się obawiam, formie posłuszeństwa i dyscypliny, ponieważ nie czuły się one urodzone dla nich. Nigdy nie byłem duszą niespokojną i w przeciwieństwie do tego, co myślą biedni księża, czuję się całą swą ordynarną naturą ordynarnie dobrze w posłuszeństwie i karności. One nie dają mi upojenia (albo uspokojenia) z powodu przewyciężonej trudności i przyjętego poniżenia. Oto dlaczego zdaję się nie żałować tego. W Kościele czuję się jak u siebie i nie boję się, że w jednej chwili stracę owoc wysiłku, jaki czynię, by wejść doń, ponieważ w nim się urodziłem. Czyni mnie to być może niesprawiedliwym wobec ludzi mniej ordynarnie ustatkowanych niż ja i pragnących niepotrzebnie mnie przekonać, że w Kościele jest dobrze, że księża są wspaniali, klasztory pełne życzliwości i miłosierdzia, bigoci rycerscy lub że wybór Jego Świątobliwości Piusa XII sprawił przykrość Mussoliniemu i że kardynałowie wierni polityce Piusa XI nie zostali oszukani (określenie włoskie wyszło mi z pamięci). Wysiarczy mi wiedzieć, że jeśli tak jest — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i logiki ludzkiej — to Bóg tak chciał, że On wie, co czyni, że On nam już nie proponuje wyłupić sobie oczu, aby nie widzieć, ani wytrzebić się, by uniknąć grzechu przeciwko szóstemu przykazaniu.

O tym wszystkim być może nie potrzeba było pisać Panu, wszystko to bowiem jest tak dla Pana jak i dla mnie już przeszłością. Naturalnie powie Panu, że upieram się przy swoim z pychy. Czy mogę wbić się w pychę, jeśli widzę to, co się rzuca w oczy? Rzuca się w oczy, na przykład, że Akcja Katolicka była wielką ideą papieską ogromnej do-

niosłości. Rzuca się również w oczy, że ten rodzaj powszechnej współpracy z sobą świeckich i księży, rodzący nowego ducha, wydawałby się oburzający i rewolucyjny dzielnym proboszczom noszącym wypustkę z roku 1880. Dzisiejsi nie mają odwagi zwalczać jej wprost, lecz absolutnie nie wprowadzają jej w życie. Zrobią oni rychło lub późno z Akcji Katolickiej Akcję Klerykalną, zjednoczenie dawnych organizacji parafialnych i diecezjalnych w najbardziej tradycyjnym duchu klerykalnym. Jedyna nowość polega na tym, że oni uwznioślają zasadniczą mierność dzięki urokowi intelektualistów takich, jak Pan, którzy mówią lub piszą, czym powinna być Akcja Katolicka, po to, aby mogła ona być bezkarnie tym, czym jest, pod opieką cwanych księży polityków. Myśmy się spodziewali po niej odrodzenia chrześcijaństwa, powszechnej opinii chrześcijańskiej, że się stanie tak silna, aby pozwoliła Ojcu Świętemu zerwać z małymi kombinacjami, których ich autorzy nawet nie bronią, które jednak usprawiedliwiają koniecznością robienia kompromisów i posługiwania się dezawuowaniem, przez co stają się one z każdym dniem niebezpieczniejsze, ponieważ prasa i radio wyciągają je brutalnie z ukrycia i wystawiają na pełne słońce, do czego nie były, rzecz jasna, przeznaczone. Z tego punktu widzenia Akcja Klerykalna stała się w istocie niezbędna. Idzie o ukształtowanie ogromnej masy katolickiej zdolnej swoim bezwładem — to znaczy swą ślepą uległością — do zabezpieczenia przywilejów na dłuższą metę zagrożonych wskutek błędów, które gotowym się jest popełniać dzisiaj jeszcze, mniej zresztą ze złości, ile z leniwej niechęci do zmienienia czegokolwiek bądź. Na płaszczyźnie egzegezy to klerykalne lenistwo przyniosło nam kryzys modernistyczny a jego wyniki w dziedzinie politycznej będą niebawem widoczne. Wydaje się, jakoby dla Akcji Katolickiej, jak zresztą dla wszystkiego co jest katolickie, istniała tylko możliwość rozwijania jedynej najzupełniej słusznej działalności nie zawierającej w sobie żadnego ryzyka ekscesu: apologia władzy kościelnej, jej metod, szalone wyolbrzymianie jej najmniejszych sukcesów, zatajanie jej niepowodzeń nawet za cenę bezwstydných kłamstw. Dzieło tak chwalebne, że usprawiedliwia najbardziej fantastyczne tłumaczenia samej nauki do tego stopnia, że na przykład Emanuel Mounier, redaktor miesięcznika „Esprit”, musiał osłać pisać: „Zdradziłibyśmy nawet swe stanowisko chrześcijańskie, gdybyśmy przypadkiem utożsamiali dyplomację watykańską z urzę-

dem Wiary i gdybyśmy powodowani tą marną uległością, która jest raczej lękliwą biernością aniżeli głębokim zrozumieniem Kościoła, czuli się zmuszeni zatwierdzić sądownie bez badania akta wszystkich nuncjatur i biur Watykanu. Wiem, że ta absolutna bierność odpowiada pojęciu, jakie sobie wyrobili niektórzy o roli świeckich w Kościele. Niemniej wiem, że jest ona bezwzględnie sprzeczna z zasadniczą nauką i wewnętrznym życiem Kościoła katolickiego". Gdym pisał kiedyś, co myślę o Traktacie Laterańskim, zarzucano mi ten brak ufności jako występki przeciwko wierze lub coś w tym rodzaju. Otóż M. F. Cochín (rodziny Cochínów nie można uważać za antyklerykalną!) donosił ostatnio z autorytatywnością, jaką posiada osobisty przyjaciel zmarłego Papieża, że „w ostatnich rozmowach Piusa XI z zaufanymi mediolańczykami Ojciec Święty wyznał, dając w ten sposób przykład rzadkiej skromności chrześcijańskiej, iż zdawał on sobie sprawę „ze złudzeń i rozczarowań pierwszych lat swego pontyfikatu". Pochlebstwo gubi królów, dlaczego nie miałoby gubić również papieży?

Odpowie mi Pan, że ta naiwna wiara daje spokój prostym душom. Na jak długo? Jakim prawem każe im Pan nabierać przeświadczenia, że Kościół kroczy naprzód drogą cudów, że nie staje on w miejscu lub nie cofa się nigdy, aż pewnego dnia, gdy Watykan okazuje się do czegoś niezdolny lub czegoś niegodny, nieszczęśliwcy ci tracą wiarę i uważają, że ich Pan Bóg oszukał? W posłuszeństwie, mówi im Pan, nie ma ryzyka! W ten sposób dopuszcza się Pan kłamstwa przez zatajenie. Należałoby mówić: „W posłuszeństwie w sprawach wolnych, gdy się nie ma możliwości wyrobienia własnego sądu, nie ma ryzyka". Ta formuła zresztą „nie ma ryzyka" jest podle antyewangeliczna.

Nie, nie, Drogi Przyjacielu, nie ma pobożnego kłamstwa! Gdy księża, prawdopodobnie powodowani dobrymi intencjami — gdyż mentalność klerykalna nie zmieniła się — nadziewali interpolacjami nasze teksty święte w celu wciągnięcia ich za wszelką cenę do swego własnego systemu apologetycznego, nie domyślali się, że odkrycie tych interpolacyj piętnaście wieków później sprawi, iż Kościół znajdzie się na skraju przepaści i straci miliony dusz.

Nie usiłuję przekonać Pana, Drogi Panie. Rozmawiam z Panem tak szczerze tylko dla zadowolenia odległych przyjaciół, nie chcących wierzyć, że nie mogę tutaj czynić nic lepszego niż wyzwolić raz na

zawsze swe sumienie. Miałby Pan najstuszniejsze prawo mnie odpowiedzieć, że jeśli nie należę do Akcji Katolickiej, to nie powinno mnie to wszystko nic obchodzić. Odpowiem Panu ze swej strony, również raz na zawsze, że wy zdradzacie, jedni ze złości, drudzy z podłości, ideę w widoczny sposób pochodzącą od Ducha Świętego, że za płacicie wszyscy bardzo drogo za tę zdradę względem Ducha Świętego. To bardzo ubawi Pańskiego spowiednika! Lecz Pan wie dobrze, że Sąd nad sądami nie będzie podobny do żadnego z waszych kongresów, że biedacy będą mieli na nim głos. Bóg wie — tak, w istocie, Bóg wie, że nie widzę w sobie kwalifikacyj do występowania tu z mową oskarżycielską. Jeśli odwołują się do mojego świadectwa, będę świadczył zgodnie ze swoim sumieniem — i z oburzeniem, które zostało mi dane.

A teraz przepraszam Pana za tak długi list. Niech Pan o tym zapomni. Niech się Pan nie kłopotuje o mnie. Usiłuję, jak to czynię działając w swym „Dzienniku”²⁾, w sposób jak najgodniejszy mówić o samotności dusz dobrej woli. Byłoby więc ironią ze strony Pana Boga, gdyby mnie w tym samym czasie obsypywał sympatiami lub przyjaźniami Środowiska katolickie dały mi to, co mogą dać komuś, kto im nie schlebia — nic. Nie mają one widocznie nic do powiedzenia pisarzowi, który po „Pod słońcem Szatana” jak i po „Dzienniku proboszcza wiejskiego” dwukrotnie dobrowolnie poświęcił zyski materialne bardzo wielkiego sukcesu dla tego, co poczytywał za swój obowiązek, dwukrotnie stracił dobrowolnie ogromną publiczność, z której uczyniwszy jej kilka koncesyj mógłby ciągnąć zaszczyty i fortunę. Stąd nie przywiozę z sobą nic prócz brudnych obelg (znanych mi zresztą ze słyszenia) obskurnego dziennika z Bello Horizonte, na które nie było bez wątpienia co odpowiadać, ponieważ Pan w ogóle nie odpowiedział na nie...

Pański przyjaciel

G. Bernanos

V.

Pirapora, (2. 2. 40.)

Drogi Panie Lima!

Niewiele jest w moim życiu rzeczy obmyślonych z góry, chyba grzech, kiedy zdarzy mi się go popełnić.

²⁾ Chodzi o „Enfants humiliés”, objaśnienie Red. „Esprit”.

Napisałem do Pana nagle, z potrzeby duszy. I w tej potrzebie duszy nie było nic, co by schlebiało mojej miłości własnej, nie było, niestety, nic z natchnienia. Cierpię wiele, i to z powodu wielu rzeczy, które mnie bardziej poruszają u najlepszych aniżeli najszlachetniejsze przymioty. Czuję je fizycznie, rozdzierają mnie. Nie przyjmuję ich chętnie. Usiłuję zapomnieć o nich. Sądzę, że to pragnienie ujścia przed nimi za wszelką cenę wiele razy doprowadzało mnie na sam brzeg przepaści, żeby mówić jak wasi nabożnisie z Akcji Katolickiej. Lecz koniec końców nie mogąc więcej wytrzymać, krzyczę. W tym, że pewna liczba ludzi wzmacnia się czymś, co jest tylko językiem boleści i niemocy, którego nie można powstrzymać, rodzajem pochylenia się pod ciosami na modłę starego osła — w tym mogę widzieć tylko łagodny cud łagodnej ironii Boskiej. Myśl ta wzmacnia mnie z kolei, ponieważ pozwala mi ona odczuć głęboko, że Pan Bóg nic mi nie jest winien. Oczywiście, ja wiem jak wszyscy, że Bóg nic nam nie jest winien, chcę tylko powiedzieć, że ja to czuję, że posiadam prawie fizyczne uczucie swej obcości wobec tego, co ja daję. „Pozwoliłem, byście cierpieli z powodu tych rzeczy, mogłby mi powiedzieć Pan Bóg, właśnie dlatego, ponieważ wiem, że nie potraficie cierpieć bez skarg, i uczyniłem z waszą skargą to, co mi się spodobało. Przecież nie będę was wynagradzał za to, żeście się skarżyli”. Miłą też jest mi myśl być tak rozbrojonym w Jego rękach, że nie może on powstrzymać się od śmiechu. (Mam nadzieję, że to słowo nie urazi Pana. Nasz Boski sędzia jest również jednym z nas, jednym z takich jak my).

Pozwoliłem sobie powiedzieć Panu te rzeczy. One są oczywiście prawdziwe tylko dla mnie. Wierzę w skuteczność uczynków w ścisłych granicach, w jakich mi Kościół każe wierzyć, nie mniej i nie więcej. Odrażające targowanie się duchowe jezuitów — „jak ty mnie, tak ja tobie” — budzi we mnie nieprzewyciężony wstręt. Stanowi ono podstawę wszelkiego zła, które zaczyna dokuczać Chrześcijaństwu i które nie jest może mniejsze — lub gorsze — aniżeli to, któremu próbowali zaradzić dobrzy ojcowie już cztery wieki temu.

Tak, pozwalam sobie powiedzieć Panu te rzeczy w chwili, gdy wychodzę dla Pana z swej roli. Nie miałem nic wspólnego z listem, który do Pana napisałem, czuję zaś, że wiele będę miał wspólnego z tym listem i z następnymi. Gdybym Panu dzisiaj odpowiedział wy-

mijając, byłby Pan na pewno przekonany o tym, że jestem pewnym siebie pocziwcem, typem w rodzaju Bloy albo nawet durniem. Lecz któregoś dnia w ten czy inny sposób mój krzyk dotarłby do Pańskiego serca i Pańskiej myśli, choć Pan by już dawno zapomniał o autorze i go się zaparł. To Bóg posłużyłby się mną bez Pańskiej i mojej wiedzy. Tym gorzej.

Nie czuję się zdolny do pozostawienia bez prawdziwej odpowiedzi listu takiego, jak Pański. Lękam się opinii, jaką Pan sobie urobił o mnie, tracę odwagę wobec Pańskiego oczekiwania i Pańskiej ufności. Lecz ponieważ przybywam do Pana z próżnymi rękoma, może On kładzie tu to, co by Pan chciał znaleźć. Być może też, że znajduję w Pańskim liście to, czego tam nie szukam i czego Pan doń nie włożył. Oby to spotkanie się ślepców wywołało również uśmiech u Pana Boga!

Pański przyjaciel

G. Bernanos

VI.

Pirapora, dnia 1 marca 1940

Drogi Lima!

Na listy nie odpowiadam nie z braku ochoty, lecz z lenistwa. Ach, ~~ma~~ Pan o mnie wyobrażenie bardzo literackie! I o mej samotności również!... Na czym Pan zresztą opiera przekonanie, że samotność oddala od ludzi i przeszkadza ich zrozumieć? Z punktu widzenia chrześcijańskiego a nawet ludzkiego byłbym raczej przeświadczony o czymś przeciwnym. Właśnie w ciszy i samotności odnajduje się siebie samego, odnajduje się prawdę o sobie samym — i właśnie poprzez tę prawdę dochodzi się do prawdy o innych ludziach. Codzienne obcowanie z ludźmi nawet mimo wkładu dobrej woli zaznajamia nas tylko z ich słabościami, maniactwami, śmiesznościami, z ich płytkością. Utwierdza nas przy tym w tej obrzydliwej protekcyjnej pobłażliwości, której rojący się po instytucjach „dobroczynnych” niezliczeni księża intryganci najbezczelniej nie odróżniają od miłosierdzia. Uczy nie tyle służyć ludziom, ile posługiwać się nimi. A kto rości sobie prawo do posługiwania się ludźmi, choćby w celach najbardziej budujących, naraża się na ogromne ryzyko. Niech mi Pan nie mówi, że trzeba odrzucić to ryzyko, idzie bowiem tylko o to, by nie brać go na siebie nierozważnie w złudnym przeświadczeniu, że Opatrzność będzie zobowiązana do

naprawienia naszych głupstw i że koniec końców po tym wszystkim zdobędziemy zasługi choćby kosztem tych biedaków, na których będziemy wypróbowywać swe recepty i które posłużą nam za świnki morskie. Nie należy igrać z ludźmi, gdyż za każdego z nich umarł Chrystus. Nie igra się bardziej bezkarnie z ludźmi aniżeli z Bogiem.

Co prawda istnieje inna samotność niż ta, o której mówię, rodzaj samotności, która jest tylko dezercją dumy i pogardy. W głębi duszy nie sądzę, by ta samotność była moją. Czyż nie sądzi Pan, że ona nie pozwoliłaby mi na napisanie „Dziennika proboszcza wiejskiego”? Zechce więc Pan domniemanie to pozostawić niektórym z waszych księży brazylijskich, którzy bogacą się na tłustych parafiach stołecznych a nędzny ludek wiejski oddają obcym misjonarzom.

Nie, Przyjacielu, nie masz racji, pisząc, że „nie ma Pan nic do powiedzenia, czego bym już nie wiedział”. Ma Pan wiele do powiedzenia mnie lub komuś innemu bardziej niż ja zasługującemu na to — wiele rzeczy, których Pan sobie nigdy samemu nie powiedział a które jednak często promieniają z Pana.

Zresztą list Pana mnie nie zwiedzie. Czuję bardzo dobrze, że jest Pan zamknięty w sobie lub że zmuszono Pana do tego. Nic nie jest mi bardziej obce, nic nie jest mi bardziej wstrętne niż niedyskrecja w rzeczach życia wewnętrznego. Niech się więc Pan nie obawia skończyć z tą korespondencją, jeśli uzna Pan to za właściwe. Może być Pan pewny, że nie jest ona dla mnie zabawą lub okazją do wzbogacenia mojego zbioru akt. Ja nie gromadzę teczek. Nie popadajmy w podniecającą gadaninę. Jeśli Pan naprawdę pragnie siebie ogłupić, wówczas ten Paskalowski zakład winien być uczciwie dotrzymany, gdyż ostatecznie Pan jest przełożonym, nauczycielem, przewodnikiem dusz. Nie idzie o to, by wtrącić w wątpliwe bezpieczeństwo ogłupienia lub utrzymać w nim tych, którzy zależą od Pana, jeśli Pan zastrzega dla siebie możliwość wyjścia z niego w danym razie. Albowiem, niech mi wolno będzie to Panu przypomnieć, ogłupianie może być dla człowieka Pańskiego pokroju, Pańskiej kultury, eksperymentem równie pasjonującym jak dla miliardera czarny chleb włóczęgów. Nie wolno robić kawałów z czarnym chlebem włóczęgów, którzy by chętnie ze swej strony spróbowali pasztetu z wątróbkę i wina chambertin.

Jest w Pańskim liście miejsce, które sprawiło mi przykrość, i to nie z mojego powodu, zapewniam Pana, lecz ze względu na Pana.

Jakżebym mówił tonem żartobliwym o przepaści, nad której skrajem szedłem, gdyby tą przepaścią była herezja? Chciałem po prostu powiedzieć, że czasem odczuwałem pokusę pozostawienia proboszczów w mierności, z którą im tak dobrze, pisanie powieści mauriakowskich, które by mi przyniosły pieniądze, i używania sobie, jak przystało na pierwszego lepszego ucznia jezuitów. Uważam za rzecz niesamowitą, że mógł Pan tak niewinnie dopuszczać się podobnie zuchwałego sądu, skoro przecież miałby Pan wątpliwości w przypuszczeniu, że ja zdolny jestem do tego, żeby nie regulować rachunku u krawca. Może Pan podzielił się swoim listem (lub moim) ze swymi przyjaciółmi, dzieląc się z nimi swym tak nieuzasadnionym przypuszczeniem; w takim razie mam obowiązek prosić Pana gorąco o wyprowadzenie ich z błędu.

To jednak jest śmieszne, że przeczytawszy moje książki mógł Pan mnie sobie wyobrazić roztrząsającego z teologami jakiś punkt nauki Ojców Kościoła lub orzeczenia soborów.

Wytłumaczenie lub usprawiedliwienie się Papieża przed Panem Bogiem będzie wyglądało w ten sposób: „Panie, to służyło mojej polityce, naszym interesom politycznym, i to w żadnej mierze nie gorzyło ludzi pobożnych. Opinia katolicka zachęcała nas do kroczenia tą drogą”.

Niech mi Pan wybacz, że mówię nieco z goryczą. Walczę dzisiaj ze smutkiem i niepokojem, który mnie pożera. W tej chwili szaleje burza z prawdziwymi piorunami Pana Boga. Ile jest radości w świecie, jaki szal radości, jakaż szalona radość. To prawda, że góry skaczą jak barany! Wydaje mi się, że powoli nauczyłem się patrzeć z pokorą na tę radość. Nie jest ona stworzona dla mnie, ona mnie nie zna, lecz za to ja ją znam, ja ją kocham.

Jest w każdym razie pięknie powiedzieć sobie, że zagubione w tej otchłani powszechnej radości cierpienie ludzkie w dalszym ciągu rozmawia z Panem Bogiem swoim łagodnym głosem — łagodne cierpienie ludzkie tak rozważne, tak cierpliwe i zawsze tak gotowe do wypełniania swego zadania aż do końca, aż do naiwnego przyjścia chwały, aż do pierwszego Poranka.

Pański stary przyjaciel

G. Bernanos

VII.

Pirapora, dnia 13 marca 40.

Drogi Przyjacielu!

List Pana otrzymałem trzynastego, datowany szóstego, i to głupie opóźnienie poczty nie zostawiło mi nawet czasu na odpowiedź Panu w Bello Horizonte.

Lecz wszystko jedno! tak prosty akcent listu Pana głęboko mnie wzruszył, tak samo jak niegdyś w małym, przytulnym domku w Petropolis. I również jak niegdyś wzruszenie to nie umiałoby się zgola wytłumaczyć lub usprawiedliwić. Jest to poruszenie duszy ku Panu, jak gdybym się obudził ze snu, w czasie którego długom z Panem rozmawiał nie zachowawszy w pamięci żadnego słowa z naszej imaginacyjnej rozmowy.

Żałowałem zawsze, że nie odpowiedział na Pana pierwszy list, lub raczej nie wiem, czym uczynił dobrze, czy też źle, pozostawiając go bez odpowiedzi. Z pewnością nigdy nie pragnąłem wydać się Panu „sympatycznym” — jak się mówi tak często u Was w znaczeniu, które nie jest moje. Wolałem zawsze ryzykować zrażenie do siebie Pana, zranienie Pana, aniżeli spotkanie się z Panem nie w miejscu wybranym przez Boga, lecz gdzie indziej. To prawda, że przeszedł — lub wydaje mi się, że przeszedł — przez sprzeczne uczucia względem Pana, lecz nigdy mi Pan nie był obojętny. Słowem, wiele rzeczy rozczarowało mnie w Brazylii. Wiem teraz, że jedyne prawdziwe rozczarowanie byłoby to, które by przyszło od Pana. Niech się Pan nie gniewa na ten tryb warunkowy. Niech Pan raczej myśli o tym, co Pana ochrania niewątpliwie przed tymi rodzajami rozczarowań, lecz przynajmniej przed tym, co może w nich być rozzdzierającego: o swoich zajęciach, o swoich stosunkach, o tym wszystkim, co może Pana oderwać od siebie samego, od cierpiącej strony własnej istoty. Na przykład kocha Pan z pewnością swój kraj. Lecz ten kraj jest jeszcze dzieckiem, jego odpowiedzialność jest odpowiedzialnością dzieciństwa, wszystkie jego błędy są do naprawienia. Tymczasem mój kraj prowadzi grę o swoje życie i o swą duszę, o swoje życie i to, co znaczy tysiąc razy więcej aniżeli jego życie, o swe zbawienie wieczne. Niech Pan zrozumie, że przy rodzaju egzystencji, jaką wiodę, prze-

ciwko cierpieniu zabezpieczają mnie tylko źródła, które znajduje w sobie, to znaczy tyle siły, odwagi i jasności umysłu, ile Bóg raczył mi dać.

I ja również, Przyjacielu Mój, gram o swe powołanie i o swe życie. Pan mi powie, że to są dla mnie bardzo wielkie słowa, lecz prawdziwie wielkie słowa podobne są do prawdziwie wielkich panów: zawsze są na miejscu. Powołania nasze są tym, czym są; one są, oto wszystko, one zostały nam dane. Nie sądzę, byśmy łatwiej mogli się od nich zwolnić aniżeli zakonnik od swych ślubów. Ach, niewątpliwie z tej gadaniny śmiałyby się jakiś cwany jezuita, poczerniały od światowego doświadczenia jak stara fajka od tytoniu. Dla niego, przypuszczam, „pisarz” jest „osobnikiem ze zdolnościami” do literatury, który otrzymywał pierwsze nagrody za wypracowania w gimnazjum i pewnego dnia powiedział sobie, że jego ładne pisanko przyniesie mu „wspaniałą karierę”, dostęp do „najlepszego towarzystwa”, „odpowiednie stanowisko” a później — kto wie? — dzięki żarliwym modłom jego pobożnej małżonki — fotel w Akademii Francuskiej. Mój pogląd jest inny. Ja się sam nie zrobiłem pisarzem, stałem się nim bardzo późno i wcale nie z wielką ochotą. Sądzę też, że powodzenie nie zawróciło mi głowy ani mnie nie oszołomiło. Oszołomiło czym? W swoim kraju zawsze żyłem, tak jak żyję teraz w Pańskim, nie wyglądam na człowieka, który rozpycha się bardzo w świecie. Słowem, wydaje mi się, że uszanowałem swoje powołanie, nie było ono dla mnie źródłem zaszczytów lub zysków, nie traktowałem go jak metresy, lecz jak uwielbianą towarzyszkę, z którą złączył mnie Bóg. Trzeba, abyśmy się razem zbawiali nie pomijając czegokolwiek w sobie, lecz jeden przez drugiego spełniając się do końca, rozumie Pan? Czynić to, do czego nie jest się powołanym, choćby nawet dla zdobywania zasług (przynajmniej jeśli się nie powierzyło swej wolności w ręce przełożonych zakonnych w ramach życia klasztornego), jest równie podle i nieludzkie, co ożenić się bez miłości, aby dzięki tygodniowej gimnastyce małżeńskiej uniknąć pokus przeciwko szóstemu przykazaniu. Jest to nikczemne przekręcenie ewangelicznego zaparcia się siebie przez realistycznych faryzeuszów. Dodaję, że gdybym grał dla siebie samego komedię pewnej prostoty, wówczas byłbym tylko oszustem, udawałbym, że nie umiem czytać ani pisać, bym nie potrzebował być sądzonym za to, co czytałem i pisałem, lecz

nie oszukałbym Pana Boga. Trzeba, aby moje powołanie, moja praca i moje życie stanowiły jedno, żebym to wszystko podnosił aż do Niego. Pobożne praktyki same mnie nie zbawią. Ach, niech Pan tylko nie sądzi, że je lekceważę! Codziennie odmawiam swój różaniec jak przeciętna dobra dziewczyna, odczytuję codziennie swą mszę — nie mogąc jej słuchać — nie kładę się nigdy spać nie wyrecytowawszy uprzednio swych kompletów. Nie uważam się za uwolnionego od tego. Wiem dobrze, że byłoby mniej niebezpieczne być prawdziwym cieślą jak nasz ukochany święty Józef. Lecz życie chrześcijańskie zawsze jest ogromnym ryzykiem, drogi Przyjacielu, a nie budującą „kombinacją”. Oto, co ja sądzę...

Jeszcze raz składam Panu braterskie podziękowanie za okazane współczucie. Niech się Pan modli za mnie.

G. Bernanos.

VIII.

Palacio Hotel

Av. Affonso Penna — Bello Horizonte,

koniec czerwca 1940.

Drogi Przyjacielu!

Nie mogłem się z Panem zobaczyć w Rio, lecz zamierzam tam niebawem powrócić — si Dios quizer.

List Pański szukał mnie w Pirapora, w kilka dni po moim odjeździe do Bello Horizonte. Tam go odesłały moje dzieci i on czekał na mój powrót z Rio. Znalazłem go w hotelu.

Dziękuję Panu za pamięć. Dziękuję Panu przede wszystkim — i to z całej duszy — za tak szybkie i tak szlachetne działanie. Trzeba się dobrze trzymać, drogi Przyjacielu. Obawiam się, że to są dopiero nasze pierwsze rozczarowania. Bóg zechce, by wszystko nas opuściło, po to, byśmy oparcie znaleźli w Nim tylko, to znaczy w świadomości Dobra i Zła, sprawiedliwości i niesprawiedliwości, którą umieścił w nas. Katolicy powoli stracili użytek ze swego sumienia albo też używają go oni jedynie, by rozwiązywać nieśmiało i prawie zawsze po myśli własnego interesu drobne problemy prywatnego życia. Wolność, jaką daje nam Kościół, jest dobrem pozytywnym, prawem pozytywnym, którego mamy obowiązek używać dla Jego chwały zamiast je za-

grzebywać jak talent ewangeliczny. Jest w tym pewne ryzyko, zgoda. Lecz ślepe posłuszeństwo w życiu świeckim mieści w sobie również ryzyko. Wszędzie jest ryzyko. Trzeba pokornie przyjąć to ryzyko. Po to dana nam została cnota męstwa.

Z całego serca oddany Panu

G. Bernanos

IX.

Cruz das Almas, dnia 16. 6. 42.

Drogi Przyjacielu!

Ostatni list Pański wzruszył mnie tak, jak wzruszają mnie zawsze Pańskie listy. Wydaje mi się czasem, że jesteśmy przeznaczeni do tego, by któregoś dnia związać się głęboką i braterską przyjaźnią, lecz zawsze tak bywa, że w ostatniej chwili nic z tego nie wychodzi. To prawda, że nie spotykam Pana nigdy wtedy, kiedy rzeczywiście od czuwać pragnienie lub nawet potrzebę zobaczenia Pana! Na przykład, gdy czuję się zdolny do przekonania Pana — oczywiście przy pomocy wielu gestów — w pięciu minutach, że nie mam absolutnie nic wspólnego z Maur'akiem, że „kwestia Mauriaka” dzieli mnie bardziej od drugiego człowieka aniżeli nawet „kwestia Gide'a”. A wreszcie cóż to znaczy? Usiłuję pocieszyć się mówiąc sobie, że jeśli się do siebie nie zbliżamy, dzieje się tak pewnie dlatego, ponieważ bez wątpienia bardziej byśmy sobie szkodzili, aniżeli pomagali, ponieważ mamy rację i nie mamy racji w sprawach drugorzędnych, co do których trudno się pogodzić, i że Pan Bóg wie, co czyni.

Aprobuje prawie wszystko w Pańskiej książce, lecz jestem tak słabym filozofem, że muszę to sobie tłumaczyć na swój język, co grozi większym lub mniejszym zniekształceniem Pańskiej myśli.

Posłałem wczoraj do „Noticii” list, który bez wątpienia redaktor ogłosi i który dowiedzie Panu, że jestem gotów do coraz większego sprecyzowania mej skromnej postawy wobec manifestacyj w rodzaju Intelktualistów brazylijskich. Dokument ten jest pełen fałszywych idei oraz jasnych i prawdziwych idei, lecz równie niekształtnych i prymitywnie ociosanych jak bożki Botokudów... Lecz zechce Pan sobie to powiedzieć, wydaje mi się, że postawa, jaką Pan przybrał wobec ordynarnego oportunizmu klerykałów i ich kolejnych stanowisk we-

wnętrznie sprzecznych, odbiera Panu cały kredyt moralny bardzo wielkiej liczby ludzi dobrej woli. Nie można potępiać dwuznaczności u drugich, które się toleruje u swoich.

Czuję się bardzo wzruszony i bardzo zaszczycony sympatią Jego Eminencji.

Pański stary przyjaciel

G. Bernanos

X.

Cruz das Almas (grudzień 1942).

Drogi Przyjacielu!

Myślę serdecznie o Panu u schyłku tego roku. Niech Pan również myśli przed Bogiem o swym starym przyjacielu. Możliwe, że nie mam racji w stosunku do Pana jak i w stosunku do wielu innych ludzi, lecz niech mi Pan tego nie bierze za złe. Mówię i piszę, tak jak żyję, to znaczy z dnia na dzień, oderwany zarówno od dnia wczorajszego jak i jutrzejszego. Niestety, nie dzięki cnocie, lecz ponieważ bardzo cierpię — za wiele rzeczy — a na nieszczęście nie jestem zdolny do zniesienia na raz więcej niż jednego bólu.

Jednak te ostatnie dni roku przynoszą mi nową nadzieję. Wydaje mi się, że sumień nie da się ścisnąć nieograniczenie i że ich eksplozja zniszczy w jednym mgnieniu oka wszystko, co Synagoga i duch Synagogi usiłowały odbudować. Wracam w myślach do czasów mej młodości, gdy czatowałem na wiosnę przy smutnym oknie w kolegium ponad murami pokrytymi sadzą...

Pański stary przyjaciel

G. Bernanos

(Tłumaczył Aleksander Rogalski)

Jan Czekanowski

DOMNIEMANY ŚLAD ETNOGRAFICZNY OBRZĄDKU SŁOWIAŃSKIEGO W SŁOWACJI

Działem wiedzy aż dotąd u nas najbardziej nie docenianym, a podobnie jak antropologia dotychczas zupełnie w sposób należyty jeszcze nie wyzyskanym w charakterze źródła do dziejów okresu wczesnohistorycznego, jest niewątpliwie etnografia słowiańska. Zapewne dzieje się tak wskutek tego, że olbrzymie materiały, nagromadzone przez ofiarnych i skrzętnych, a często dosyć niekrytycznych zbieraczy, nie doczekały się dotychczas syntetycznego ujęcia, odpowiadającego wymaganiom nauki współczesnej, zaś historycy w dalszym ciągu ograniczają się do spekulowania skąpymi przekazami nader nielicznych dokumentów pisanych. Śmiałe konstrukcje syntetyczne opierają się wskutek tego niekiedy na dosyć wątpliwych podstawach, przy lekceważącym ustosunkowaniu do nauk pomocniczych w rodzaju etnografii, rozporządzającej olbrzymimi materiałami.

Niewątpliwie odpowiedzialność za ten stan rzeczy w bardzo znacznej mierze obarcza etnografów. Gubią się oni bowiem w drobiazgowych opisach faktów szczegółowych, obserwowanych w terenie lub w najlepszym razie wyczerpują się próbami typologicznej systematyzacji nagromadzonych materiałów, co umożliwia ustalanie geograficznych zasięgów poszczególnych zjawisk. Są to bezspornie bardzo pożyteczne prace przygotowawcze. Niestety bywają one nadmiernie obciążane ogólnikowymi spekulacjami etnologii, ześrodkowującej uwagę na egzotycznych analogiach, co zraża historyków nawykłych do operowania konkretnymi kategoriami własnego terenu badań. Etnografom można ponadto zrobić poważny zarzut, że nie liczą się na ogół w sposób należyty z faktem, że obserwowana przez nich teraźniejsza rzeczywistość etnograficzna zespala się z przeszłością nie zawsze zbyt dawną, lecz jednakowoż bardzo często sięgającą w głąb okresu wczesnohistorycznego, który ich obfite materiały mogą oświetlić znacznie pełniej od skąpych źródeł historycznych, od dawna znanych i w znacznej mierze już wyczerpanych. Jako kontynuatorzy pracy

zapoczątkowanej przez amatorów kolekcjonerów na ogół dosyć słabo zdają oni sobie sprawę z wagi faktu, że ich główne zadanie polega na uzupełnieniu źródeł historycznych materiałami dotychczas jeszcze nie branymi w rachubę.

Ustalenie chronologiczne okresu rozpowszechnienia narzędzi, zwyczajów i norm, stwierdzanych przez etnografa w badanym terenie jako ślady dawno minionej przeszłości, bądź jeszcze żywotne lub już tylko wegetujące w charakterze przeżytków, nie jest bynajmniej zadaniem łatwym. Tam gdzie nie można się oprzeć na świadectwach źródeł historycznych, nie zawsze ratują sytuację materiały archeologiczne prehistoryków, umożliwiające przynajmniej datowanie względne. Wyniki bowiem badań prehistorycznych mogą skłaniać do przeceniania dawności faktów etnograficznych. Podstawą oceny jest tu przecież nie tylko podobieństwo konkretnego przedmiotu, lecz też i zgodność zasięgów teraźniejszych zjawisk etnograficznych i kultur prehistorycznych, konstruowanych na podstawie fragmentarycznych znalezisk, w znacznej mierze uwarunkowanych przez przypadek. Ponadto zgodności dokładnie sprecyzowanych zasięgów mogą stanowić odzwierciedlenie wpływu środowiska geograficznego. Tak na przykład warunki terenowe mogą powodować, że zjawiska rozpowszechniające się w bardzo różnych okresach czasu, dochodzą do tej samej granicy i zatrzymują się na niej. Tego rodzaju geograficznym kresem wędrówek ludów pasterskich i ekspansji osadniczej rolników jest nie tylko wybrzeże morskie lub niedosiępne pasmo gór, lecz też i rubież zwartego, zwykle zabagnionego lasu.

W dziejach terytorium Polski granica wielkiego boru, zajmującego północno-wschodnią część naszego kontynentu, odgrywała dominującą rolę, jak to wykazały antropogeograficzne badania Stanisława Lenciewicza. Była ona nie tylko kresem zasięgu prehistorycznej kultury łużyckiej, lecz zapewne w konsekwencji swej ekspansji stała się granicą oddzielającą odwieczne siedziby szczepów bałtyckich (litewskich) od hipotetycznej praojczyzny Słowian i jest wskutek tego przedmiotem zainteresowania językoznawców. Obecnie, w ujęciu polskich dialektologów, jest ona granicą Starego i Nowego Mazowsza, zaś dla etnografów wielką rubieżą, której odkrycie stworzyło podwalinę polskiej syntezy etnografii słowiańskiej. Dla historyków zaś pokrywa się ona w znacznej mierze z granicą państwa litewskiego na początku

XIV wieku. Ze względu na tak długi rwałą żywotność granicy geograficznej, przeważnie nie zaznaczanej na powszechnie używanych mapach, a wskutek tego na ogół nie dochodzącej do świadomości ludzi nie obeznanych dokładnie z terenem, zjawiska o zasięgach urywających się na tej linii mogą należeć do bardzo różnych epok i mimo tej terytorialnej korelacji nie pozostawać w historycznej zależności, sugerowanej przez fakt rzekomego współistnienia, tak bardzo rzucającego się w oczy.

Nie zawsze jednak sprawa przedstawia się równie beznadziejnie jak w powyższym przypadku, dla nas niestety tak ważnym. Niekiedy zagadnienie zostaje w sposób należyty wyjaśnione przez wyniki badań lingwistycznych nad nazwami przedmiotów kultury materialnej. Te bowiem wyjaśniają, czy nazwy poszczególne można uznać za własne, czy też uważać je należy za zapożyczenia z języka obcego. Pochodzenie zaś pożyczki wskazuje na źródło, z którego zapewne zaczerpnięto nie tylko nazwę, lecz przeważnie i przedmiot, noszący obcą nazwę. Pięknym przykładem całego zespołu tego rodzaju pożyczek, dotyczących nazw części narzędzia, a właściwie maszyny o rodzimej nazwie, jest u nas wóz. Nazwy jego części wykazują, że przystosowanie go do znacznie szybszej trakcji końskiej, co było wtedy przewrotnym bodaj nie mniejszym od wprowadzenia samochodu, stanowiło rezultat obcego impulsu. Zrewolucjonizował on poświadczony znaleziskami z epoki brązu odwieczny czterokołowy wóz słowiański, ciągnięty za dyszel przymocowany do jarzma bydłowego, który w częściach nie objętych przewrotem zachował dawne nazwy słowiańskie. Impulsem, powodującym wielką przemianę, było niewątpliwie bliższe ze knięcie się z południową częścią monarchii frankońskiej. Obce bowiem nazwy części składowych naszego wozu zaprzęganego w konie świadczą o górno-niemieckim pochodzeniu jego obecnej postaci, tak różnej od dotychczas jeszcze używanego dawnego wozu o trakcji bydłowej, dopiero w ciągu zeszłego wieku okutego żelazem. Jeszcze bezpośrednio przed zniesieniem pańszczyzny, nawet przy trakcji końskiej, w Chełmszczyźnie powszechnie używano wozy (w Uhrsku na 200 wozów wyjeżdżających na pańszczyznę, „bosych” było aż 198), w których nie było kawałka żelaza.

Jako fakt dla historyka ważny, należy podnieść, że nowa postać wozu o trakcji końskiej, świadczącego o wpływie frankońskim, ogar-

nęła Polskę i niewątpliwie Ruś Kijowską za pośrednictwem Moraw, przy czym nazwy niektórych części tego zespołu nie objęły obszaru Czech. Fakty te przemawiają na korzyść przypuszczenia, że mamy tu do czynienia ze wzbogaceniem naszego inwentarza kulturalnego, dającym się datować na okres wielkomorawskiego państwa Mojmirydów, którego wpływy poprzez wcielone do niego południowe rubieże obszaru polskiego sięgały aż po Kijów. Nie można jednak odrzucać ewentualności, że proces przenikania trakcji końskiej na Słowiańszczyznę od południowego zachodu rozpoczął się już wcześniej, a może nawet został zapoczątkowany przez kontakt monarchii frankońskiej z państwem Samona na Morawach, gdzie krzyżowały się wpływy frankońskie z bizantyjskimi. Dokładniejsze datowanie początku sięgnięcia frankońskiego wozu na obszar słowiański nie jest jeszcze możliwe. Do tego stopnia nie dojrzało to bardzo ważne zagadnienie. Można jedynie przypuszczać, że wóz zaprzągnięty w konie był instrumentem handlu frankońskiego, w znacznej mierze obsługiwanego przez Żydów, utrzymujących bardzo rozległe stosunki międzynarodowe od dawna. Widocznie ich znaczniejsze skupienie w Pradze przypada na czasy późniejsze, skoro terminologia części wozu zespala się ściślej z Morawami niż z Czechami.

Niekiedy oparcia, umożliwiającego chronologizację rozpowszechnienia się zjawisk etnograficznych, dostarczają wyniki badań antropologicznych. Zupełnie nowego przykładu tego rodzaju dostarcza zaistnienie godny fakt występowania domu typu łużyckiego na terenie małopolskim. Bawiąc w Przeworsku w pierwszych latach okresu międzywojennego, miałem możność oglądania w okolicy chałup wiejskich, których dach nie spoczywał na zrębie o ścianach zbudowanych na węgiel. Krokwie bowiem wspierały się o poziome belki dźwigane przez słupy, ustawione przed ścianami zrębu. Dom był tu więc pudłem wbudowanym w szopę stojącą ponad nim. Ten z obszaru polskiego poza tym nieznany mi typ domu, o ile mnie pamięć nie myli, nie różni się strukturalnie od domu łużyckiego, który na terenie Polski zachodniej obserwować można między Bobrem a Nysą, a więc na historycznym obszarze Łużyc, na przykład w Szklarskiej Porębie, w Sosnowce pod Karpaczem i nawet w okolicach Marciszowa.

W najczystszej postaci dom łużycki reprezentują tam domy stare, często opuszczone, a najczęściej zmodernizowane. Modernizacja zaś

polega zwykle na tym, że dawna komora, a późniejsza świetlica, posiada już ściany murowane, na których spoczywa dach, natomiast część kuchenna, nawet i wtedy, gdy posiada również ściany murowane, zachowuje dach dźwigany przez słupy stojące bezpośrednio przy ścianie i wyposażone w zastrzały, wzmacniające zespolenie z belką dźwigającą krokwie. Tam gdzie izba zachowała drewniane ściany, są one zbudowane na węgiel z ociosanych pni drzewnych, tak samo jak u nas, co daje ścianę równą. Niekiedy można przy tym obserwować pięterka budowane jako niemiecki „Fachwerk”, o szkielecie drewnianym, nie pobielonym łącznie ze ścianą, lecz pokrytym dla konserwacji smołowcem. Te kombinacje architektoniczne sugerują przypuszczenie, że dom łżycki jest mieszańcem słowiańskiej chałupy budowanej na węgiel, znacznie cieplejszej, i dolno-saskiego domu niemieckiego, budowanego w słup. Przemawia za tym przypuszczeniem również i to, że niekiedy pod tym samym dachem znajduje się stodoła i zwłaszcza obora.

Zadziwiający fakt, że domy tego samego typu spotykamy w dwu tak odległych punktach, jak okolice Przeworska i bardzo dawno już ziemczone wschodnie kresy Łżyc, został oświełłony, a właściwie nawet wyjaśniony przez wyniki badań antropologicznych. Jan M y d l a r s k i wykazał bowiem, że na terenie powiatów pilźnieńskieg o i ropczyckiego występuje zupełnie zagadkowe nasilenie domieszki elementu armenoidalnego, którego nie można uważać za skutek napływu ludności ze strefy połonin karpackich. Tam występujące wysokie odsetki elementu armenoidalnego stanowią rezultat infiltracji pasterzy wołoskich, którzy przeniknęli grzbietem karpackim daleko na zachód aż na Morawy, gdzie ich potomkowie wyodrębniają się jako szczep Wałachów, mówiący narzeczem czeskim. Niewątpliwie takiego samego pochodzenia są i Wałasi zachodniego Beskidu w Żywieckiem i na Śląsku, używający narzecza polskiego. Jeśli się jednak uwzględni, że powiaty pilźnieński i ropczycki w średniowieczu były terenem licznego osadnictwa na prawie niemieckim, od dawna już zupełnie zasymilowanego, to nasuwa się nader proste rozwiązanie tej zagadkowej zbieżności antropologiczno-etnograficznej, jaką jest występowanie na terenie objętym średniowieczną akcją osadniczą, domu łżyckiego i wzmożonych odsetków domieszki elementu armenoidalnego. Są to zapewne ślady, pozostawione przez osadnictwo, pochodzące z Łżyc, w każdym razie

pozostające w sferze wpływów niemieckich, a być może zgermanizowane lub nawet niemieckie. Język i kultura osadników uległa procesowi asymilacji, przetrwały natomiast dom i charakterystyczna dla Łużyc wysoka domieszka elementu armenoidalnego, jak to wykazały badania Wojciecha Koćki.

Zwróciliśmy uwagę na to, jak bardzo trudnym, jakkolwiek bynajmniej nie beznadziejnym a niezmiernie ważnym poczynaniem jest podejmowanie prób nawiązywania obserwowanej teraźniejszości etnograficznej do procesów historycznych dawno minionej przeszłości. Nawiązując wspomnę też jedną z obserwacji, zrobionych w czasie wyieczki geograficznej prof. Eugeniusza Romera, zamykającej rok akademicki 1913-1914. Przyłączyliśmy się do niej w charakterze etnografów i antropologów z Janem Mydlarskim, który zakończył wtedy pierwszy rok studiów uniwersyteckich. Czas bowiem, poświęcony przez geografów na obserwacje geomorfologiczne, można było zużytkować na zwiedzanie osiedli, oglądanie zagród i na rozmowy z ludnością zaintrygowaną naszym wścibstwem. Obserwacje zrobione przed 36 laty, w znacznej mierze później wyzyskane, zawierały też i zagadkę, która dopiero niedawno, gdy ze względów antropologicznych i etnograficznych również i dla mnie zaczęło się aktualizować zagadnienie państwa wielkomorawskiego, wyjaśniła się w sposób nader prosty.

Gdyśmy z Babiej Góry zeszli na południowy stok Karpat i minęli polską część Orawy, dopiero na obszarze czysto słowackim, poza Górnym Kubinem, spostrzegłem, że w chatach katolików obrazy były zgromadzone w górnym rogu izby, ponad stołem oddzielonym od ściany ławami, schodzącymi się w tym rogu. Kąt z obrazami przylegał przy tym do ściany szczytowej, piec natomiast zajmował kąt przekątnie przeciwległy i był opalany z sieni. Był to zatem typowy „krasnyj ugoł”, znany mi z terytorium wielkoruskiego. Tak samo jak u Wielkorusów, nigdzie nie było obrazów nad łóżkiem, co jest zwyczajem zupełnie powszechnym w Polsce. Uderzało to tym bardziej, że często spotykało się polskie dewocjonalia przyniesione z pielgrzymek do Kalwarii Zebrzydowskiej, jak o tym świadczyły napisy polskie, a zwłaszcza „Uciekamy się pod Twoją obronę, Święta Boża Rodzicielko”.

W chatach Słowaków wyznania ewangelickiego kąta poświęconego kultowi nie było. Spotykało się za to czeskie biblie a ściany, protestanckim zwyczajem, zdobiły wersety z Pisma Świętego, nierzadko

pięknie haftowane. Nad łóżkiem natomiast wisiał niekiedy obraz Chrystusa lub znacznie częściej krucyfiks. Wreszcie u drobnej szlachty słowackiej, u tak zwanych „zemenów”, katolików pozostających pod znacznie intensywniejszym wpływem węgierskim niż ewangelicy, było zupełnie inaczej. Kąta z obrazami nie było tam co prawda, lecz stół przysunięty był pod okna ściany szczytowej, a w obydwu rogach izby stały łóżka przysunięte wezłowiami do ściany szczytowej. Nie było też ław pod ścianami, gdy w izbach chłopskich uzupełniały one jedyne łóżko. Tak było wszędzie na Dolnej Orawie, pod Różembarkiem i na Liptowie, a oglądałem wiele chałup, gdyż zagadnienie sposobu umieszczenia obrazów świętych zainteresowało mnie bardzo, zaś rozmowy z ludźmi miejscowymi nie dały niczego konkretnego, poza zapewnieniem, że taki to już zwyczaj.

Szeroko u katolików słowackich rozpowszechnionego koncentrowania obrazów świętych w rogu izby nie można tłumaczyć wpływem karpackich Rusnaków, przez Polaków pogardliwie oznaczanych mianem Łemków. Spotykało się ich co prawda na Słowaczynie, dokąd dojeżdżali z „polskiej strony”, handlując garnkami, koszykami i smarowidłem do wozów, które rozwozili furkami zaprzężonymi w dobre konie. Dochodzili też i z południowego stoku Karpat do robót rolnych w zamożnej, niżej położonej części Liptowa. Słowacy lekceważyli ich jednak bardzo, uważając siebie za coś o wiele lepszego, i ten negatywny stosunek musiał skutecznie przeciwdziałać wszelkim wpływom z tej strony. Nie docierały zatem z tego źródła do Słowaków, gorących katolików lub fanatycznych, mniej licznych protestantów, oddziaływania rosyjskiego prawosławia, które od dawna było bardzo atrakcyjne dla Rusnaków-Łemków, co przed pierwszą wojną światową powodowało wytaczane przez Austriaków i Węgrów procesy o zdradę państwa, a w okresie międzywojennym, przy polskiej tolerancji religijnej, znalazło wyraz w masowym przechodzeniu z obrządku greckokatolickiego na wyznanie prawosławne polskiej cerkwi autokefalicznej.

Aby sobie zdać sprawę z charakteru stosunków, zachodzących między Słowakami a Rusnakami, podnieść należy, że na terenie Słowaczyny wschodniej Słowacy stanowili element atrakcyjny, z powodzeniem asymilujący nie tylko Rusnaków, lecz i Polaków, którzy w dolinie Topli mówili po polsku, lecz swój język uważali za słowacki. Na zachodzie natomiast Słowacy nie stykali się bezpośrednio z Rusna-

kami, gdyż izolowała ich enklawa Niemców spiskich. Dawniej zaś musiała ona zajmować znaczne większy obszar, gdyż np. polska część Spisza, a przede wszystkim wieś Tryp z i Łapsze są niewątpliwie dawnymi osadami niemieckimi. Należy to przypuszczać ze względu na to, że tamtejsze chałupy nie posiadają słowiańskiego charakteru. Kuchnia nie zespala się tam z piecem do pieczenia chleba. Ten bowiem znajduje się bądź poza izbą, bądź też poza domem, a taki brak jednolitości planu budowy świadczy o jakiejś niezbyt dawnej przemianie. Niezawodnie stoimy tu wobec zjawiska łączącego się z kurczeniem obszaru niemieckiej enklawy, powodowanym nie tyle przez proces asymilacyjny, ile przez emigrację do Koszyc i Budapesztu, gdzie Niemcy uważali się już za Węgrów i szybko podnosili się w hierarchii społecznej dzięki swoim osobistym walorom.

Teraz, gdy badania archeologiczne, prowadzone na Morawach z wielkim rozmachem, uwieńczone zostały stwierdzeniem tam szczątków kościołów o zdecydowanie bizantyjskim zarysie fundamentów, nasuwać się musi pytanie, czy zaobserwowane przeze mnie przed 36 laty słowacko-wielkoruskie zbieżności co do sposobu umieszczania obrazów świętych w izbie chłopskiej nie są przejawami przetrwania tradycji bizantyjskiej, zaszczipionej przez działalność apostolską św. Metodego? Trudno bowiem tę zastanawiającą zbieżność tłumaczyć inaczej. Jeśli zaś to domniemanie jest uzasadnione, to w takim razie byłby to jeszcze aż do naszych czasów zachowany ślad przed tysiącleciem zlatynizowanego obrządku słowiańskiego, który na Słowaczyźnie zapuścić musiał bardzo głębokie korzenie.

Zagadnienie genezy zwyczaju umieszczania obrazów w rogu izby, nieomal pod jej powalą, jest niezmiernie ważne dla dziejów rozwoju domu słowiańskiego. Zarówno na Słowaczyźnie jak też i na obszarze wielkoruskim kurne chałupy należą już do przeszłości, lecz na obszarze Rusnaków, na obydwu stokach Karpat, stanowiły one zjawisko powszechne aż do niedawna. Taki charakter musiały posiadać domy na całym obszarze Słowiańszczyzny. W izbie, wypuszczającej dym drzwiami do sieni nie posiadającej powały, los obrazów umieszczonych wysoko byłby nader smutny. Czyżby ten chrześcijańskiemu kultowi poświęcony kąt znajdował się początkowo w izbie białej, nie posiadającej pierwotnie pieca? Czy też może obecnie jeszcze tak powszechne na Słowaczyźnie opalanie pieca od sieni jest już tak starą

zdobyczą kulturalną, że sięga czasów poprzedzających chrystianizację kraju? Teraz często spotykane odwrócenie pieca i ustawienie go wzdłuż ściany sieni, zawsze połączone z kominem, odprowadzającym dym, tłumaczono mi jako innowację wprowadzaną ze względu na to, by kobieta, krzątająca się około kuchni, równocześnie mogła mieć na oku dzieci w izbie.

Przypuszczenie, że opalanie pieca z sieni oraz gotowanie tam na wystającej jego przedniej części jest na Słowaczyźnie udoskonaleniem bardzo starym, być może sięgającym aż do czasów poprzedzających rozpowszechnienie się przedmiotów kul u chrześcijańskiego, każe wnioskować, że pierwotną izbę stanowiła tam sień z piecem w rogu, który dopiero później wsunął się swoim cielskiem do komory za czarną izbą, która w ten sposób przeistoczyła się w izbę białą. Dalsze przeobrażenie upraszczające polegałoby na tym, że zanikła ściana oddzielająca czarną izbę od sieni i powstał stan obecnie panujący, to znaczy dom nie posiadający czarnej izby, lecz opalany z sieni.

Chałupy o dwu izbach położonych jedna za drugą, świadczących o tego rodzaju ewolucji domu, spotkałem zarówno w polskiej części Orawy, jak też i na sąsiednim terytorium słowackim. Z sieni wchodziło się tam do izby czarnej, nie posiadającej powały w części przylegającej do sieni. To oddalenie paleniska od otworu wypuszczającego dym pod dach zabezpieczało przed podpaleniem go przez ulatujące iskry. Z tej mocno zakopconej izby przechodziło się do izby białej z obrazami świętymi. W dworku Muniaków w Zubrzycy na Polskiej Orawie, pochodzącym z drugiej połowy XVII wieku a zbudowanym przez polskiego gazdę, nobilitowanego przez cesarza Leopolda I za zorganizowanie powstania przeciwko węgierskim protestantom, pokoje były opalane z sieni nie posiadającej powały. Natomiast kuchnia była kurna, lecz dym wychodził przez otwór w powale, zamykany klapą o zagadkowej nazwie „woźnica”. To połączenie dwu różnych sposobów ustosunkowania się do dymu uchodzącego pod dach świadczy o bardzo starym i trwałym zespoleńiu izby czarnej z białą. Wielka dawność izby białej, pierwotnie zapewne nie posiadającej pieca, podobnie jak na piętrze położone izby domów chłopskich w Szwecji, umożliwiałyby przetrwanie ewentualnie bizantyjskiej tradycji co do umieszczania obrazów świętych wysoko w rogu izby mieszkalnej.

Rosyjska chałupa, jakkolwiek obrazy święte również umieszcza się tam w rogu izby, stanowi wynik innego rozwoju niż dom słowacki. Świadczy o tym nie tylko to, że piec jest tam zwrócony paleniskiem ku ścianie szczytowej, czego nie obserwowałem na obszarze słowackim. Ważniejsze jest niewątpliwie to, że dom północno-wielkoruski, jak to stwierdziły badania K. R h a m m a, wykazuje w swej terminologii szereg nazw germańskiego pochodzenia, co świadczy, że ukształtował się pod tym wpływem. Należy jednak podkreślić, że jego ewolucja ku budowlie piętrowej nie stanowi bezpośredniego zapożyczenia skandynawskiego, gdyż piętro w domu szwedzkim stanowi rezultat rozbudowy strychu i nie posiada pierwotnie pieca, gdy natomiast piętro domu wielkoruskiego, tak samo jak na Balkanie, jest rezultatem rozbudowy piwnicy i wskutek tego piec znajduje się na piętrze, a nie ma go pierwotnie na parterze. Przy tego rodzaju ewolucji, połączonej z oddziaływaniem wpływów germańskich u północnych Wielkorusów, należy się liczyć z tym, że o ustaleniu się zwyczaju umieszczania obrazu świętego wysoko w rogu mogły zadecydować wpływy znacznie późniejsze od okresu działalności apostolskiej św. Metodego. Nie zmusza to do przypuszczania, by izba kurna należała tu do równie odległej przeszłości jak w Słowacji, tak blisko sąsiadującej ze sferą wpływów cywilizacji klasycznej, która to zagadnienie rozwiązała zupełnie inaczej.

Zwyczaj umieszczania obrazu świętego w rogu izby mieszkalnej tkwi bardzo głęboko w tradycji wielkoruskiej. Świadczą o tym nie tylko izby chłopskie i dwory szlacheckie, lecz również mieszkania kupców i nawet profesorów uniwersytetów po miastach. Obserwowałem to nie tylko u konserwatysty, członka Akademii Nauk S. F. Plato-nowa, lecz też i u zdecydowanego liberała, jakim był znakomity sławista A. A. Szachmałow. Panującemu zwyczajowi podporządkowywały się nawet gabinety pierwszorzędných restauracyj, gdzie w razie przyjazdu weselszego mieszanego towarzystwa, „by grzechu nie brać na swoje sumienie”, służący odwracał obraz twarzą do ściany, jak to obserwowałem w Strielnej pod Moskwą. Dawny Rosjanin nie mógł sobie nawet wyobrazić, by obraz można było umieścić gdzie indziej niż w rogu izby, w „krasnom ugli”.

Ze względu na tak jednolite traktowanie sprawy umieszczenia obrazu świętego przez wszystkie warstwy prawosławnej ludności nie

można przypuszczać, by ten stan rzeczy nie stanowił konsekwencji respektowania zupełnie konkretnej dyrektywy kościelnej, która później wykryształizowała się w postaci powszechnie panującego zwyczaju. Zupełnie analogiczna dyrektywa musiała zadecydować o umieszczaniu w identyczny sposób obrazów świętych w Słowacji. Musiała ona tam pochodzić z czasów dawniejszych, skoro zachowała się jej tradycja tylko u katolickich chłopów, zaginęła natomiast u szlachty, nawet drobnej, która mimo całego swojego konserwatyzmu sprzeniewierzyła się dawnemu obyczajowi, jak to unaoczniał zresztą również fakt wstawienia drugiego łóżka do izby. Ta stara dyrektywa kościelna, wspólna Słowacji i obszarowi wielkoruskiemu, pochodzić mogła wyłącznie z bizantyjskiego źródła.

Zrazu zagadkową słowacko-wielkoruską zbieżność starałem sobie wytłumaczyć racjonalistycznie. Można się bowiem liczyć z ewentualnością, że chrześcijańskie obrazy święte, wchodzące do pogańskiej chałupy słowiańskiej, jako przybysze wrodzy starym bogom, ulokowały się jak najdalej od pieca, miejsca pobytu duchów przodków. Przy jego ognisku i później długo jeszcze wygrzewały się duchy już nie żyjących dziadów. Z tego powodu wtedy, gdy nowy kult uzyskał już ostateczną przewagę, piec zespolił się z siłami nieczystymi, co spowodowało pozostawienie obrazów świętych w najdalszym od niego kącie.

Jakkolwiek wzgląd na pogańskie wierzenia słowiańskie mógł oddziaływać na sposób umieszczenia w izbie przedmiotów chrześcijańskiego kultu i niewątpliwie oddziaływał, to jednak musi zastanawiać, czemu w jednakowy sposób doszedł on do głosu na dwu najdalszych peryferiach bizantyjskich wpływów, na terenach działalności św. Metodego i na obszarze wielkoruskim, a nie uwydatnił się w identyczny sposób na obszarze Polski, leżącej poza ich zasięgiem. Mogły bowiem im ulegać tylko przejściowo jej najdalsze południowe rubieże, w okresie krótkiej przynależności do państwa wielkomorawskiego, zdaje się połączonej z wysiedleniem znacznej części mieszkańców, w charakterze brańców wojennych, do innych jego dzielnic, a zwłaszcza do Słowacji. W Polsce zaś, zajmującej terytorium odwiecznej praojczyzny Słowian, na którym niegdyś przodków Słowaków i Wielkorusów dzieliły najmniejsze odległości, pogańskie konsekwencje wierzeń sło-

wiańskich musiały przełamywać nawarstwienie łacińskie i to dało inne wyniki niż na dwu peryferiach wpływów bizantyjskich.

Jest to niewątpliwie argument bardzo poważnie przemawiający na korzyść przypuszczenia, że charakterystyczny sposób umieszczania obrazów świętych w izbach słowackich katolików nie stanowi wydzwieku samorodnej pogańskiej filozofii słowiańskiej, lecz jest po prostu śladem pozostawionym przez obrządek słowiański na terenie Słowiańszczyzny zachodniej, na dalekiej peryferii wpływów bizantyjskich. Jednakowoż jako dowód typu geograficznego, opartego na faktach współistnienia i wzajemnego wyłączania się, wymaga on uzupełnienia dalszymi współrzednymi dowodami, potwierdzającymi rzeczywistość suponowanej zależności.

Istotę uzasadnienia naszej tezy, że wchodzi tu w rachubę wpływ bizantyjski, stanowi przecież analogia, że zjawiska, posiadające charakter przeżytków dawno minionej przeszłości, zachowują się nader często na najdalszych peryferiach swojego pierwotnego zasięgu a nawet niekiedy wtórnie później wykraczają poza jego granice. W tym ujęciu sposób umieszczenia obrazów jest analogicznym zabytkiem, jak polarne składniki flory i fauny alpejskiej, stanowiące relikty z epoki lodowcowej. Analogie nie są jednak jeszcze dowodami, lecz tylko wskazówkami orientacyjnymi. Dowodu, że powyższy wspomniany syntetyczny pogląd na alpejsko-polarne paralele jest uzasadniony, dostarczyły dopiero badania paleontologiczne. W naszym przypadku rozstrzygającego dowodu mogłyby dostarczyć dopiero badania nad innymi zabytkami przeszłości dającymi się datować.

Najbardziej ważkimi dowodami byłyby niewątpliwie drobne szczegóły, dotyczące odrębności lokalnych życia kościelnego Słowacji. W tej dziedzinie zachowuje się dużo śladów dawno minionej przeszłości, jak na przykład trzy ostatnie głośnie oderwane uderzenia przy dzwonieniu na Anioł Pański, w Polsce poświęcone uczczeniu pamięci bohaterskiego skonu Władysława Warneńczyka. Wyjaśnił mi to stary ksiądz Antoni Woyno w Worowie, który tę parafię objął w charakterze nieusuwanego proboszcza jeszcze w roku 1855 i oddawał się z zapalem studiom historycznym, interesując się szczególnie polską tradycją kościelną. Być może argumentów nie mniejszej wagi dostarczą badania muzykologiczne, a może też studia nad swoistą, nader barwną i bogatą ornamentyką słowacką, opartą na motywach roślinnych, co świadczyć może

o jej obcym pochodzeniu. Byłyby one szczególnie ważne, gdyby się ta odrębność łączyła ze zdobnictwem kościelnym, zwłaszcza dotyczyła haftów na nader konserwatywnych szatach liturgicznych. Na zastanowienie zasługuje również na terenie słowackim dość powszechny zwyczaj umieszczania obydwu okien ściany szczytowej tak blisko siebie, że niekiedy robią wrażenie okna podwójnego, przedzielonego filarem pionowym. To zaś widuje się tak często w bizantyjskich cerkwiach rosyjskich.

Na szczegóły tego rodzaju, nie zawsze w sposób właściwy sumowane w ogólnych wrażeniach, stanowiących rezultat powierzchownych obserwacji terenowych, zwrócić należy baczną uwagę. Nawet w perspektywie tak wielu lat nie mogę dotychczas zdać sobie sprawy z tego, czy można uważać za obiektywnie uzasadnione moje pierwsze wrażenie, że o swoistych rysach obszaru słowackiego decydują elementy występujące już poza strefą grzbietu karpackiego. Tam bowiem na miejsce naczelne wysuwają się właściwości wołoskie. Szczególnie uderzyły mnie one w kościele w Dębnie nad Dunajcem, poniżej Szczawnicy, według podania wystawionego przez zbójników, którym św. Michał objawił się na dębie.

Gdy dla skontrolowania swoich wrażeń w roku 1928 zaprowadziłem tam profesora botaniki Uniwersytetu w Koloszwarcze, ten został zaskoczony podobieństwem jego wnętrza do cerkwi rumuńskich. Jako rysy szczególnie znamienne uważał on przy tym umieszczenie św. Mikołaja po lewej stronie nawy, patrząc od ołtarza, i wzorzyste polichromie. Przemawiałoby to za uzupełnieniem starego podania w tym kierunku, że zbójnikami budującymi kościół byli wołoscy pasterze, jakkolwiek ta miejscowość, wspominana już w XIII wieku, posiada dyplom lokacyjny z dnia 2. II. 1335, uprawniający do osadzenia wsi na prawie niemieckim.

Ze względu na komplikacje, wnoszone przez pasterską infiltrację wołoską w strefie grzbietu karpackiego, należy zwrócić uwagę na wyniki badań antropologicznych. Konieczne jest bowiem skontrolowanie wrażenia, że wpływy wołoskie na północnym stoku sięgają znacznie dalej niż na południowym. Wrażenie to bowiem może stanowić skutek sugestii wynikającej z faktu, że szczep Walachów zajmuje zewnętrzną część stoków łuku karpackiego, na terenie Beskidu żywieckiego, Śląska i zwłaszcza Moraw. Nie można jednak również nie

liczyć się z ewentualnością, że konsekwentniejsze i bezwzględniejsze postępowanie panów węgierskich w stosunku do tego rozbójniczego żywiołu spowodowało wyparcie go na „polską stronę” i do Moraw, i w ten sposób zabezpieczyło słowackie zbocze przed Wołochami.

Badania antropologiczne ks. Bolesława Rosińskiego nad Słowakami polegały na zanalizowaniu amerykańskich obserwacji nad imigracją czesko-słowacką. Dały one wynik zupełnie nieoczekiwany wykazując, że Słowacy, a przynajmniej emigranci słowaccy w Ameryce, posiadają nieomal identyczny skład rasowy z ludnością polską niżowego Podkarpacia, to znaczy z obecnymi mieszkańcami południowej części ziemi Wiślan, która wchodziła w skład państwa wielkomorawskiego. Natomiast emigranci czescy, jakkolwiek mieli również bardzo podobny skład rasowy, wyraźnie się odchylali w kierunku hipotetycznej ludności autochtonicznej Czech z okresu poprzedzającego wcielenie tego obszaru w skład Słowiańszczyzny zachodniej. Ponadto nie ulega wątpliwości, że znaczna część Moraw północnych, przede wszystkim obszar zajmowany przez morawski szczep Lachów, mówiących narzeczem czeskim, również nawiązuje bardzo ściśle pod względem antropologicznym do ludności polskiego niżowego Podkarpacia.

Fakty powyższe świadczą bardzo wymownie, że infiltracja wołoska nie spowodowała uchwytnych przeobrażeń w składzie rasowym ludności słowackiej i jej wpływ, bodaj jeszcze wyraźniej niż w Polsce, ograniczać się musi do strefy połonin karpackich. W tej strefie na polskim obszarze ślad infiltracji wołoskiej zaznacza się bardzo wyraźnie w postaci stosunkowo wysokich domieszek elementu armenoidalnego. Pod Makowem Podhalańskim, razem z wołoskim kotłem miedzianym, tak obcym słowiańskiemu światu, sięgał on aż po dolny brzeg zboczy, wzdłuż których biegnie tor kolejowy.

Ścisłe zespolenie teraźniejszej ludności czeskiej, zwłaszcza słowackiej, pod względem antropologicznym z ludnością polską podkarpackiego niżu pozwala przypuszczać, że w ukształtowaniu się stosunków antropologicznych na obszarze czesko-słowackim decydującą rolę odegrał okres aktywności państwa wielkomorawskiego. Musiało ono spowodować mocne przemieszanie ludności na swoim obszarze, przede wszystkim zaś osiedlić na nim wielkie rzesze brańców wojennych sprowadzonych z podbitej ziemi Wiślan. Widocznie znaczną część tej żywej zdobyczy zużyto dla zaludnienia obszaru słowackiego. Inaczej bowiem

nieposób wyjaśnić sobie tej zadziwiającej zgodności składu rasowego ludności mieszkającej po obydwu stronach grzbietu Karpat, oddzielonej bardzo wyraźnie zarysowaną smugą wołoskiej infiltracji pasterskiej, jak to wykazały badania Jana Mydlarskiego na polskim Podkarpaciu i w Karpatach. Można też przypuszczać, że wyludnienie ziemi Wiślan, spowodowane przez najazd wielkomorawski, ułatwiło później wcielenie tej dzielnicy do państwa wielkopolskiego i napływ ludności z jego obszaru. Mapa bowiem antropologiczna wykazuje, że północne rubieże Małopolski zostały przepojone krwią ludności Wielkopolski i zatraciły swój dawny charakter antropologiczny.

Napływ ludności ruskiej na tereny Podkarpacia, spowodowany najazdem Pieczyngów, gdyż nastąpiła wtedy masowa ucieczka ludności rolniczej ze stepów strefy czarnomorskiej, zaczyna się zapewne już w drugiej ćwierci X wieku, a więc jeszcze przed chrystianizacją Rusi Kijowskiej. Uchodźcy zatem nie pozostawali jeszcze w sferze bizantyjskich wpływów kościelnych. Ich napływ łączył się zapewne z opanowaniem szlaku podkarpackiego przez Kijów po załamaniu się państwa wielkomorawskiego, co poświadcza Masudi, wspominając o granicy czesko-kijowskiej w Karkonoszach (Sudetach), a pisać miał w roku 943. Opanowanie ziemi Wiślan i Grodów Czerwieńskich przez wielkopolskiego Mieszka I zahamowało zapewne ruchy uchodźcze na szlaku podkarpackim, jeszcze przed ochrzczeniem się Rusi.

Dalej na zachód, ku pograniczu słowackiemu, sięgnęły ruskie osiedla dopiero znacznie później, zapewne w łączności z akcją osadniczą XIII wieku, a w każdym razie niewiele wcześniej. Były to zaś już czasy, kiedy Słowacja stanowiła bezsporną domenę wpływów kościoła łacińskiego.

W świetle powyższych obiektywnie stwierdzonych faktów nasze domniemanie, że słowacki zwyczaj umieszczania obrazów świętych nie nad łóżkiem, lecz w rogu izby, jak to czynią również i Wielkorusi, jest śladem obrządku słowiańskiego, staje się przypuszczeniem nie tylko wielce prawdopodobnym, lecz bodaj nawet jedynym dopuszczalnym wytłumaczeniem tej zagadkowej zbieżności. Występuje ono bowiem na terenie posiadającym ludność w głównej masie pochodzącą niewątpliwie z polskiego Podkarpacia, a zapewne dopiero przez konsekwencje przynależności do państwa wielkomorawskiego, pod względem kultury i języka najściślej zespolonej z obszarem czeskim.

Wpływ bizantyjski, zaszczeplony przez działalność apostolską św. Metodego, zapuścić musiał bardzo głębokie korzenie na terytorium katolickiej Słowacji, skoro jego ślady dochowały się aż do naszych czasów, mimo tak zupełnego triumfu kościoła łacińskiego. Odegrał on zresztą poważną rolę w procesie odrodzenia narodowego nie tylko Słowaków, lecz też i Czechów po tak długim okresie panowania Węgrów i Niemców, którzy nie przebiali w środkach walcząc ze Słowianami. Okazało się, że wielkie zdarzenia przeszłości, o których nas tak lakonicznie informują pisane dokumenty historyczne, pozostawić mogą nader trwałe i wymowny ślad, nawet w zdawałoby się najłatwiej zmianom ulegającej dziedzinie zjawisk etnograficznych, dotyczącej nie budowy samego domu, lecz rozmieszczenia jego sprzętów. Dokładne rozpatrzenie takiego szczegółu, jak umieszczenie obrazów w izbie chłopskiej, zbliżyło nas do zagadnienia stosunku zachodzącego między ziemią Wiślan a państwem wielkomorawskim, sugerując, że musiało ono odegrać dotychczas niedocenianą rolę w dziejach nie tylko Czecho-Słowacji, lecz też i Polski.

POEZJA WARSZAWY

Poezja Warszawy¹⁾ — to znaczy osobliwy czar tego jedyne pod słońcem miasta, to jego porywająca, żywiołowa dynamika, to jego urok mieniący się w niezliczonych tonacjach obrazów, wspomnień, przeżyć, wzruszeń i skojarzeń.

A Warszawa w poezji — to znaczy wszystko to, co dotąd z tego całego bogactwa zdołało wypowiedzieć słowo piękne, sztuka słowa.

Ogarniemy łatwiej skalę tej dynamiki, tego uroku, wprost gwałtownie rozszerzającą się, gdy porównamy choćby w skrócie to, co na tenże temat można by powiedzieć o innych wielkich środowiskach.

27 wieków historii Rzymu, 20 wieków historii Paryża — sprawiło, że na obliczu tych osobliwych, zbiorowych tworców kultury utrwaliły się pewne znamienne rysy, że otoczyła je właściwa im gloria podań i legend, pieśni i powieści o skali tak rozległej jak skala literatury rzymskiej czy włoskiej lub francuskiej.

Zauważmy tu jeszcze, że Rzym czy Paryż, Wenecja czy Florencja — to tematy nierzadkie w różnych literaturach świata. W tym sposobie poezja każdego z tych miast, utrwalona przez sztukę słowa, tworzy całe księgozbiory złożone z dzieł różnojęzycznych. Nawet nasza literatura upamiętniła to, że w dobie tzw. W. Emigracji jej główną siedzibą był Paryż.

Jakże wygląda poezja naszych stolic w porównaniu z tą magnificencją rozrosłą tak szeroko w czasie i przestrzeni?

Poezja miast doszła na dobre do wyrazu w sztuce słowa najpierw w Renesansie włoskim. Jest ona wtedy jednym więcej przejawem tego pędu do sławy, który wówczas ogarnia nie tylko jednostki, ale i ambitne ośrodki miejskie z Florencją na czele. W nieprzeliczonych od-
mianach głosi się wtedy wspaniałość renesansowych stolic.

¹⁾ Odczyt, wygłoszony 24 lutego 1949 r. staraniem Koła Polonistów U. P. w ramach „Tygodnia Odbudowy Warszawy”, poprzedzony przemówieniem JM Rektora U. P. prof. Kazimierza Ajdukiewicza.

W tymże zasięgu Renesansu rozkwitnął u schyłku średniowiecza i wyniósł się wysoko ponad inne miasta środkowej Europy — Kraków. Z podań i legend najpierw, a potem z modnych łacińskich pochwał składa się zrazu jego poezja, utrwalona w dobie rozkwitu przez sztukę słowa.

Ale gdy przedwcześnie zmarł Batory, gdy jego następca stolicę przeniósł do Warszawy, jakże przygasł na długo, jakże zmarniał, jak opustoszał stary gród wawelski ²⁾, jakże zubożyło się, osłabiło na długo, bo aż do połowy 19 w. jego życie, kultura, a co za tym idzie — jego sztuka!

W tym okresie, bez mała ćwierć tysiąca lat obejmującym, do głębi przejmowały naszą dawną stolicę co pewien czas przede wszystkim wspaniałe królewskie koronacje a jeszcze bardziej pogrzeby, i to tak dalece, że w kunszcie ich urządzania prześcignął Kraków — zdaje się na zawsze — wszystkie inne miasta polskie. A skoro królów brakło, grzebał uroczyscie Kościuszkę i mogiłę mu wznosił wysoką, a potem ks. Józefa; wyżywał się powtarzając z monarszym splendorem pogrzeb Kazimierza Wielkiego i te przeżycia odtwarzał w sztuce. Cały naród zapatrzył się i zaśluchał, kiedy w Krakowie pod wtór dzwonu Zygmunta sunął żałobny orszak z trumną Mickiewicza, Matejki, Wyspiańskiego, Słowackiego.

Zastygły w murach, posągach, sarkofagach, oparty na sztandarach minionej chwały, zaśluchany w echa przeszłości, stary Kraków odrywa się skwapliwie i łatwo iglicami wieżyc, strzelistym hejnałem od zgiełkliwej współczesności, od gorączkowej troski o dzień dzisiejszy i pograża się w zadumie, w urokach dawności i wspomnień. Stąd też poezja przeszłości, hipnoza kamiennych posągów i grobów, skupiona w wawelskich splendorach, doprowadzona do szczytów w dziełach Wyspiańskiego, stanowi dominujący, zasadniczy ton w tej twórczości, która z Krakowa się wywodzi albo na motywach krakowskich się opiera.

Ale tenże Wyspiański coraz boleśniej odczuwał to brzemie przeszłości. Zaczął się z nim zmagać i wysłowił tę walkę z martwicami i upiorami, wyraził z całą mocą groźbę, która się zataiła w tym „niebezpiecznym uroku” Krakowa, jako źródle natchnień i wzruszeń.

²⁾ U schyłku 18 w. Kraków liczy 9 500 mieszkańców i 378 domów, Warszawa — 120 000 mieszkańców.

W „Wyzwoleniu” i w „Akropolis” zwalcza on poezję grobów, rozmiiłowaną nadmiernie w poezji przyszłości. Wszakże pochodnię życia dzierży w ręku nie geniusz z brązu, „kochanek ruin i zapadłych uroczysk chwalca”, ale Konrad, polski Prometeusz, człowiek żywy.

Poezja Warszawy wywodzi się z pierwiastków zgoła odmiennych, z załączków nieuchwytnych. Wątle zrazu i nikle albo też zbyt przelotne są jej przejawy. Bo też nie mogła się ona opleść — jak poezja Krakowa — dokoła ginącej w pomroce legendy o bohaterze-założycielu (heros eponymos) ani też oprzeć się zrazu o wielowiekową historię, przetykaną pełnymi blasku imionami, które żyły w pieśni i powieści.

Przez długi czas niewyraźne i mroczne było oblicze tej śródleśnej osady rybackiej i myśliwskiej nad brzegiem szeroko rozlanej, potężnej Wisły. Wisła też i olbrzymie puszcze dokoła szumiące — a nie człowiek — nadawały przez całe wieki ton życiu, co się tu krzewiło.

Z odwiecznej, greckiej legendy, z średniowiecznej powieści o Meluzynie i z fal wiślanych wynurzyła się herbowna tego miasta Syrena, zbrojna w miecz i tarczę, niesamowita, raz urocza i kusząca ponętami, to znów groźna i mściwa.

Czyż można było ująć w trafniejszy symbol duszę Warszawy i jej dziejów?

Spod znaku tej niesamowitej syreny wyszły owe dwie mieszcзки, które około roku 1525 miały otruć dwóch ostatnich mazowieckich Piastów, księcia Stanisława i Janusza. Musiały to odplacić okrutną śmiercią. Opowiada o niej naoczny świadek Wapowski³⁾.

A niedługo potem na zamku warszawskim, rzekomo za sprawą samego Twardowskiego, odżyła przed rozgorączkowanymi oczyma ostatniego Jagiellona zmarła królowa Barbara w postaci cudnej mieszcзки Giżanki, aby przyspieszyć jego zgon. Krążyły o tym jeno głuche wieści, niestety, nie stać nas było na drugiego Szekspira, który by uwiecznił te tragiczne rozterki i halucynacje polskiego króla-Hamleta.

Tenże Zygmunt August obdarzył Warszawę iście po królewsku kunsztownym, drewnianym mostem, który swoim ogromem budził powszechny podziw. Oto harda i dotąd nieujarzmiona Wisła musiała ugiąć karku przed myślą i wolą człowieka. Dla ludności Warszawy nie była to tylko chwilowa, przelotna sensacja jak tyle innych przedtem czy potem, ale — aż do zniszczenia mostu przez powódź po 30 la-

³⁾ Dzieje Korony Polskiej...

tach — odnawiające się przeżycie o radosnym, krzepiącym wydzźwięku. Nawet sam Jan Kochanowski w kilku drobnych wierszach dał wyraz tej radości i dumie.

Jest to dla nas prawdziwą i radosną niespodzianką, że właśnie nazwiskiem rodzica poezji polskiej otwierają się karty tej bogatej, dotąd nie wydanej antologii, która nosi tytuł „Warszawa w poezji”⁴⁾. Wiersze Kochanowskiego, przeniknięte nowoczesnym już, renesansowym duchem, głoszą triumf postępu i zorganizowanej pracy nad ujarzmioną przyrodą⁵⁾.

Od r. 1573 Warszawa staje się główną siedzibą sejmów szlacheckich, a wśród nich zwłaszcza elekcyjne są szczególnie tłumne i zgietkliwe. Każdorazowe takie zdarzenie — to jakby nowy wylew Wisły, jakby swoista, polska odmiana wielkich średniowiecznych soborów, odpustów czy targów z nimi związanych. Sejmy są dogodną okazją do załatwienia ryczałtem tysiąca spraw innych, nawet najbardziej osobistych, do popuszczenia cugli bujnym temperamentom. Tu może herbem ponad tłum wyniesiony szlachcic, choćby nawet na parcianych rapciach karabelę nosił, jak to wśród mazowieckiej szlachty podobno bywało, wyszumieć się, nagadać, wykrzyczeć, nagardłować, nasycić na zapas oczy i uszy, przez szereg dni w zamkniętym dla innych kręgu panów-braci żyć jakimś gorączkowym, spotęgowanym życiem, upajać się złotą szlachecką wolnością, która w tej postaci i w takich sutych dawkach setkom i tysiącom uderzała do głowy jak mocne wino.

Miasto i najbliższe osady zatracają wtedy swój zwykły charakter, poddają się przemożnemu najazdowi, przemieniają się w olbrzymie mrowisko huczące od zgietku burd, pojedynków, libacji i traktamentów po gospodach. Demos szlachecki zachłystuje się słowem nie tyle pisanym, ile chętniej znacznie żywym, sztuką słowa niczym nie krępowaną we wszelakich odmianach. Tutaj się otwiera wyjątkowe pole do

⁴⁾ Pracuje nad nią Leon Płoszewski.

⁵⁾ Oto jeden z tych wierszy:

Na most warszewski.

Nie woła dziś przewoźnik: „Wsiadaj, kto ma wsiadać!
Niebezpieczno się wozić, gdy mrok pocznie padać”.
Słysz — mam ja zégar w mieszk, który póki bije,
Póty też i gospodarz, co go nosi, pije.
A ty śpi, przewoźniku, niedbając na goście.
Byś i darmo chciał przewieźć, ja wolę po moście!

popisu dla urodzonych gębaczów, narratorów, facecjonistów, jakich nigdy u nas nie brakło. Poprzestając na doraźnym poklasku, nie dbają oni o utrwalenie swej sztuki. Jak race wystrzelają i gasną przeważnie na zawsze dykteryjki, anegdoty, fraszki, kąśliwe paskwilusy, gawędy, mocno koloryzowane nowiny z szerokiego świata, „awizy” i „curiositates”, od których jeżyły się w grozie czupryny na łbach podgolonych i podchmielonych. Łapczywie, bezkrytycznie pochłaniały to wszystko mózgownice wyjałowione bezczynnością, aż huczało w nich jak w młynach.

A miejskie łyki, co nie mogły w tym brać bezpośredniego udziału, przypadały do ziemi, aby tylko jakoś szczęśliwie przetrwać taką nawałnicę.

Ileż w tym było bezcennego surowca dla rzetelnego artysty, malarza, poety, historyka czy pamiętnikarza!

Ale to wszystko marnowało się niemal bez reszty, przemijało szybko jak wiosenna burza. Refleksje Andrzeja Morsztyna na ten temat tchną goryczą, czczością, wspomnieniem jakiejś Sodomy i Gomory:

Sejm Warszawski

Wybrało się siedm grzechów na sejm do Warszawy.

Szumno, świetno wjechali — mając pilne sprawy.

Pycha w rynku stanęła, Łakomstwo w ulicach,

Gniew z Zazdrością u kupców, Obżarstwo w piwnicach,

Nieczystość tuż przy murach z Lenistwem została.

Po sejmach rozjeżdżali się panowie bracia do domów i tam parował z nich szybko ładunek przeżyć i wrażeń. Pozostawały na miejscu w Warszawie i najbliższej okolicy tylko mizerne resztki, kupy śmieci i mierzwy. A w historii, w życiu społecznym, w kulturze, w sztuce polskiej snuł się coraz groźniejszy, coraz bardziej duszący opar i czad.

Warszawa nie żyje, ale w e g e t u j e tylko w dobie rozkwitu szlacheckiej republiki. Król Jegomość zamyka się na zamku ze swym dworem, o ile przebywa w stolicy, Jan III usuwa się do zacisznego Wilanowa, sobiepańsko żyją magnackie pałace i wyodrębnione jurydyki.

Nadchodzą saskie z a p u s t y. Stanowy egoizm szlachecki prowadzi Rzeczpospolitą ku zatracie i odpycha od siebie coraz bardziej resztę społeczeństwa. Z rosnącą grozą patrzy ludność Warszawy, jak sejmy,

stałe zrywane, zamieniają się w uragowiska z prawdziwej demokracji, w piekielne orgie „złotej wolności“.

Mnożyły się różne zapiski, piętrzyły się historyczne materiały, ale sztuka słowa tylko dorywczo potraçała o motywy Warszawy⁶⁾. Nie stało bowiem mieszczan-literatów, którzy by współcześnie utrwaliłi przeżycia stolicy w tych burzliwych czasach, a szlachcice-literaci nie zrośli się z nią na tyle, aby się przejąć do głębi jej dolą-niedolą i na tych motywach oprzeć swoją twórczość.

Jeden tylko wśród tej gromady starszslacheckich literatów mógł się pokusić o to, aby z wyrazistością i rozmachem urodzonego narratora utrwalić szereg szkiców z życia Warszawy w czasie tłumnych sejmowych zjazdów, na które patrzył własnymi oczyma. To pan Jan Chryzostom Pasek, istny Homer szlacheckiej Polski, pośród długiego szeregu naszych gawędziarzy *magnus parens*, regimentarz, samego Zagłoby *praeceptor*.

Znajdziemy u niego zaledwie kilka kart na ten temat, ale też starczą one za wszystko to, co inni współcześni zdołali z trudem ze siebie wykrzesać. On zaś rąbnął tych parę ustępów na odlew i od razu wybił się na czoło⁷⁾.

Na dobrą sprawę ta Warszawa najpierw książęca, potem królewska, szlachecka, wielkopańska nie była właściwie miastem w pełnym tego słowa znaczeniu. Był to jakiś osobliwy, luźny zlepek osiedli rybackich, flisackich, jurydyk, wielkopańskich rezydencji.

Miastem z prawdziwego zdarzenia zaczęła się stawać dopiero w czasach saskich, kiedy to marszałek Bieliński ujął ją w twarde rygory. Znamy ją nieco lepiej dzięki Kitowiczowi a potem dzięki nie przestarzałym dotąd powieściom Kraszewskiego.

Wtedy to zaczyna kształtować się naprawdę oblicze Warszawy opartej nie o tych, co tylko się ocierają o nią swoim urzędem czy przelotnym pobytem, ale o stałych mieszkańców, związanych z nią od dziecka codziennym trudem, dobrą i złą dolą. Na Starym Mieście, na Solcu, na Powiślu budzi się i rośnie serce tego miasta, tam się buduje tradycja Warszawy i poprzez pokolenia przekazuje ciągłość języka, obyczaju, rodzimej kultury. Dotąd przewagą szlachty przytłumiona

⁶⁾ S. Twardowski, A. Jarzembski, A. Morsztyn.

⁷⁾ O widowisku w r. 1664, o sejmie w r. 1666, o sejmie elekcyjnym 1669. Jak Pasek króla Michała obierał.

zaczyna ta nieherbowna ludność w czasach stanisławowskich wreszcie podnosić głowę, „uznawać się w swoim jestestwie”, doceniać własną wagę i brać na siebie odpowiedzialność za wielkie sprawy.

Naprawdę żywa część społeczeństwa, nie strupieszala w martwocie starych nawyków, przechodzi w gorące rozbiory, pod obuchem klęsk i grozą nowych wstrząsów przez życiodajny, oczyszczający ogień upartej, zaciętej walki ideologicznej, z której powstaje nowa Polska, oparta na postępowej inteligencji, sprzymierzonej mocno z ludem warszawskim. Tu właśnie, w Warszawie, jest tej nowej Polski kolebka.

Nie przed jednostkami tylko — jak dawniej bywało — ale przed szybko rosnącą, coraz bardziej zwartą i zdecydowaną grupą ludzi o rozbudzonej odpowiedzialności za całość narodu, ludzi wyzwolonych z oparów i czarów złotej wolności — staje konieczność przebudowy ustroju społecznego i kultury na nowych, szerszych i trwalszych podstawach.

I wtedy to wreszcie, pod naciskiem tysiąca atmosfer, nad powierzchnię życia polskiego wytryska jak gejzer — myśl, rozum stanu, mądra troska o całość. Wytryska myśl daleko widząca, od schyłku XVI wieku u nas skrępowana, skrzywiona, wprzągnięta w niewolę uprzywilejowanej mniejszości — a teraz porywająca swoją dynamiką, entuzjazmem, siłą przekonania u takiego Staszica, jasnością u takiego Kołłątaja, gorączką działania u Kilińskiego, szewca-pułkownika.

Ta myśl żarliwa, szukająca sposobów ocalenia, utrwalenia zachwianych podstaw bytu społeczeństwa, ta walka ideowa awangardy pokolenia stanisławowskiego — jest zjawiskiem na taką skalę dotąd u nas nie widzianym. Jeżeli kiedykolwiek w ogóle, to teraz właśnie można u nas wyczuć, dostrzec i podziwiać poezję myśli twórczej, rozplamionej uczuciem, drgającej żądzą doraźnego czynu. Nie wolno tej poezji myśli w obrazie życia literackiego Polski XVIII w. pomijać.

Urzekają współczesnych — a także nas potomnych — swoją dynamiką, śmiałością, poławem takie zbiorowe twory jak Szkoła Rycerska, jak wspaniała, na światową już miarę Komisja Edukacyjna, jak prace Kuźnicy Kołłątajowskiej i stronnictwa reformy. Te osiągnięcia, te doraźne realizacje budzą — mimo wszystko — wiarę w przyszłość i we własne możliwości, podziw wśród obcych, niepokój wśród aż nazbyt pewnych siebie zaborców. To wszystko rodzi się oraz dojrzewa w go-

rażącym klimacie Warszawy, chwilami rozpalonym aż do czerwieni paryskich jakobinów. Wszakże na nich wzorował się klub radykalny, którego duszą był nie kto inny, ale sam ks. Hugo Kołłątaj. Do wtóru wielkim hasłom rewolucji francuskiej, nad samolubstwem warstwy dotąd przodującej, nad przesadami ćmiącymi światło, nad nieczułymi lodami stanowych przywilejów — wznoszą się przekuwane w czyn ideały równości, braterstwa, solidarności, postępu społecznego. Przyświeca tym entuzjastom myśli i czynu daleka, niestety zbyt szybko przez przemoc stłumiona, jutrzeńska prawdziwej wolności.

Umyślnie przywodzę tu terminy „Ody do młodości“, bo chyba ona jedna tylko przechowała i oddała rytm tych wspaniałych wysiłków i osiągnięć, ich porywisty, niepohamowany marsz w przyszłość bez względu na to, jaką ta przyszłość naprawdę będzie.

W tym pełnym poezji rozmachu, w tym młodzieńczym zrywie, który porwał za sobą najlepszych w całym narodzie — Warszawa wysuwa się bezwzględnie na czoło.

I wtedy to właśnie budzi się do życia, wtedy w historię narodu wchodzi jako siła czynna lud warszawski, coraz aktywniejszy, coraz bardziej uświadomiony. Wtedy to w ogniu wypadków występują znani już nam „po nazwiskach“ jego przedstawiciele: szewc Kiliński, jego kolega cechowy Hiszpański, sławetny burmistrz Dekert i ta przekupka Kłaczkowa, co w czasie oblężenia Warszawy przez Prusaków przez samego Kościuszkę została odznaczona.

Wtedy to w Warszawie pojawia się piosenka, która zmienia melodię i słowa wraz z wielkimi wypadkami, piosenka ludowa i narodowa zarazem, wierny towarzysz tego miasta w jego doli i niedoli. Najpierw piosenka o Trzecim Maja, radosna, tętniąca wiarą w lepszą przyszłość, potem kościuszkowska „Do broni, bracia, do broni“, potem przez długie lata mazurek Dąbrowskiego, niezłomny, żołnierski, a obok niego pobrmiewająca warkotem bębnow bijących do szturm „Warszawianka“ i spokrewniony z nią Mazurek Chłopskiego, „Walczyńnych tysięcy“ i to rzewne „Bywaj, dziewczę, zdrowe“. Z biegiem lat coraz groźniej po Warszawie huczą takie pieśni jak krzywdą wezbrana „Gdy naród do boju“ a następnie Czerwieskiego „Czerwony sztandar“ i coraz liczniejsze piosenki legionowe, partyzanckie, powstańcze z ostatnich lat aż po Marsz Mokotowa:

„Nie grają nam surmy bojowe
I werble do szturm nie warczą...“.

Począwszy od czasów stanisławowskich Warszawa nadaje ton naszemu życiu zbiorowemu, kulturze i sztuce. Z jednego brzegu dawnej Rzeczypospolitej przez czyściec i piekło niewoli aż ku drugiemu brzegowi Warszawa prowadzi ten jedyny, na miarę nadludzką zakrojony Polonez „gdzieś z kazamat, groźny, szumny, posuwisty”. Pobrmiewają w nim dalekie i coraz dalsze echa poloneza z „Pana Tadeusza”, ale coraz rzadziej w nim „czerwone polyskują buty”, coraz rzadziej w nim „bije blask karabeli”, coraz liczniej, coraz tłumniej bierze w tym pochodzie udział szary mieszkaniec stolicy. Do sławetnych mieszczan i szlachty, do oficerów i żołnierzy, nauczycielstwa i studiującej młodzieży, do tzw. inteligencji różnego autoramentu — dołączają się w polistopadowej dobie do tego pochodu coraz częściej kobiety, działaczki, nauczycielki, literatki. Od wielkich manifestacji przed powstaniem styczniowym rośnie udział rzemieślników, robotników, proletariatu. I coraz większą rolę w tym niepowstrzymanym marszu gra bezimienna gromada, coraz bardziej nie o jednostki już i drobne grupy, ale o rosnące gwałtownie organizacje społeczno-polityczne opiera się potężniejąca nieustannie — jak Wisła wzbierająca w czasie Powodzi — dynamika tego miasta.

Do sugestywnego obrazu tego pochodu, trwającego przez pokolenia aż po ostatnie czasy włącznie, dodajmy jeszcze jeden drobny, ale jakże wiele mówiący motyw. Oto od początku tego stulecia dostrzeżemy tu również młodzież nieletnią: uczestników strajku szkolnego, tych chłopców, co to rozbrajali niemieckich żołnierzy w r. 1918, a wreszcie tych z warszawskiego powstania.

Zmienia się wciąż rytm tego niesamowitego poloneza, raz jest przyspieszony, gorączkowy jak żołnierski czy powstańczy pęd do ataku na bagnety, to znów powolny od wysiłku, od upływu krwi, od męki, co siły przerasta, aż do automatycznego już posuwania się pod nawalą kłęski.

Ale pochod zawsze trwa, posuwa się naprzód mimo wszystko — ku wytęsknionemu drugiemu brzegowi.

Tylko cudowne palce Szopena zdołały utrwalić na zawsze część nieprawdopodobnej, tytanicznej potęgi tego poloneza, jego urzekającego czaru, jego porywistego rytmu, jego wspaniałej poezji żywej.

Historia i nauka historii z trudem tylko może uchwycić bogactwo życia tego środowiska w miarę jego rozrostu. Notuje luźne fakty, wy-

odrębnia wybitniejsze osobistości, opisuje niektóre zdarzenia i stara się je wyjaśnić, ale do ich klimatu, do gry sił w pełni nie dociera. Przeważnie więc poprzestaje na rejestracji, na pilnym zbieraniu i porządkowaniu materiałów historycznych. Szeroka skala życia Warszawy, jego bujność i prężność — urąga wszelkim zakusom zamknięcia go w schematy wyłącznie rozumowe.

Natomiast sztuka słowa chwyta je w okruchach, fragmentach. Najwięcej znajdziemy ich w różnych odmianach powieści czerpiącej wątki z tego środowiska, we wszelakich postaciach pamiątek, gawęd i relacji.

A skoro jeszcze sztukę słowa ujmiemy w szerokim znaczeniu, tj. nie ograniczymy jej tylko do słowa pisanego, do tekstów czytanych milczkiem, ale w odpowiedniej mierze uwzględnimy też sztukę słowa żywego w różnych przejawach — to będziemy musieli przyjąć, że w żadnym z większych środowisk w Polsce gdzieś od drugiej połowy XVI w. sztuka słowa żywego nie posiadała takiej nieprzerwanej ciągłości rozwoju, takiej żywotności — jak właśnie w Warszawie. Tu w związku z sejmami elekcyjnymi rozbrzmiewa słowo żywe już nie w zamkniętych kołach, ale po miejscach publicznych, tu szeroko rozchodzą się echa płomiennych kazań sejmowych na wskroś politycznych najpierw Powodowskiego, potem Skargi — tu od chwili przeniesienia stolicy krasomówstwo ma swoje pole do popisu. Tu wreszcie jest najpodatniejszy teren dla wszelakiej publicystyki — a przecież publicystyka jest macierzystą glebą naszej literatury pięknej.

A kiedy się zbliżały czasy wielkich reform pod schyłek dawnej Rzeczypospolitej i sejmów, coraz burzliwszych, zwłaszcza Sejmu Wielkiego, to słowo żywe potężnie się przeobraziło. Z frazeologii czasów saskich, z pustosłowia, ze szkolarskiej, nadętej i laciną naszpikowanej gadaniny przechodziło pod naciskiem wypadków i coraz potężniejszej opinii publicznej do stylu pełnego treści, siły, prostoty i celności wyrazu. Tak jak ongiś w XVI w. wzmogło się gwałtownie polskie słowo żywe i pisane, tak teraz od czasów stanisławowskich niemal wyłącznie już na bujnej glebie Warszawy wchodziła sztuka polskiego słowa w okres nowego rozkwitu, związanego mocno ze współczesnością, z rozszerzeniem podstaw społeczeństwa, po prostu w nową epokę kultury. Tu pracuje sławna „Kuźnica Kollatajowska”, tu jest kalebka i stolica naszej prasy, tu się rodzi i rozkwita polski felieton, tu po-

wstaje świadoma uprawa kultury języka z gramatyką Kopczyńskiego i sławnym słownikiem Lindego na czele.

W urodzie, w poezji takich miast, jak Paryż, Rzym, Florencja, Bruges, stary Gdańsk czy Kraków — główne akcenty padają na piękno utrwalone przez plastykę, architekturę, rzeźbę, urbanistykę. To właśnie piękno rzeczy, piękno statyczne, utrwalone w kształtach widomych, narzuca się tam w pierwszym rzędzie, stanowi akcent dominujący. Także w sztuce słowa zajmuje tam ono wiele miejsca, mieni się tęczęmi kolorów i wypowiada w setkach utworów, w tysiącnych opisach.

Piękno Warszawy od schyłku 18. wieku nie opiera się na elementach statycznych, wizualnych. Jest ich tu znacznie mniej niż w tamtych miastach. Na piękno Warszawy składają się nie domy, place, ulice, ogrody i pomniki, ale przede wszystkim ludzie, ich niezwykle przeżycia jednostkowe, a zwłaszcza zbiorowe, rozległa skala gromadnych przeżyć, klęsk i zwycięstw, zmagani się tragicznych, napięć i odprężeń o najwyższej sile. Można by więc to piękno w odróżnieniu od tamtego, wybitnie statycznego, wizualnego piękna rzeczy nazwać dynamicznym, dramatycznym, wybitnie ludzkim.

Od czasów stanisławowskich aż po ostatnie narasta w tempie przyspieszonym problematyka związana z życiem Warszawy a zarazem galeria wybitnych postaci i typów — słowem, pomnażają się zasoby tej surowej rudy, niesionej przez strumień życia, z której pełnymi garściami może i powinna czerpać sztuka i poezja.

Wybitnych, utalentowanych a także genialnych osobistości od Konarskiego i Żaluskiego aż po L. Krzywickiego czy Kaz. Piekarskiego nigdy tu nie brakło, i tylko niektóre doczekały się dotąd swego Plutarcha. Z całą pasją i wrodzoną sobie dociekliwością pogrążył się w atmosferę końca 18 i pocz. 19 wieku Berent, zagrzebał się w archiwaliach i pamiętnikach i pozostawił kilka bogatych i mocno na rzeczywistości historycznej opartych portretów literackich, „opowieści biograficznych”, jak je nazywał, od Jezierskiego do Staszica. Monumentalna monografia Askenazego o Łukasińskim w niejednym ustępie należy do literatury pięknej. Ale tego wciąż mało. Chcielibyśmy co prędzej doczekać się portretów literackich czy opowieści biograficznych o ks. Boduenie, o aktorach Żółkowskich, Kudliczu, M. Frenklu,

Kolbergu, Fr. Kostrzewskim, mec. Osuchowskim, Kaz. Wł. Wójcickim, Dion. Henklu, Korczaku, Buchnerze, Nalkowskim. Wszakże nie jeden z tych wybitnych ludzi sam jeden zastępował całą instytucję czy organizację, albo stworzywszy ją, w nią się niepodzielnie wcielał.

Powstanie listopadowe — to w dziejach kultury polskiej odrębny kompleks zjawisk, to głęboki wstrząs sięgający do samych podstaw struktury społecznej. Przewartościował on wiele wartości, rzucił na poniewierkę dziesiątki tysięcy, zarzewie buntu przeciw despotyzmowi rozniósł po Europie. Rozpętane moce tej burzy, jej wiry długo nieuśmierzone wyrzuciły na brzegi polskiej sztuki słowa wiele różnych wartości utworów. Wtedy to pojawił się pierwszy wielki poeta Warszawy — Słowacki i stworzył w „Kordianie” sugestywną, hamletyczną, aż do granic obłędu przeczuloną postać spiskowca-podchorążego. Przez pełnych sto lat ta genialna, romantyczna kreacja ucieleśniała nasze wyobrażenia o młodzieży z okresu powstania listopadowego, fascynowała poezją konspiracji, fantastyką gorączkowych widziadeł. Aż wreszcie po stu latach Kruczkowski oparł się na autentycznych z tych właśnie czasów pamiętnikach chłopca Deczyńskiego i w powieści „Kordian i cham” jakby w krzywym zwierciadle ukazał nam te same czasy i tych samych ludzi. Chorobliwe marzenia o zbawczym, jednostkowym czynie okazały się kwiatem rosnącym na bagnach klasowego ucisku i nędzy chłopskiej. Jakżeż się przez to pogłębiła, jakże się poszerzyła nasza wizja tych czasów i tych ludzi!

Ale zanim jeszcze na widowni ukazała się rewelacyjna powieść Kruczkowskiego, wyrwał się jakby przemocą z zakłętego koła „niebezpiecznych uroków” Krakowa Wyspiański i na pewien czas pograżył się w echach tej listopadowej nawałnicy. Stał się przez to i on jednym z poetów Warszawy. Dorywczo tylko na jedną tylko w jego dramatach wyjątkową kreację muszę tu zwrócić uwagę: na Wiarusa z „Warszawianki”. W przeciwieństwie do gorączkowych halucynacji i bezsilnych szamotań romantycznego bohatera Kordiana, w kontraście do połyskującego złotem świetnego sztabu oficerów, do patetycznych deklamacji — ukazuje się tutaj niesamowita postać starego wiarusa, prostego szeregowca z dywizji Żymirskiego. „Zbłocony, schlpany, oprószoney śniegiem”, w milczeniu oddaje raport i odchodzi. Swoją surową prostotą i grozą wymowną ta postać wprost druzgoce

„kopułę wzniosłości” całego otoczenia utkaną ze słów i majaków, z nastrojów, rankorów i chimer. Poezja żywa, od słownej stokroć potężniejsza, przemówiła tu w całym majestacie tragiczności zbiorowego losu. Ten wiarus z „Warszawianki” urasta do wyżyn wielkiego symbolu naszej porozbiorowej historii. Wszakże ten prawdziwy bohater, prosty żołnierz bez nazwiska pojawił się już w legionach Dąbrowskiego i we wcieleniach wciąż nowych, w poniewierce, przewędrował przez całe piekło niewoli aż po nasze czasy. W Warszawie właśnie jest jego stolica i jego dostojny grób — tam pod arkadami na Placu Saskim.

W porównaniu do pisanego — nie piórem, ale żywą krwią — olbrzymiego eposu o polskim nieznanym żołnierzu czy rewolucjonście, ściganym przez szpiegów i zbirów — jakże ubogo wygląda to, co na ten temat utrwaliło pióro!

Po kilkuletnim popowstaniowym odrętwieniu już w latach 40-tych zeszłego wieku Warszawa znów się budzi do coraz pełniejszego życia. Mimo wszystko tu bije serce narodu, tu się rozstrzygają jego najżywniejsze sprawy. Do pełni życia kultury nie mógł wystarczyć wczesny pozytywizm Poznania z połowy wieku ani późniejsza intelektualno-artystyczna bujność Krakowa. A tymczasem w Warszawie z żywiołowym niemal rozmachem powstają wciąż nowe instytucje, zrzeszenia i związki, firmy wydawnicze, periodyki, tu fermentuje coraz silniej życie polityczne. Mimo niewoli, niektóre instytucje wykazują prężność, gdzie indziej w Polsce niespotykaną: Staszicowskie fundacje zajmujące się rzemiosłem, periodyki takie jak „Biblioteka Warszawska”, która przez 75 lat umiała utrzymać swój wysoki poziom, redakcja „Słownika Geograficznego”, imponującego ogromem zorganizowanego trudu naukowego, wielkie stronnictwa społeczno-polityczne. A za tym wszystkim stoją ludzie, ideowcy, nieraz prawdziwi bohaterowie cichej, szarej pracy, nieraz zapoznani, zapomniani szeregowcy i podoficerowie rzetelnej nowoczesnej kultury. Ten rozmach, żywotność, cudowna moc odradzania się manifestuje się wciąż w tym mieście w tysiącznych kształtach i na wszystkich szczeblach społecznych. Jest w niej porywająca siła, dynamika, a więc i poezja.

Ale nie tylko jednostkami, wybitnymi indywidualnościami w różnych dziedzinach żyje i karmi się poezja Warszawy. Opiera się ona również o różne znamienne dla tego środowiska postaci typowe.

Już od połowy minionego stulecia utrwalali je pilnie tacy entuzjaści Warszawy, jak Kaz. Wł. Wójcicki, w gawędach i obrazkach, a Franc. Kostrzewski w głośnych rysunkach i szkicach. Rosnąca skala życia dostarczała tworzywa z różnych warstw, grup społecznych i zawodów, od niebieskich ptaków, pasożytów i lekkoduchów aż do ludzi twardej i ciężkiej pracy i walki o lepsze jutro. Wśród tych postaci na czoło obrazków, nowel, piosenek i powieści wysunęły się typy najbardziej popularne, otoczone wyraźną ogólną sympatią: a więc ten wspomniany stary wiarus w jego różnych odmianach, zamaszysta przekupka ze Starego Miasta, sentencjonalny stróż kamieniczny, zapracowana po nocach szwaczka, tryskający sprytem terminator, piaskarz z Powiśla, jakiś dziwak bibliofil, chudy literat, student czy muzyk z poddasza, entuzjastka nauczycielka, dorożkarz mądrała i roznosiciel gazet, a także ta zawiedziona dziewczyna, co się w nędzę stacza.

Rozmaitość tych odmian wzmaga się wraz z rozwojem miasta i rytmem życia i składa się w całości na większe niż gdzie indziej w Polsce bogactwo, z którego coraz chętniej czerpią tacy literaci, jak Kraszewski, a potem Gomułicki, Kaz. Laskowski, Orłot, Gawalewicz, a przed wszystkimi Prus, entuzjasta tej Warszawy szarej i zgrzebnej, a jakże często szczerym złotem przetykanej, Warszawy z poddaszy, zaułków, facjatek i podwórzowych oficyn. On też dał w „Lalce” pierwszą wielkiej miary powieść o Warszawie. Od niego zespół tych poetów Warszawy wciąż rośnie aż po ostatnie dni.

W parze z bujnym życiem tego miasta, od chwili, gdy Warszawa osiągnęła pełną samowiedzę swej przodującej roli w życiu narodowym, jako niezbędna przeciwwaga wstrząsających, tragicznych przeżyć dochodził do wyrazu w słowie żywym a także pisanym humor, uśmiech, żart, dowcip, ucieszna anegdota, dyktetyjka. Nie można sobie Warszawy bez nich nawet w najcięższych jej chwilach wyobrazić. Wrażliwość na tę bezcenną witaminę jednostkowego i zbiorowego życia, łatwość, z jaką ona się rodzi i działa, lotność, z jaką się szerzy, rozmach, pomysłowość w tym zakresie — to cechy wybitne, wyróżniające Warszawę od miast innych. Nie można zapominać, że tu jest stolica naszej komedii politycznej („Powrót posła” Niemcewicz, „Polityka” Perzyńskiego), że dowcip, anegdota, humor dochodzą tu do

pełni wyrazu w sztuce słowa poprzez takich popularnych aktorów, jak Kudlicz, bracia Żółkowscy, a potem wspaniały Mieczysław Frenkiel. Czyż przekonującym dowodem nie jest wreszcie to, że pismo humorystyczne „Mucha” wychodzi tu do dziś od lat już przeszło 75?

Poezja Warszawy wzbierała od polistopadowych czasów jak strumień wiosenny, obejmowała coraz nowe odcinki życia, wydobywała nowe tony, motywy, tematy. Z wybuchem pierwszej, a zwłaszcza drugiej wojny światowej — napór tych wód wezbranych zdawało się przekroczyć przyrodzone granice. Wśród gromów września 39 roku, przez wstrząsające tygodnie oblężenia, bombardowana, palona, spowita barykadami⁸⁾, potem zaś pod obuchem okupacji dręczona na wszelkie sposoby a jednak nigdy ostatecznie nie ugięta, gwałt gwałtem odpierająca — równie skutecznie walcząca granatami „rozpylaczem”, jak tajną prasą, piosenką uliczną, zjadliwym dowcipem, szyderstwem, miażdżącą ironią na podziw całego kraju, na osłupienie katów, na zdumienie świata wyniosła i dumna swoją postawą — Warszawa rozbłysła bogactwem swej urody. Ten czar natchnął dziesiątki, setki, tysiące. Z najdalszych stron tułaczki i wygnania płynęły ku temu miastu serdeczne słowa tęsknoty, oddania, podziwu, niemal modlitwy jakby do utraconego raju, jakby do obiecaniej ziemi.

W okresie walki podziemnej z okupantem narastają najdziwniejsze, słowem w pełni mimo niejedynej próby nie ujęte kształty życia — bogaci się niepomierne galerie typów. A potem od 1 sierpnia 1944 r. aż po początek października wytryska pod niebo raz upiorny, piekielny, to znów ekstatyczny, ofiarny aż do całopalenia okres powstania. Ale tu nie koniec przeobrażeń. Wyludnienie i szatańskie niszczenie stolicy pod koniec 44 r., tragedia ruin i zgłiszcz i gruzów a po-

⁸⁾ Por. wiersz Nieznanego Autora w zbiorze „Warszawa bohaterska”, Łódź 1946:

Nogą można potraćić — tuż obok rynsztoku
W biednych kwiatach i hełmu rynsztunku
Krzywy napis „Nieznany” i z błota powłoka,
I słowa twardej chwały: „Padł na posterunku”.

Jemu to się należy najszczerzy z pacierzy,
Co umierając szeptał: „Warszawy nie damy”.
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej ramy —
Taka mała mogiłka, a wielkość w niej leży.

tem huraganowe uderzenie Armii Czerwonej i polskich dywizji od wschodu. A wreszcie — powrót i to spazmatyczne przywarcie do gruzów, aby z nich nowe życie wykrzesać, spod gruzów resztki ludzkie wygrzebywać i znów ku życiu i słońcu się uśmiechać — z wiarą zacząć odbudowę tego, co nie zamarło pod gruzami, ale tylko przywalone kataklizmem czekało chwili oswobodzenia.

Mieści się w tych przeżyciach ostatniej już, naszej doby bezmiar wzruszeń i doświadczeń od najstraszliwszych, z ostatnich kręgów dantejskiego piekła aż do najszczytniejszych, na jakie stać nas było kiedykolwiek przedtem.

Sztuka nie odtworzy tego wszystkiego, co przyniosło życie, ale ona musi to prędzej czy później na swoje sposoby przetrwać, przezwyciężyć, wytłumaczyć. Inaczej nie spełni swego zadania w życiu zbiorowym. Stoi tu przed nią wielkie i pilne „zamówienie społeczne”. Kiedyś, po latach, wysiłkiem rzetelnych talentów literackich wydzwigniona Warszawa urośnie w oczach pokoleń do wielkiego symbolu. A wtedy, że tu użyję przepięknych słów z zakończenia „Dwóch teatrów” Szaniawskiego, „z nowego brzegu będziesz patrzył, jak wyrasta ku górze miasto najdroższe, miasto ukochane, a ponad dachami jeszcze wyżej wyrastają wieże coraz smuklejsze, coraz doskonalsze, aż zatrzymane w najwyższej ekstazie patrzeć będą znowu długie lata w niebo, chwytając wieczny niepokój piorunów i wielki spokój cichych, mlecznych dróg”.

Mimo gwałtownie wzbierającego bogactwa wypowiedzi na temat Warszawy zastanawiają nas przejawy bezsilności słowa, które nie może już odtworzyć tego, co przeżywa w jakiejś niezwyklej chwili zwarty tłum ludzi, opanowany jedną myślą, zahipnotyzowany jednym znakiem, gestem, wstrząsem. Motyw wielemówiącego gromadnego milczenia powraca w różnych odmianach i stanowi bardzo istotną część żywej poezji Warszawy, ale w słowie już się nie mieści. Nie podobna go jednak tutaj pominąć. Razem z nim dochodzimy do samych granic sztuki słowa.

Taką właśnie złowróżbną symfonią ciszy były najpierw sławne przedlistopadowe parady na Placu Saskim, potem opisany przez Kraśzewskiego pogrzeb pięciu poległych i uroczyste, bezsłowne odsłonięcie pomnika Mickiewicza. Czy możliwy był jakiś jeszcze bardziej od tych zgrzytliwy zestrój niesamowitego milczenia? Ze jednak był

możliwy — tego dowiodły wielokrotnie czasy niemieckiej okupacji w Warszawie, a zwłaszcza szatańskie publiczne, zbiorowe egzekucje. A potem przyszły tygodnie i miesiące, kiedy ta wymowa wielkiego milczenia doszła do granic koszmarniej fantastyki. Stało się to wówczas, gdy Warszawa do reszty się wyludniła, kiedy zostały w niej tylko zgłiszcza i pustkowia gruzów zionące trupim odorem, kiedy w prochu wałała się kolumna Zygmunta, a Stare Miasto przybrało wygląd jakiegoś krajobrazu księżycowego. A jednak po tej martwej ciszy i ludzi, i ruin trysnęło na gruzach nowe, bujne życie.

Mickiewicz powiedział ongiś w prelekcjach paryskich: „Jeżeliś dotąd nie przeżył twojej wojny krzyżowej ani twojej rewolucji francuskiej — spiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł należeć do pokolenia dzisiejszego!”

Zważywszy centralną, ogniskową rolę Warszawy w naszej kulturze od czasów stanisławowskich, można by dziś z równą słuszością powiedzieć: Jeżeliś nie przewędrował myślą, nie przytulił do serca, nie ogarnął poczuciem swej współodpowiedzialności historycznej całej krzyżowej drogi Warszawy aż po minioną wojnę i aż po to ostatnie niewiarogodne a jednak prawdziwe i radosne zruinowanie — spiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł się zaliczać w dzisiejszej Polsce do ludzi naprawdę żywych!

SŁOWACKI W ITALII

Z obszerniejszej pracy prof. Mariana Szykowskiego, zatytułowanej „Słowacki w Italii” drukujemy poniżej fragmenty, odnoszące się do „Beniowskiego” i „Fantazego” — uw. Redakcji.

Wszystkie dantejskie pogłosy, które słyszę wyraźnie w wenedyjskiej tragedii, tworzonej bezpośrednio po opuszczeniu Florencji, trwają jeszcze jakiś czas, dopóki malstrom nauki Towiańskiego nie porwie poety i nie odrzuci jego myśli w wir genezyjskich zagadnień.

Nie mam zamiaru ich kompletować, wskażę jednak najbardziej charakterystyczne refleksy wrażeń włoskich w „Beniowskim”. Jest to bowiem poemat, do którego pisania namówił poetę Krasieński, „kochany Irydion”, związany łańcuchem przyjaźni, opartej na wspólnych przeżyciach i wspólnych włoskich wrażeniach — poemat rodzajowo i formalnie bliski „Podróży na Wschód”, osobista spowiedź i skarga Słowackiego, położona jakby na przedłużeniu jego ostatnich rozmyślań nad Arnem, walka o zdobycie uznania, którą postanowił być podjąć we Florencji — i dla jej przeprowadzenia właśnie opuścił ciche Tusculum w mieście Dantego, do którego już się był przyzwyczaił i gdzie ostatecznie nie czuł się najgorzej; poemat wreszcie przejściowy, który poeta snuje długi czas i po ogłoszeniu pierwszych pięciu pieśni w 1841 roku, przechodząc w nim z wolna z epoki ziemskiego dosytu w gorący war prozelityzmu nowej idei.

W dygresjach I pieśni „Beniowskiego” poeta powraca myślą do „Anhellego” i odpowiadając nieprzychylniej sobie krytyce pisze ironicznie:

... jaką popełniłem zgrozę
Pisząc na przykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łożę
Jak szpaki Danta; rzecz taka ponura,
A taka mleczna i nie warta wzmianki,
Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Jest to najpiękniejsze określenie zasadniczego t o n u „Anhellego”, związane z imieniem Dantego, który stał istotnie nad kolebką tej „syberyjskiej” wizji.

Użyte dla porównania „szpaki Danta” zostały wyjęte z porównania — Dantego; a mianowicie w drugim kręgu „Inferna” (V p.) wichura ponosi kochanków, którzy zgrzeszyli zmysłową namiętnością (m. i. Franceskę i Paola), jak stado szpaków:

E come gli stornei ne portan l'eli
nel freddo tempo, a schiera larga e piena,
così quel fiato gli spiriti mali.

W pieśni drugiej poeta wymalował obraz włoski. Przypomnił sobie galerię obrazów we Florencji, po której oprowadzał panie, trochę sam żartując ze siebie, jako ze znawcy sztuki.

Obecnie zjawia mu się jako obraz „poemat smutny od deski do deski”. Podyktowała go miłość miniona, której wspomnienie przechodzi w mgłę łez, „w białą chmurkę na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski tęczowe, chmurą obwiedzione złotą”.

W dole: Raphael pinxit albo Giotto —

Giotto, którego w szerszej skali Słowacki poznał dopiero we Florencji.

Obraz ten snuje się dalej, choć w mglistych, niewyraźnych zarysach. Przypomina się kościół z freskami Giotta: „kopuła myśli... wymalowana, jasna, księżycowa, Nad srebrnym duszy wisząca aniołem”.

W następnej pieśni (III) poeta wraca znowu polemicznie do własnej twórczości i wiąże ją z tercyną Dantego, nazywając tę strofę „prawdziwą lekcją, która poezji uczy”:

Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia,
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcja,
Która poezji uczy, jest dyssekcja.

Jest to ważne wyznanie, które wypłynęło ze wspomnienia lektury Dantego we florentyńskiej Bibliotece Narodowej, lektury, jak słyszemy, uważnej, dokładnej, analizującej, której Słowacki, jako poeta,

wiele zawdzięcza i swą wdzięczność wyraźnie podkreśla w cytowanych wierszach „Beniowskiego”, po czym przechodzi do rozprawy z krytykami, nie opuszczając sfery dantejskich wspomnień.

Mówi więc, że „dla własnej sławy, pokoju, wygody — krytykom, jak psom, rzuca kilka kości”:

Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł, jak Ugolino.

Poemat o Beniowskim poeta zakreślił na olbrzymią skalę, przy czym nie Dantego, ale Tassa „Jerozolimę wyzwoloną” miał na myśli jako wzór formy:

Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą, bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej poezji się boi;

Jest to znowu aluzja do „nagiej” bezrymowej poezji „Anhellego”.

Więc rzecz, co działa się tam gdzieś za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem Epos i niestety!
Może nie skończę.

Pisany oktawą Epos Tassa należał do stałej lektury dziecięcej naszych romantyków; zwłaszcza u Mickiewicza odbił się wyraźnie nawet w dziecięcych zabawach i w trwałym następnie kulcie dla twórcy poematu, który od stuleci krążył między nami w pięknym przekładzie Piotra Kochanowskiego.

O przysłanie tego przekładu prosi Słowacki matki w liście z Paryża 9. XI. 1832, upomina się potem oń z Genewy i potwierdza wreszcie odbiór wraz z „Trenami” Jana Kochanowskiego i Biblią Wujka (13 lipca 1834). „Do mojej polskiej biblioteki przybyła Biblia w naszym języku, którą często z rozkoszą czytam. Dzieła Kochanowskich są także dla mnie niewyczerpanym źródłem pociechy”.

Przeróbka więc „Jerozolimy” Piotra Kochanowskiego należy do podstawowych dzieł stałej lektury mistrza polskiej mowy poetyckiej, rozwiniętej tak świetnie poza macierzystym swoim terenem właśnie

przy pomocy rozczytywania się w zabytkach polskiego Renesansu. Jednakże z oryginałem „Jerozolimy” spotkał się Słowacki zapewne dopiero w Italii, kiedy posiadał i dobrą znajomość włoskiej mowy, i dopełnił swoje renesansowe wykształcenie u samego źródła.

„Jerozolimę wyzwoloną” i jej autora Słowacki wspomina jeszcze nieraz w poemacie o Beniowskim. W III pieśni cytuje „palmę Armidy”, tej chrześcijańskiej Cyrce, która się stała jedną z najbardziej popularnych i żywotnych figur starego eposu. Na początku pieśni X porównuje swój los z tragicznym końcem Tassa:

Patrz, jaki los był biednego Torkwata:
Ledwo gdzie o nim wie dom albo chata.
Dziś jeszcze jego głos jak harmonią szklaną
Śizga się, jako syrena tęczowa,
Po złotym płacząc kanale Orfano
W ciemnym szpitalu wyjęczane słowa.
Lecz moje i tych dźwięków nie dostaną
I czas je w długim grobowcu pochowa.

Po imieniu poeta wymienił „Jerozolimę” w urywkowej pieśni XI (ustęp II). Mówi tam o ukraińskim lirniku, podobnym „do tych czarodziei, których Tassowe malowało pióro w Jerozolimie”, czyli odwołuje się wprost do treści eposu.

Atmosfera Renesansu ogarnęła poetę i przenikała na wskroś, kiedy bawił we Florencji, „w ojczyźnie Danta”, najbliższej i najbardziej bezpośredniej obok Ravenny, gdzie poeta-wygnaniec (już swą tułaczą dolą bliski polskiemu romantykowi, co Słowacki dobrze odczuwał) spoczął snem wiecznym.

Tę atmosferę wspomina Słowacki ogólnie w pieśni III, zaraz po wzmiance o Armidzie, Dante bowiem i Tasso nieraz się kojarzą w tych wspomnieniach. Mówi żartobliwie, że ta strofa mu się nie udała. Gdy wrócił myślą do swej podróży na Wschód, na brzegi Nilu i do Jerozolimy, strofa „poszła krzywo”, bo wygonił go ze Wschodu „brak awantur i lodu”. Za to „w ojczyźnie Danta” znalazł jedno i drugie — w istocie lodu znalazł niewiele, daleko mniej aniżeli „awantur” (sc. miłosnych).

W zasadzie jednak nie chodzi i o „awantury”, ale o ten klimat duchowy, w którym twórczość Słowackiego znowu w pełni zakwita.

Wrażenie wycieczki do słynnej grot azzurra na Capri urodziło trzy przesliczne zwrotki w tejże III pieśni „Beniowskiego”:

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosna, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grocie odwiedzał błękitną
Kaprei — i tam ujrzał bóstwo swoje
Nagle błękitnym powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty,
Oblewające je od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny, lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze...
Żywy — lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi,
Zamknawszy oczy, znowu je otwierał,
Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacji i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał,
Niech popracuje albo puści żagle
Myślom.....

„Szwajcarski” poemat zaraz się przypomniał, gdy czytamy o tej grocie w „Beniowskim”. Przypomniał się „lodowa grot”, do której zaprowadził kochankę „dzień alabastrowy” i przemienił ją w posąg Panny Marii, i przypomniał się też sama figura, ale w ruchu Amfitrydy, płynącej „jezior błękitami”. I powtórzy się w następnej strofie „Beniowskiego” ten sam ruch „dziewicy”, pokazanej jako biała, „bezkolorowy”, na błękitnym tle żywy posąg. Stała „w grocie z promieni”, na piersiach swych trzymając ręce — jak „W Szwajcarii”, gdzie „ręce skrzyżowane kładła na alabastry widne, choć zakryte”; a i później, kiedy już ogarnęła ją fala obudzonego pragnienia:

Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni.

Te zestawienia powinny być pouczające: wskazują, że tak ważna w „szwajcarskim” poemacie grota jest późniejszą koncepcją. Urodziła się na Capri, a wypełniła miłosną treścią we florentyńskim Pratolino, gdzie oboje, poeta i jego Fornarina, wchodzili odpoczywać o południu do grot, w których „mruczały strumienie”.

Najbardziej osobista, piąta pieśń „Beniowskiego” cytuje i Dantego, i wspomnienie z Rzymu.

Powołanie się na Dantego poeta wiąże z własnym *credo*, z owym dumnym samopoczuciem mistrzostwa mowy poetyckiej, które przyznałby mu bez wahania „Jan Czarnoleski”. Pisząc swój poemat, poeta pędzi „sam w stepy jako ognisty koń z rozwianą grzywą, jak Ariost”. Uderza w całą gamę tonów i dźwięków, tworzy język tak giętki, że potrafi wszystko wypowiedzieć, „co pomyśli głowa”. I pod tym względem mógłby się przeciwstawić innym „poetom”, lecz wstrzymuje się od podawania imion, wołając:

„...moja Muzo, stój! Od imion własnych
Wara! z tej strony zrobiłabyś cmentarz.
Coś na kształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz...

oczywiście, jak do egzemplarza „Boskiej Komedii”, który Słowacki przestudiował we Florencji wraz z komentarzem, objaśniającym różne imiona „potępionych” w „Inferno”.

Wspomnienie rzymskie jest również „posągowe” i tak samo użyte porównawczo:

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bólu, gdy się uspokoi,
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi,
Wie, co czuł Sawa...

Ten „posąg niewolnika” — zapewne „Umierający Gal” w gladiatorzkiej sali Kapiolińskiego Muzeum — posiada dla poety we wspomnieniu widoczne *pretium affectionis*, albowiem budzi osobiste skojarzenie: odmyka „kraj przeszłości” i wznieca tęsknotę za utraconą wolnością.

Znana oktawa, w której poeta wyklada „polityczne credo”, określa je jako „sferę Dantejską” oraz wiąże je z zagadnieniem metryki, które jednak trzeba rozumieć bardzo szeroko:

A naprzód ten rym, co drwi lub przeklina,
Ma polityczne credo; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym szekspirowski, w Danta i w Homera,
Wierzę w republik jedynaka syna...
Mochnacki nim był u nas, ten koster!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez dyktatora dał się ukrzyżować.

W strofie tej Dante wyliczony został dwukrotnie w obu poruszonych kwestiach — politycznej i estetycznej, w tej drugiej obok Szekspira i Homera, w pierwszej wyłącznie, skoro całe swoje *credo* polityczne Słowacki określił jako „sferę Dantejską”.

Wymaga to pewnych objaśnień. „Credo” Słowackiego było republikańsko-demokratyczne i jako takie nie ma w swej istocie nic wspólnego z dziełem Dantego. Wspólny temu dziełu jest wyłącznie w „Beniowskim” „rym, co drwi lub przeklina”, a nawet można opuścić drwiny, a pozostawić jedynie przekleństwa, których nie brak w „Boskiej Komedii”.

Właśnie te przekleństwa posiadają zabarwienie polityczne: Dante rozprawia się ze swoimi przeciwnikami, z powodu których musiał pójść na wygnanie. Jest to aspekt, jeden z kilku, i nie najważniejszy, z którego można spojrzeć na dzieło Dantejskie jako na polityczną polemikę. I właśnie ten aspekt nazwał Słowacki w tym wypadku „sferą Dantejską”, przez co chciał powiedzieć, że w polemicznych dygresjach „Beniowskiego” był mu wzorem rym Dantego, co drwi, a głównie, co przeklina.

Zwróćmy przy tym uwagę, że owe przekleństwa znajdują się głównie w trzeciej części dzieła, w „Paradiso”, z czego widać, że Słowacki przestudiował dokładnie całość dzieła. Tutaj, w pieśni IX, znajdujemy gwałtowną diatrybę przeciw „Fiorenza diabolica”, a zwłaszcza cała sprawa wygnania poety została obszerniej przedstawiona w pieśni XVII, w formie przepowiedni jego pradziada Cacciaguidy. Z tych tercyn mógł się być twórca polski dowiedzieć najbezpośredniej szczegółów o losie Dantego, politycznego wygnańca, do którego sam siebie pod tym względem porównał.

Po wtóre, Słowacki mówi w cytowanej oktawie o Dantem, jako o wzorze poezji, albowiem „rym” oznacza w tym wypadku w ogóle twórczość, i to różnego rodzaju, skoro poeta wymienił także Szekspira i Homera: Homera słusznie na samym końcu, po obu swoich „kochankach” już ze szwajcarskiej doby. To, że wierzy w nich „sercem poganina”, znaczy chyba, że Apollina i klasyczne Muzy ma na myśli i na ich adres kieruje swoje wyznanie wiary poety.

Istnieją pogłosy pobytu we Włoszech i we Florencji w pięciu ogłoszonych drukiem pieśniach „Beniowskiego”. Lecz nie brak ich także w pieśniach późniejszych, za życia nie ogłoszonych.

Zwłaszcza obfite są w pieśni VIII, w której wspomnienie Rzymu odżyło plastycznie w kilku strofach, rozpoczętych apostrofą do „wiecznego miasta”.

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na toż to przysłał Bóg Attyli syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry? ... A tam jednak glina
Z Grachów ... i z duchów stoi obłok czarny
Na Koloseum; księżyc je upiększa,
Lecz jest, jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowej. Z taką to koroną
Stoją ruiny czarne i zębate.
O, prawda, że tam ptaszków pełne łono,
Że im powoje stanęły za szatę,
Że tam krzyż duma — i gromnice płoną,
Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam biedny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich - obłąkaniec —

Wypada i klnie „carbonari” i krzyczy „la gente d'inferno”, co przypomina poecie inkwizycję i dyktuje ostrą zwrotkę antyklerykalną; za czym wraca znowu do Rzymu, malując jego upadek i poniżenie, tak jak się przedstawiał naszym romantikom w owych latach, podsuwając przez to Krasińskiemu myśl o zemście Greka.

W dalszych tych oktawach, które się ciągną aż do końca tej pieśni, Słowacki wspomina zniszczenie miasta przez Alaryka:

Że jako ten grób, co się zamyka,
Zniknęło, cudzej uchodzące właści
I utonęło przed mieczem w przepaści.

Są to wszystko wspomnienia historyczne z doby upadającego Rzymu, która i Krasińskiego tak silnie zainteresowała. I jak u Krasińskiego w centrum tych wspomnień stoją ruiny Koloseum, oświetlone księżycem, z krzyżem w pośrodku: czyli znowu powtarza się spojrzenie przyjaciela, po czym dopiero występuje obłąkany mnich, którego miał Słowacki oglądać na własne oczy.

I przypomina się słup Trajana — słynna kolumna, położona dziś na odkrytym i uporządkowanym Forum Trajana, strzelająca w niebo na wysokość 33 metrów, zdobna w bas-rel'efy, które wyobrażają różne epizody z kampanii Trajana przeciwko Dakom.

Niewątpliwie tę kolumnę Słowacki ma na myśli i ją personifikuje w następującej oktawie:

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
 Pyta się biedna cicho: „A co w Rzymie?
 Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?
 Czy macie jakie na grobowcu imię,
 Abym go strzegła ja i nad nim stała.
 Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
 I wiem, co dola ludzi niepowrótna,
 I jeszcze po nich jestem dzisiaj — smutna?”.

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
 I stawia znowu czołem na gwiazd wianek.

Jak z tego widać, kolumnę Trajana właśnie wydobyto z „pyłu Attyli”, kiedy poeta był w Rzymie i rozpoczęto ją ustawiać z powrotem czołem do gwiazd. To sobie Słowacki dokładnie zapamiętał i w cytowanych wierszach wypowiedzenie głównej myśli powierzył temu wspaniałemu zabytkowi chwały antycznego Rzymu.

W tym wypowiedzeniu znać wyraźny rys — Irydionowy. Kolumna zmartwychwstała z pyłu wieków i pyta, smutna, czy odtąd stać będzie na grobowcu, godnym dawnej wielkości. Z negatywnej odpowiedzi ucieszyłby się Irydion, ale nie może się cieszyć kolumna Trajana, „co widziała mogiły olbrzymie”, i dlatego jest smutna.

Słychać nadto w tej personifikacji echo wiersza „Rozmowy z Piramidami”, które mogą być grobowcem dla każdej wielkości materialnej, ale nieśmiertelności ducha przykryć nie potrafią.

W politycznym jednak obrazie papieskiego Rzymu tej duchowej wielkości Słowacki nie dostrzega. Wszystko, co było wielkie w tym

mieście, umarło — wszystko, co żyje, odzywa się nieprzytomnym krzykiem oszalałego mnicha, którego poeta nie waha się nazwać „brudnym czartem”.

Dawna wielkość spoczęła w ruinach Koloseum, w słupie Trajana, w rzędzie wyschłych akweduktów, które Słowacki pokazuje Bohdanowi Zaleskiemu, autorowi kantyczkowych wierszyków, nieraz wyśmiewanych przez Słowackiego:

O mój Bohdanie! ja ci tam posągi
Pokażę smutne piękniejszych poganek;
Ja ci pokażę dawne wodociągi,
Co idą, jak tłum Samarytanek,
Niosą na głowie dzbany, korowody
Dzbanów, lecz wszystkie na głowach bez wody...
Choćbyś był, jako Chrystus upragniony,
Pić ci nie dadzą, zostawią u studni!
Ja ci pokażę od Tybrowej strony
Rzym, co się myciem swej bielizny trudni,
A nie trudni się obmyciem korony,
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała.

Jest to znowu bardzo plastyczne wspomnienie gorącego południa w Rzymie — w szczególności jego ubogiej części „transteverańskiej”. Wyschłe akwedukty budzą myśl o pragnieniu, a dalej przypomina się gorące południe i pranie bielizny — tak jak w „Beatrix Cenci”.

Następuje zwrotka ogólna, syntetyczna:

O miserere! Jam go widział z góry
Et de profundis; wiem, jak widać z grobu!

— czyli poeta widział Rzym ze wzgórza pałatyńskiego, z ruin „pałacu Cezarów”, gdzie się przechadzał wraz z Krasińskim i podzielał jego spojrzenie na Rzym w dobie upadku. To spojrzenie zmartwychwstałego Irydiona na upadły Rzym odbija się wyraźnie w następujących wierszach tej oktawy:

O miserere! Jam go widział z góry

(sc. z ruin pałacu Cezarów na pałatyńskim wzgórzu),

Et de profundis; wiem, jak widać z grobu!
Zielony on jest a w płaszczu z purpury,
A w rękę uschły kwiat — z świętego żłobu;

(sc. uschła wiara Chrystusa, narodzonego w Betlejemskim żłobie)

Nad nim z ognistych smoków lecą chmury,
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniający się jadem,
A każda w nim nić — czartem albo gadem.

Jest to niezmiernie ciekawa zwrotka. W pierwszej swojej części rozwija myśl ustępu z „dokończenia” „Irydiona”: zbudzony przez szataną ze snu wieków bohater powraca z groty w górach samnickich do Rzymu aby nasycić serce widokiem upadłego miasta. Przespał wszystkie historyczne ciosy, jakie spadły na Rzym i złamały jego potęgę, między nimi najazdy Alaryka i Attyli, których wspomnienie Słowacki wprowadził do osobnej strofy „Beniowskiego”. Obudzony został w dobie rozkładu za panowania papieża: rozkładu materialnego i ideowego.

W krążganku bazyliki San Giovanni in Laterano widzi dwóch starców, kardynałów „w purpurowych płaszczach”; w ich rękę „uschły kwiat”, to w poetyckiej mowie Słowackiego „ubóstwo myśli”, wyryte na ich twarzach w epilogu „Irydiona”.

Unoszą się ponad nimi, czyli ponad całym papieskim Rzymem, dantejskie chmury, które nadciągnęły do drugiej części tej oktawy z florentyńskich studiów poety — z „Inferna”, gdzie znalazł tyle ostrych ataków na kurię papieską. Odezwał się w nim znowu drzemiący i wrodzony od dziecka krzyk wolteriański, tradycyjne hasło reformacji „repudium Romae”, kiedy wspomniął dominikańską inkwizycję. I wspomnienie to przybrało kształt dantejski: czarta albo gada.

Poza nawias tych myśli Irydionowych o poniżeniu i nędzy (materialnej i duchowej) współczesnego Rzymu (co już poeta zaznaczył w wierszu „Rzym”) zostało wyjęte wspomnienie bazyliki św. Piotra, której Słowacki poświęcił pod koniec tej pieśni „Beniowskiego” kilka osobnych strof, rozpoczynając i zamykając nimi całą tę obszerną wkładkę „rzymską”.

Rozpoczął ją od watykańskich *loggii* Rafaela, którym poświęcił trzy zachwycone oktawy:

Co do mnie — wolę Rafaela łoża

— pisze poeta, przeciwstawiając te arcydzieła plastycznej sztuki poezji „katolickiej” szkoły, którą u nas uprawia Bohdan Zaleski. Woli (i trudno się dziwić) „Rafaela łoża”:

I te sufity, gdzie nad ludzką głową
 Wisi w tęczowych blaskach dzieło boże,
 A taką sztuką odświeżone nową,
 Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,
 Lecz o Jehowie będąc — jest Jehową,
 Iskierką jego treści dotykálną,
 Ludzkim filarem wspartą — i widzialną.

Ja, kiedym w górę spojrzeł, to, przestraczem
 Zdjęty, myślałem, że w braku sufitów
 Niebiosą wiszą otwarte nad gmachem,
 I te kołumny są bez żadnych szczytów —
 I chciałem myśli tytańskiej zamachem
 Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
 Gdzie powtórzone wisł boskie dzieło
 I trwa, a nasze co chwila — zginęło.

Nikt nie podał piękniejszej, bardziej poetyckiej charakterystyki arcydzieła Rafaela, do którego odnosi się jeszcze jedna, następująca oktawa, wiążąca to arcydzieło z przepowiednią sądu ostatecznego w Apokalipsie św. Jana: że gdy

Bóg światowi powie: „W gruzy syp się!”
 A grobom powie: „stójcie odemkniete!”

— to wtedy każe

tym sufitom: „Skrzydłami się nieście
 W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!”.

Wspomnienie bazyliki wypełniło cały koniec tej pieśni (5 oktaw). Zaczyna się wejściem poprzez wspaniałą kolumnadę Berniniego, gdzie tryskające dwie olbrzymie fontanny na Placu św. Piotra szczególnie silnie utkwiły w myśli poety:

A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha
 Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem;
 Ja wtenczas silną różdżką mego ducha —
 Co w środku ma kwiat, choć okryta lodem,
 Zakląłem źródła tak, że w tej potrzebie
 Anioły złote dwa mi dały z siebie

— może w skojarzeniu z mostem, zamkiem i potężną figurą św. Anioła.

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
 Skrzydła fontannom i włos im ubiera,
 Wyszły anioły przewodne, bliźnięta —
 Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela,
 I tę kopułę, która już pęknięta,
 Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela.
 Wzięły na skrzydła złociste, tułaczem —
 Abym nie zwałił jej echem i płaczem.

„Te dwie fontanny, co przed Watykanem, jak duchy tęczą opasane ranną” — odbiły się ponownie w słowach Hrabiny na początku „Fantazego”. W „Beniowskim” wyszły z nich dwa złote anioły, aby podtrzymać kopułę bazyliki, iżby nie zawalił się kościół, kiedy uderzy weń płacz tułacza — tak jak się wali istotnie w „Legendzie” Zygmunta Krasińskiego, przysypując gruzem naród tułaczy. „I wszystkie portyki” — opowiada Henryk Ligenza w tej fantazji — „i pałac Watykanu, i kolumny dziedzica łamały się i rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny, jak dwa białe gołębie, przypadły do ziemi, konając”.

Słowacki dobrze sobie zapamiętał ten koncept „Trzech myśli Ligenzy” (— wciągnął go do planu powieści o panu Alfonsie, jako pomysł pomocniczy: „Ligenzy o zwałeniu się St. Piotra” —), ale przerobił go i poprowadził w innym kierunku aniżeli wskazanie Apokalipsy, chociaż proroctwo św. Jana sam wspominał powyżej.

W zakończeniu tej pieśni „ogromną banię” św. Piotra podtrzymują dwaj aniołowie:

Więc póki stałem pod ogromną banią,
 To ją trzymała para jasnolica;
 Wysokość — z piekieł równałem otehtania,
 Bo ta kopuła — to Alp równiennica!
 Chmury stukają w okna, idąc na nią.
 I do kościoła wchodzi błyskawica,
 Pioruny wchodzą, jak nawałnie wodze,
 Spotkawszy kościół powietrzny na drodze.

Tę kopułę oglądał Słowacki nie tylko od dołu, ale był w niej rzeczywiście. „Wczoraj byłem na kopule św. Piotra i wlałem aż do kuli pod krzyżem, gdzie 16 ludzi pomieścić się może” — opowiadał matce w liście z Rzymu (28 maja 1836). W imaginacji wyobraził sobie błyskawice i pioruny, które uderzają o taki szczyt. Z tego wyobrażenia wybudował koniec tragedii o Balladynie, posyłając pogańską boginkę,

Goplanę, na chmurze ponad zamek Kirkora, „nad blaszaną banie”, skąd wypadnie wreszcie piorun i zabije na tronie uzurpatorkę korony Popiela.

Wspomnienie to ożyło w „Beniowskim”, przenosząc się na „banie” św. Piotra. Zwiedził ją „bóg Perun”, wypuszczający pioruny, a

wróciwszy w Łotysze,
Puszczom i sosnom błądy opowiada:
„Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
I kościół w chmurach stoi i nie spada,
Choć ja i wichry, moi towarzysze,
Ja i my dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
Tu na piorunach czerwonych przy'eci;
Marzanny w nim się zagnieżdżą, łabędzie
I orły będą w czerepie mieć dzieci...”
Tak mówi Perun; ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co próchnem świeci;
Dlatego bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

Jak św. Jan, apostoł miłości, zwyciężyć ma Piotra i na gruzach jego kościoła wybudować nową świątynię wyzwolonego od zła człowieczeństwa, tak u Słowackiego tę samą misję zburzenia i odbudowy wypełnić ma pogański Perun, co oczywiście nie może być rozumiane dosłownie. Ten litewsko-łotyski bóg oznacza nowy żywot młodych narodów, trzecią epokę, bałtycko-słowiańską, do której dąży stara Europa, wycieńczona i schorzała: „i orły będą w czerepie mieć dzieci” — wieści poeta, zapowiadacz „ex Oriente lux”, przy czym Chrystusową ofiarę Polski ma przede wszystkim na myśli, tak jak Krasiński i Mickiewicz, u którego idea nowej epoki Słowian z Polską na czele wykryształizowała się najjaśniej w kreacji włoskiego legionu.

Do burzenia starych świątyń przyłączył się później neoromantyk i hellenista Wyspiański. Trawestując legion Mickiewicza na dramatyczny poemat, wprowadził i on do kopuły św. Piotra bogów litewskich, a w „Akropolis” zburzył katedrę wawelską, ściągając ze starożytnego Olimpu Apollina, boga poezji i światła, przed którym ucieka Noc i zanika obraz męki krzyżowej rozpiętego na krzyżu Boga-Człowieka.

I nie są to tylko rojenia poetów, poczęte w łonie pragnień lepszej doli. Nasi wielcy romantycy przeczuli na sto lat, że stare formy się wałą (jak powiedział Schiller) i że ma się pod koniec świata, który trzeba będzie zaliczyć do doby starożytnej.

Już o tych przewrotach myśleli trzej nasi wielcy, myślał, bardzo głęboko, „eteryczny” Słowacki. W „Beniowskim” związał tę myśl ze wspomnieniem Rzymu i zamknął ją następującą prześliczną oktawą:

A teraz wybacz Cezarów mogiło,
I wy, Piotrowych fontan Świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy, kolumny, jak Pelejad wianki
Stojące w chmurach — i ty, świata siło,
Krzyżu pokorny — i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem —
Wybaczenie, żem się na was oparł czołem...

Jest to niezrównana w swej zwartości i swym poetyckim wyrazie synteza tych głównych podniet, którym uległa myśl obu rzymskich przyjaciół, Krasińskiego i Słowackiego: ruiny Rzymu Cezarów na wzgórzu palatyńskim, na Kapitolu, na Forum Romanum; Rzym papiński, skupiony dookoła bazyliki św. Piotra; i „krzyż pokorny”, „świata siła”, na arenie w Koloseum, ale nie w pałacach watykańskich: krzyż, znak cierpienia i ofiary bohaterskiego poniżenia, ewangelicznej prostoty; krzyż, z którym walczy Masynissa; krzyż na sztandarze legionu Mickiewicza.

Trzy jeszcze pogłosy dantejskie zauważyłem w „Beniowskim”: w pieśni IX, X i XIII; pierwszy wpleciony w akcję, dwa drugie w lirycznej dygresji, opartej na osobistym skojarzeniu.

W pierwszym pogłosie opowiada poeta, jak Beniowski, wzięty w niewolę przez krymskich Tatarów, związany został i położony w niszy grobowca a obok, w sąsiedniej komorze, spoczywa pod strażą Tatarek panna Gruszczyńska. Jest to okolica „Krymskich sonetów” Mickiewicza, w pobliżu Bakczysaraju i pod Czatyrdachem, który oświeca księżyc.

Ale to literackie wspomnienie popierają nadto własne przeżycia z podróży na Wschód, wspomnienie noclegu w Vostizy i grobowca Szecha, zacytowanego tu po imieniu, tak jak w „Ojcu zadżumionych”.

Panna Gruszczyńska, zmyliwszy czujność Tatarek, wstaje, idzie do niszy, w której spoczywa bohater poematu, uwalnia go z więzów i wyprowadza na wolność w noc księżycową. I właśnie ten krajobraz fantastycznego Krymu w poświęceniu miesiąca przywodzi na myśl wędrówkę Dantego po piekle, także wycieczkę w Sorrento z Włochem-przewodnikiem, jak komentuję drugą część tego wiersza:

Tatarki chrapią — księżyc srebrny świeci...
 O pomóż ty mi, Dante, i ty, Włochu
 Z Sorrentu... dwoje tych różanych dzieci
 Przez te parowy wieść okropne, sine
 Tam na błękitną, jak niebo, dolinę...

Zjeżdżałem sam z Amalfi skalistą drogą poprzez parowy, które muszą być „sine” w świetle księżyca, na dolinę Sorrenta nad błękitnym morzem — i dlatego wydaje mi się taki komentarz Włocha, postawionego obok Dantego w roli pomocnika opisu, uzasadniony.

Pomocnik-Dante tłumaczy się jasno sam przez się, albowiem następujący krajobraz jest wyraźną stylizacją krajobrazów „Inferna”: olbrzymie skały, potok, który „jęknie i zaszczeka”, świat dziki a zwłaszcza całe gromady węzów — to wyraźne kulisy wyobraźni Dantejskiej.

Następna pieśń, X, rozpoczyna się w czterech pierwszych oktavach osobistą dygresją, która w całości powołuje się na trzech włoskich poetów: Ariosta, Dantego i Tassa.

Dantem świadczy się Słowacki w drugiej oktawie, cytując jego słowa:

Dante także, drugi poeta epiczny

(sc. po Ariście, zacytowanym w pierwszej strofie).

Mówi: „O szczęśny, szczęśny, co się rodzi
 I nigdy w życiu za obręb graniczny
 Swoich zegarów miejskich nie wychodzi!”
 W tym wierszu słychać dźwięk melancholijny
 Rodzinnej wieży, który stare wodzi
 Wokoło domu piastunki sposobem
 I nie pozwala oddalić się — grobem.

Bardzo się wstydzę, ale oryginału tych wierszy nie udało mi się odnaleźć, choć wszystkie trzy działy „Boskiej Komedii” przewertowałem obecnie dokładnie, a także przeczytałem uważnie, i to nie raz, „Vita

nuova" oraz wszystkie inne drobiazgi z pozostałości Dantego. A może już ktoś te wiersze w ich brzmieniu oryginalnym odkrył? W takim razie mój wstyd byłby jeszcze większy.

W każdym razie Słowacki wynotował sobie te wiersze, albowiem odpowiadały jego tęsknocie za krajem i rodzinnym domem, wypowiedanej wielokrotnie w poezji i w listach do matki; w poezji, między innymi w „Hymnie o zachodzie słońca”, który dlatego tutaj znowu wymieniam, że ostatni wiersz cytowanej oktawy toć przecie wariant skargi: „więc że nieznane gotujesz mi łoże”, czyli kazałeś oddalić się mojemu grobowi od rodzinnych stron, skazując mnie na gorzką dolę człowieka bez ziemi, tułacza-emigranta.

W tym kierunku nasuwało się skojarzenie z dolą i Tassa, i Dantego. Tułactwo Tassa podkreślił Słowacki w dwóch następujących zwrotkach tej pieśni, na Danta powołał się bezpośrednio w pieśni XIII, pisząc „emigrant, jak ja”. A poza tym posłużył się wspomnieniem lektury „Inferna” znowu porównawczo: pan Beniowski

Nie goniąc wcale pod żadnym modrzewiem
Za świtezianką miał butów podnoski
Podarte albo spałone zarzewiem,
Jako u Danta, gdy ten śpiewak boski —
Emigrant, jak ja — wpadł między straszydła,
Co z kołci miały pierś a z ognia skrzydła.

Pisząc „Beniowskiego” Słowacki kochał się naprawdę „szalenie” — i po raz ostatni w życiu — w Marii Joannie Bobrowej, którą Zygmunt Krasiński porzucił był dla Delfiny.

O przebiegu tej gorącej sprawy informują nas dokładnie listy poety: jedenaście listów, napisanych do pani Joanny w latach 1841—1849, oraz trzy francuskie, adresowane do Leonarda Niedźwieckiego w maju 1841 roku z Frankfurtu nad Menem, dokąd Słowacki podążył za Joanną, aby ją zdobyć, jak mu wprost doradzał Niedźwiecki. Ale nie zdobył: twierdza obroniła się pancerzem wspomnienia wielkiej miłości do Krasińskiego i sam oblegający niemal przy tym nie zginął, szarpiąc się w męce („mon martyre ne finit pas” — skarży się wymownie) i narażając się na utratę nawet samej przyjaźni („Votre conseil d'oser” — pisze wyraźnie — „et de tout oser n'est pas

bon à suivre, je l'ai essayé et j'ai manqué de périr un instant de plus et tout aurait été fini pour moi").

Próbował Słowacki zdobywać kluczem poezji: czytał pani Joannie swoją florencką tragedię „Beatrix Cenci”, starał się recytować romans Beatryczy jak najpiękniej, modulacją głosu trafiając do serca słuchaczki. Trafił do jej uznania i pochwały, wzruszył jej czule serce losem bohaterki, otrzymał poklask jakby na teatrze — ale nic więcej. Cały ten epizod w życiu erotycznym dwóch wodzów polskiego romantyzmu godzien jest ze wszech miar, aby ktoś powołany wybudował z niego romans biograficzny.

O tej drażliwej sprawie napisał Słowacki matce niewiele i bardzo dyskretnie, nie podając nazwisk. „Szalałem — kochałem się —” donosił, kiedy już wrócił z Frankfurtu do Paryża — „latałem za marą szczęścia w różne strony — płakałem — śmiałem się jak człowiek szczęśliwy — żyłem... Przepędziłem całą wiosnę jak szaleniec, bardzo dręczony przez pewną osobkę”.

Pani Bobrowa rzuciła pierwszy cień — bez własnej winy — na przyjaźń dwugłowego wodza, związaną łańcuchem wspomnień rzymskich, wzmocnioną jeszcze później archanielstwem wiary na brzegach Arna.

Ludzką jest zazdrość, o której się mówi, że jest cieniem miłości — tym bardziej miłości nie odwzajemnionej. W najgrubszej swej postaci zazdrość prowadzi do zbrodni Otella, w innych wypadkach wypowiada się różnie, najwygodniej uśmiechem ironii i mniej lub więcej cierpką satyrą.

Ta ostatnia forma jest właśnie ulubioną reakcją Słowackiego, której można nieraz się przyglądać w jego korespondencji, a także i w jego dziełach, jak np. w tych strofach „Beniowskiego”, które już cytowałem, gdzie poeta bardzo gorzko, rzecz można grubo, atakuje Ludkę, „kochankę dziecka”, poza tym wspominaną stale tak rzewnie i lirycznie.

Jest to wyjątkowy wypadek, w którym satyra przechodzi w sarkazm. W stosunku do pani Joanny i do przyjaciela Słowacki tak silnego bicia nie użył, co jest rzeczą oczywistą, gdy się pamięta, jaki bieg i charakter posiada jego trwałe uczucie dla pani Bobrowej oraz głęboka wdzięczność dla Krasińskiego, z którym rozdzieliła go na

zawsze dopiero nowa wiara, a jeszcze bardziej różnica poglądów politycznych; dopiero ta ostatnia wywołała sarkazm odpowiedzi autorowi trzech psalmów.

Ale i w tym ostrym polemicznym wypadzie nie zabrakło jeszcze jednej pochwalnej wzmianki o „Irydionie”:

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!

— to nie tylko, jak myślę, hasła demokracji i radykalizmu ludowego, ale również wskazanie „Irydiona”, posłanego na przymusową pracę do „ziemi mogił i krzyżów”.

O tym Słowacki mówi wyraźnie w dalszych wierszach swej odpowiedzi na psalmy: nowy duch i forma nowa

„...są świata jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielona,
By gościć Irydiona
Pielgrzymowi, który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Znaczy to chyba, że gościniec, na który wszedł Irydion po wiekach uśpienia, jest właściwy, ale nie prowadzi tam, dokąd wskazuje myśl polityczna Krasińskiego — to jest do pracy organicznej, pokojowej; przeciwnie, ma to być droga ludowej rewolucji, której „złął się syn szlachecki”.

O tej zasadniczej różnicy poglądów, istniejącej od dawna, choć zatajonej, Słowacki napisał równocześnie z odpowiedzią na „trzy psalmy” w liście do Bobrowej, co następuje: Z Z(ygmunt)em zupełnie komunikację mam przeciętą jego miejscem pobytu — położeniem — a może też przez Fatum dawne, które stanęło między nami”. Jest to wymowne, choć nazbyt ogólne określenie trwałych przyczyn rozjęcia się dróg życia Lelum-Polelum: „Fatum dawne” — to i „lud”, wypisany na chorągwi rycerza ponad głową umierającego Anhellego, i cień pani Joanny, który zasłonił „archaniola wiary”.

Działanie tego Fatum wystąpiło wyraźnie w roku 1845, kiedy już szal miłosny w swej ostrej formie przeminął; ale cień Joanny zary-

sował się o kilka lat wcześniej, w okresie największego nasilenia „szalu” — co naturalne — w roku 1841.

Wyrósł z tego cienia dramat, jedyny tego rodzaju w twórczości Słowackiego. Dramat bez tytułu, któremu za to potomność przye-piła aż trzy różne nazwy, każdą mniej lub więcej nieodpowiednią. Ustalił się ostatecznie tytuł „Fantazy” od imienia jednej z głównych osób dramatu, tedy nazwa równie ułamkowa, jak „Nowa Dejanira” (od jednego z epizodów) lub „Niepoprawni” (określenie ogólniejsze, ale całkiem dowolne, z którym nie wiadomo, co począć i do czego w sztuce je stosować).

W dramaturgii Słowackiego „Fantazy” zajmuje pozycję odrębną i jedyną, jako sztuka nowoczesna, „salonowa”, awanturnicza, patriotyczna, poruszająca problemat małżeństwa z musu — a przede wszystkim, o co nam tutaj najwięcej chodzi, sztuka satyryczna, pamphletowa, albowiem mierzy w żyjące osoby z najbliższego otoczenia, z których dwie poznajemy wyraźnie w karykaturowym zarysie: Fantazy — Krasiński; Idalia — Bobrowa.

Satyra jest niezmiernie cienka, bezbolesna, nie ubliżająca żadnej z dwóch głównych postaci, które autorowi w 1841 roku były jeszcze bardzo bliskie. Ani Fantazy, ani Idalia nie tracą sympatii czytelnika, czy widza, albowiem mają porywy dobre, szlachetne, rycerskie. Wytkniętą została zmienność uczuć Krasińskiego — co mu ostatecznie nie ubliża — i jego cierpkie słowa o porzuconej a natrętnej kochance, co już byłoby trochę gorsze, ale w przedstawieniu autora i ten rys nie rzuca plamy na charakter Hrabiego.

Natomiast Słowacki wyśmiał poetyckość obojga, ich pustą, choć piękną frazeologię, ich peryfrazy i amplifikacje, transponujące niepotrzebnie prozę codziennego życia na wydwarzany gest i pozę. W takim oświeceniu jawi się nam ta para dziwacznie i ekscentrycznie, choć wcale nie niesympatycznie.

I zdawałoby się jednemu z nas, że Fantazy i Idalia to figury nienaturalne i nieżyciowe, przeszliśmy bowiem okres pozytywizmu i skutkiem tego nie łatwo nam zrozumieć romantyczną egzagerację. Kto jednak pamięta, że owo pokolenie wychowało się na sentymentalnych powieściach, na „Werterach” i „Nowych Heloizach”, ten uzna, że sympatyczni dziwacy w „Fantazym” to jednak portrety żywych ludzi,

tylko trochę świadomie i celowo przerysowane w kierunku karykatury, stanowiącej główną myśl tego niepospolitego dzieła.

Podobną karykaturę, jeszcze bardziej wykrzywioną, dał już w „Balladynie”, kreując sentymentalnego pasterza, Filona. Karykatury w „Fantazym” są historycznie i chronologicznie następnym stopniem po tamtej: uśmiejają się z przesady romantycznej, jak tamta żartowała z konwencjonalnych kłamstw eklogi buduarowej. Ale oba rysunki wzięte są niewątpliwie z natury i na tym polega ich główna wartość.

Wracając do tematu, naprzód musimy odbyć jedną z wielu podróży Hrabiego z Italii do Polski, a mianowicie do dworu bankrutujących hrabiostwa Respektów na Podolu „około r. 1841”.

Zważmy naprzód, że imiona głównych postaci tej sztuki posiadają same przez się swoją wymowę, wedle wskazań starej dramaturgii. Przede wszystkim postać czołowa nazywa się „Hrabia Fantazy Dafnicki”, czyli już swym imieniem oznacza fantazję poety, którego wieńczy się laurem („jako się Dafne w liść bobkowy przemieniła”), „laurem”, o którym tak często marzy sam Słowacki. Hrabia Dafnicki przyjeżdża w konkury w towarzystwie „przyjaciela Rzecznickiego”, którego bezinteresowna przyjaźń jest bardzo wątpliwa (tu wyciąga się satyra widocznie w kierunku najbliższego otoczenia Krasińskiego): za to szczerą jest prawda, którą mu ten realista „rzecze” często prosto z mostu. Przyjeżdżają obaj do hrabiostwa Respektów, którzy jednak wcale na respekt nie zasługują, córkę bowiem, czystą, szlachetną, patriotyczną Dianę (ochrzczoną więc imieniem bogini księżycowej), przymusić chcą do małżeństwa dla pieniędzy. Dodajmy w końcu, że za Dafnickim goni porzucona w Rzymie kochanka Idalia, hrabina i rozwódka, nazwana tak może od starożytnej osady Idalium na wyspie Cyprze, poświęconej Wenerze.

Z biegu akcji wystarczy nam, gdy przypomnimy epizod porwania „nowej Dejaniry”, od czego poszedł jeden z tytułów sztuki. Porwana miała być Idalia — a to przypomina mi trochę wiersz Słowackiego „Do pani Joanny Bobrowej”, posłany w liście do niej z 14 maja 1842 roku. Wiersz ten w swej pierwszej części zawiera echa zarówno szwajcarskie jak włoskie. „O gdybym ja wiódł Panią do kaskady...” zaczyna poeta; zawiódłby ją „do Giessbach i do laurów w Terni”.

Druga część wiersza przechodzi w porwanie — alegoryczne:

Raz ty, porwana tym strumieniem gminnym,
Byłabyś nigdy nie wrócona światu.

W „Fantazym” staje się porwanie rzeczywistością humorystyczną. Słowacki otrzymywał od przyjaciela listy, w których zapewne znajdował się i ulubiony mu obraz dwóch wodotrysków przed bazyliką św. Piotra, i tak ważne dla Krasieńskiego odbicie krzyża w Koloseum. Wspominając o tym na początku dramatu, poeta wprowadza do polskiego dworu na Podolu ducha Rzymu, własne wspomnienie, znowu związane ze wspólnym przeżywaniem z przyjacielem wrażeń rzymskich.

Hr. Fantazy i hrabina Idalia to para polskiej arystokracji, żyjąca przeważnie za granicą. Kiedy od czasu do czasu wpadną do ojczystej ziemi, przynoszą jakby ze sobą część tej atmosfery, w której upływa im żywot z dala od kraju. W „Fantazym” jest to wybitnie italska atmosfera — i dlatego zairzymałem się jeszcze nad tym dziełem, które w tym kierunku przedłuża jakby pobyt w Italii Słowackiego.

Kiedy w 9. scenie I aktu zebrała się cała rodzina „pod dębem w ogrodzie” przy herbacie, a nawet obecna jest i Idalia, choć schowana w „kłąbach georgiń” — rozmowa toczy się dookoła pobytu hrabiego Dafnickiego w Rzymie, przy czym w odmalowaniu składu polskiej kolonii przybiera zabarwienie satyryczne, które autor podsuwa Krasieńskiemu, a w istocie na pewno sam by je podpisał. Hrabina, jakby wracając do poruszonego na początku tematu, pyta gościa: „Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?” — a otrzymawszy odpowiedź, że przed pół rokiem, pyta dalej: „Któż tam z naszych?”, na co Fantazy odpowiada obszerniejszym pamfletem wymierzonym wyraźnie przeciw kilku rodakom (zwłaszcza jednemu). Mówi więc:

Daję słowo,
Ze oprócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych, co jeden za drugim się wleką,
Powysychani na kształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką,
Jak mech i chwasty: nie ma w całym Rzymie,
Kogo bym wspomniał.

Wspomina jednak, i to wcale obszernie, „jednego katolika, Polaka i szambelana”, kresląc jego obrazek w ostrej karykaturze, co jednak bliżej nas nie obchodzi. Obchodzi nas jednak to śmiałe porównanie, w którym się odbił tak charakterystyczny dla Kampanii rzymskiej widoczek wyschłych akweduktów, posuwających się umarłym szeregiem do antycznego Rzymu. Ktokolwiek dojeżdżał do „wiecznego miasta”,

ten zawsze będzie pamiętał ów rząd ruin-skamielin codziennego życia starych Rzymian.

Z przemowy Diany w ostatniej scenie I aktu wybiorę tylko jeden szczegół-porównanie, wraca ono bowiem znowu do wspomnienia Madonny Rafaela, którym Słowacki tak często się posługuje. „Jak to?” — woła Diana:

„więc chciałeś, hrabio, nie kłękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jej lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jej napełnią źrenice
Lub z płótna tryśnie krew?”

Różne żywe Madonny chodzą po stepach w „Beniowskim”. Diana dodaje do nich najslynniejszą w malarstwie, z Watykanu, a nadto przypomina sobie cud krwi św. Januarego, jakby wraz z poetą odbyła podróż do Neapolu.

Sprawa Idalii zaczyna się rysować wyraźnie dopiero w II akcie. Zaczyna się jej monologiem, który jakby umyślnie ma sztuczne tło w „sztucznej grocie” sztucznego ogrodu ks. Logi, pełnego „w głębi skał połamanych, mostków wiszących i kwiatów”, jak w Zofiówce u Potockich.

Idalia skarży się na odrzuconą miłość:

Ja egzaltowana

Mówią: dlatego właśnie przebaczyłam
I w osty moje kolące ubrana —
W osty, które ja łzami uiskrzyłam —
Podobną jestem... do jakiej Rzymianki
Lub Florentynki, co poety słucha
I ma kolczate na warkoczach wianki,
Jak gdyby burza, powstająca z ducha
Tłumaczyła się wieńcem rozczochranie
I kolcem liści zjezonych na głowie.

To podobieństwo Idalii-Bobrowej nie tyle do Rzymianki, co do Florentynki, jest w podaniu poety bardzo charakterystyczne. Wziął je z osobistego wspomnienia romansu nad Arnem. Przypomniał sobie swoją Florentynkę z wieńcem na głowie, jak słucha poety (choć nie-

wiele rozumie); jest to zarazem *pium desiderium*, pani Joanna bowiem nigdy nie zastąpiła tej Florentynki w jej właściwej roli u boku poety.

Kiedy Idalia widzi Jana leżącego pod skałą (sztuczną) nad strugą wody w tym ogrodzie i słucha „niepostrzeżona” jego piosenki, przypomina jej się „cudowny rycerz z Ariosta”:

Głowę mu srebrny kołczan opromienia,
I zda się, ciepłe to powietrze chłosta
Energia głosu...

A w dalszej rozmowie z Janem rozprowadza to porównanie z „Orlanda szalonego”, „z śmiechem szyderczo-bolesnym”:

Co? — to ty, rycerz, nie spadniesz z księżycą
Na Ariostowym koniu, i kochankę
Jak sokół sobie nie weźmiesz z dziedzica?

Jest to jeden z wielu cytatów z awanturniczego eposu włoskiego renesansu, który przekładał również Piotr Kochanowski, a drukiem ogłosił to tłumaczenie Jacek Przybylski pod sam koniec XVIII wieku. Słowacki musiał czytać poemat w oryginale, kiedy mieszkał we Florencji i wypełniał sobie czas lekturą klasyków włoskich. W „Beniowskim” pojawia się obok Dantego nieraz imię Tassa i Ariosta.

I samo porwanie „nowej Dejaniry” (Rzeczniczkiej) nosi charakter awantury z Ariosta, ariostycznego uśmiechu i „ariostycznego obłoku” — o wiele bardziej aniżeli „Balladyna”, której chce poeta narzucić ten rys *ex post*, pisząc dedykacyjną przedmowę — po pobycie we Florencji.

Panią Rzeczniką, a nie Idalię, jak sądzono, „Baszkiir uchwycił w pół, jak narcyza” i porwał na koniu. „Zniknęła z Centaurem tak jak Dejanira” — mówi mąż, Rzecznicki, bardzo wychłostany biczem satyry przez autora powiernik Fantazego.

Tak określa tę przygodę sam Rzecznicki, zanim się dowiedział, kto naprawdę padł ofiarą porwania. Dowiedział się wprost od Idalii, kiedy naprzód musiał połknąć wiele gorzkiej prawdy („zawsześ lokajski spełniał obowiązek”), więc mści się, drwiąc z porwania (jak mniema Idalii) i persyflując sposób mówienia Idalii. Całą jedną kwestię wypełnia wspomnieniem Rzymu, śmiejąc się (szyderczo):

Wybacz mi Pani! — Cha! cha! cha! — nie mogę —
 Pozwól mi Pani, że będę otwarty
 I spytam: dobrą Pani miałaś drogę?
 Czy trakt był bity — i gładki i suchy?
 Czy z dala widać było Kapitolę?
 Ach!... jak się te nazywają muchy
 Świecące, proszę Pani... czy luciole
 Za konia grzywą leciały jak grzywa
 Z gwiazd? — Wszak podobno tak bywa w Italii —

Otworzył tu Rzecznicki na Podolu trakt rzymski, z widokiem na Kapitol. Umyślnie przypomniał sobie i podkreślił latające wieczorem *luciole*, które z jednej strony nazwał po prostu muchami, ale natychmiast zatarł to prozaiczne określenie pięknym obrazem porównawczym (i to w podwójnym złożeniu): grzywa gwiazd nad grzywą pędzącego konia.

Luciole — u nas znane pod zwyczajną nazwą robaczków świętojańskich — wydawały się Krasińskiemu szczególnie poetyckie i charakterystyczne dla włoskich wieczorów. Nazywał je stale dźwięcznie po włosku w listach — i wprowadził do poezji.

Sama zaś Idalia przypomina sobie „róże Cezarów” i miłosne upojenie w Rzymie, wygłaszając monolog na ten temat w 5. scenie IV aktu:

„...Ach! gdyby godzina
 Tego żywota, gdy mię ciągle poił
 Z serca, jak z czary...”

— wzdycha za utraconym szczęściem, przy czym zanika wszelki ślad ironii ze strony autora a jej miejsce zajmuje szacunek dla tej miłości i niemniej godna szacunku bezstronność oceny duchowego znaczenia tego epizodu w życiu przyjaciela. Oto bowiem, co wyznaje Idalia w tym wspomnianiu:

„O! jak mi dobrze było, na pościeli
 Granitów rzymskich — z pochyloną głową
 Nad nim oddychać różami Cezarów
 I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
 Nowy ideał wieków, pełny czarów,
 Który mu całą przyszłość rozpogodzi,
 Jeśli nie skała się tym ludzi błotem
 I nie zapragnie spić się moszczem wina.

Pod tchnieniem tej miłości rodził się „Irydion”, „poświęcony Marii na pamiątkę dni jedynych i zbiegłych”, „z umieszczonym pod tą dedykacją mottem z Dantego: „Tak głos znajomy wróci do niej po latach wielu”, więc już z tym pożegnalnym, melancholijnym *vale*, kiedy miłość się kończy, jak śpiewa popularny romans francuski.

Słowacki patrzył z bezpośredniej bliskości na agonię tej miłości i najpiękniejszy nagrobek wystawił jej w cytowanych słowach Idalii. Jej przyznał zasługę, że „nowy ideał wieków, pełny czarów” powstał w twórczej myśli przyjaciela, „kochanego autora Irydiona”. Dzieło to cenił sobie ponad wszystkie inne w dorobku Krasińskiego, a jego zakończenie uważał, jak widzimy, za „nowy ideał wieków”, czyli w całości solidaryzował się z hasłem pracy organicznej.

Dodał jednak na końcu tego monologu znamienne zastrzeżenie: że końcowa afirmacja „Irydiona” rozpogodzi czoło przyjaciela raz na zawsze, ale pod warunkiem, że nie skala się ludzi błotem i nie spoi moszczem wina.

Jak mamy rozumieć te alegoryczne przenośnie? Chyba tak, jak nam to wskazuje ostateczny rozłam w przyjaźni Lelum-Polelum, więc w zasadniczo odmiennej koncepcji „nowego ideału wieku”, czyli pracy „organicznej”, którą dla zbawienia ojczyzny zaleca epilog „Irydiona”. Socjalna strona tego wskazania okazała się w praktyce całkiem inna u obu romantyków i na tym tle doszło do polemicznego starcia.

Idalia-Maria-Joanna w „Fantazym” stoi ponad tym rozdźwiękiem, którego zapowiedzi już słyszymy w tym satyrycznym dramacie. Swojego osobistego żalu poeta z nią nie wiąże. Przesady jej sentymentu i jej stylu (wspólnego z Fantazym) dotyka się z pobłażliwym uśmiechem, za to podkreśla szlachetność jej postąpień a przede wszystkim — wyznacza jej podniosłą rolę duchowej współpracownicy u boku byłego kochanka.

A choć Fantazy wyśmiewa ją zaocznie i nieładnie na początku sztuki, to pod koniec wraca pod opiekuńcze skrzydła Idalii i nawet postanawia razem z nią umrzeć przyznając jej najbardziej honorowe imię Beatryczy.

I byliby naprawdę w tej ekstazie miłosno-religijnej skończyli samobójczą śmiercią, jak niejedna para nieszczęśliwych kochanków, gdyby ich nie uprzedził dobrowolną śmiercią rosyjski Major, co jednak do rzeczy nie należy.

Chodzi mi natomiast o ten nawrót Fantazego do porzuconej kochanki, który Słowacki wymyślił na własną rękę, kiedy zrozumiał, że sam nigdy tego miejsca u boku pani Joanny nie zajmie.

Słowacki wymyślił zamiar wspólnej śmierci kochanków, co nie jest wcale niezgodne z miłosną imaginacją Krasińskiego, który już w młodocianym urywku wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy się spotka z ukochaną poza grobem. Rys ten jest zresztą zgodny z całą atmosferą romantyzmu, gloryfikującą, nie tylko w poezji, samobójstwo Werterów.

Myśl o śmierci we wczesnych wierszach Krasińskiego tworzy ich motyw przewodni, owijając ową pierwszą wielką miłość autora „Nieboskiej” w ciężką krepę smutku.

Co prawda nie mówi o śmierci wspólnej, tym mniej samobójczej, choć śmierć własną spaja węzłem przyczynowym ze śmiercią kochanki wyznając:

Bo życie moje przeplatałem twojem,
Jak dwie złęczone, niezmieszane rzeki,
Co płyną zgodnie różnobarwnym zdrojem,
I gdy ty zwiędnieysz, ja zgasnę na wieki.

Wobec tego wyobraża sobie na przemiany, że albo on pierwszy umrze — a wtedy niech ona, Maria, złoży „prosty krzyż biały” na jego grobie — albo też każe jej myśleć o śmierci, jak w wierszu „Dla ciebie wszystko...”, który się kończy następującą prośbą „siostry, kochanki”:

Daj mi twą rękę! Słuchaj — w tych dolinach
Ty mnie pochowasz przy Rzymu ruinach,
A grób mój będzie otoczony wzgórzami,
Zakryty zewsząd bluszczem i głógami —
I ty wyryjesz na białym kamieniu
Prośbę do Boga, by w cyprysów cieniu
Ten kamień za mnie modlił się w milczeniu!

Tę myśl o śmierci — nieomal monomanię w stosunku Krasińskiego do Bobrowej — Słowacki przeniósł i przerobił w dramacie o Fantazym. Poprowadził ją w kierunku dobrowolnej śmierci obojga, wzmocnił znacznie egzaltację tonu, w jakim mówi o tym bohater, i przyznał — przed tą zamierzoną śmiercią — najwyższe tytuły honorowe kochance Fantazego, odbierając je Delfinie na rzecz Joanny. Joannę bowiem sam ukochał i uwielbił jako romantyczną „siostrę” i anielską Beatrycę, czym w istocie stała się pani Bobrowa w ostatnich latach życia autora „Fantazego”.

OSTATNIE BLASKI ŚWIATA RYCERSKIEGO

Analiza socjologiczno-literacka

Knight's Tale Chaucera ¹⁾

W roku bieżącym przypada, obok wielu ciekawych rocznic kulturalnych, 550-lecie śmierci największego po Dantem poety europejskiego średniowiecza, Chaucera.

Geoffrey Chaucer, autor sławnych „Canterbury Tales”, zmarł w jesieni roku 1400 przy Opactwie Westminsterskim, gdzie osiadł po swym czynnym i urozmaiconym życiu. Nieśmiertelna panorama życia średniowiecznego, którą zostawił w „Opowieściach”, przyciąga, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich stu lat, rosnącą uwagę filologów i literatów, nie tylko angielskich i amerykańskich, ale z całego terenu Europy. Poświęcają jej studia humaniści francuscy i niemieccy; w roku 1943 ozdobne, komentowane wydanie „Canterbury Tales” ukazało się w Związku Radzieckim. U nas w Polsce Chaucer należy do najmniej znanych z wielkich europejskich pisarzy. Przekładane były dotąd jedynie fragmenty „General Prologue” do „Tales” przez Kasprowicza. W czasie ubiegłej wojny zajmował się tłumaczeniem Chaucera Prof. Tretiak; ile jednak z jego pracy się zachowało, nie jest piszącemu te słowa wiadome. Tymczasem wiele cech Chaucera czyni go w niezwyklej stopniu godnym poznania i aktualnym. Jego fenomenalna obserwacja życia, która w połączeniu z wysokim kunsztem artystycznym czyni zeń jednego z największych realistów w historii kultury, dyskretny i dobrotliwy humor, pozycja na pograniczu średniowiecza i renesansu powodują, że lektura jego dzieł w równym może stopniu dostarcza zadowolenia estetycznego krytykom, zwyk-

¹⁾ Poniższa rozprawka, część większej całości, jest próbą połączenia analizy socjologicznej i literackiej tego tematu, znanego Europie romańskiej z Boccaccia, ale ujętego u Chaucera bardzo odmiennie. Punktem wyjścia jest zbadanie postaci rycerza, takiej, jaką podaje opis w „General Prologue” do „Canterbury Tales”. Powiązanie tej postaci, rozważanej na tle, z którego wyrasta, z jej opowieścią stanowi jedno z własnych ujęć autora niniejszego artykułu.

tego zadowolenia czytelnikom o mniejszych wymaganiach i najbardziej źródłowych informacji na temat życia średniowiecznego jego badaczom.

Wielkim odkryciem psychologicznym „Canterbury Tales” jest, jak dawno podkreślił francuski krytyk Legouis, stwierdzenie związku między tym, co ludzie opowiadają, a tym, jakimi są. Historie, jakimi poszczególni pielgrzymi do Canterbury częstują — na projekt gospodarza oberży — swoich towarzyszy podróży, ilustrują ich samych, podłoże, z którego wyrosli, oraz ich przyzwyczajenia myślowe. Związek ten jest oczywisty w niektórych wypadkach, w innych go trudniej dostrzec, w niektórych całkiem go brak; w każdym razie w tym stopniu, w jakim występuje, stanowi o dramatyczności wielkiej kolekcji, w której różne *tales* są sobie przeciwstawiane jako wyrazy różnych mentalności.

Do najsławniejszych *tales* należy szczególnie świetna i kunsztowna opowieść rycerza, stanowiąca znakomity wyraz feudalnej kultury w momencie, gdy pełne jej słońce zaczyna się chylić ku zachodowi. Jest ona zarazem miniaturą eposu, w którym typ życia i typ marzeń czternastowiecznego rycerstwa rzutowany jest na niezbyt dokładnie dla Chaucera wyobrażalny świat antyczny, na wpół zmitologizowany i stanowiący tło dla romansu.

Ze zwykłą swoją głośną, nieco rubaszną, kruszącą lody wesołością i swobodą, gospodarz wzywa wszystkich do ciągnięcia losów, które ma zdecydować, kto rozpocznie opowiadanie. Kittredge, z filuternym zmrużeniem oka godnym samego Chaucera, napisał, że los zachował się z uniżonością wobec godnej osoby i wysokiego stanu rycerza, wskazując najkrótszą słówką na niego, jako na pierwszego²⁾. Kto wie, czy tak przejętemu poczuciem hierarchiczności losowi nie pomógł trochę zapobiegliwy gospodarz, chcący, aby się wszystko jak najlepiej udało... Przy ciągnięciu słomek, jak przy sztuczkach karcianych, czasem można się przyczynić do całkiem na pozór od człowieka niezależnych rozstrzygnięć. A zadowolenie pielgrzymów z wyniku losowania wskazało, że i oni spodziewali się czegoś na wysokim poziomie od tego tak znakomitego, wykształconego i dzięki tylu podróżom obytego w świecie towarzysza.

²⁾ „Chaucer and his Poetry”, s. 166/7.

Jedną z wielu rzeczy, które rycerz ze swych wędrówek po ówczesnym *orbis christianus* musiał wynieść, było zdanie sobie sprawy z pozycji, jaką zajmowali w nim prawdziwi, jak on, rycerze. Należy już do szablonu podręcznikowego skomentować portret *knight'a* z prologu kilku uwagami o powstaniu, znaczeniu i wypadającym na czasy Chaucera schyłku rycerstwa i idei krucjat. Nie mogę podobnych uwag pominąć i tutaj, ufając, że uda mi się podnieść pewne sprawy mniej uwzględniane a rzucające światło i na postać opowiadającego, i na jego *tale*.

Zepsucie wśród tych duchowych leaderów ówczesnej Europy, jakimi byli ludzie Kościoła, samo już utrudniało zrodzenie się hasła odnowy, czy idealistycznie pojętej obrony Europy przed pogaństwem. Kiedy jednak mimo to takie hasła bywały rzucane, kiedy po raz nie wiadomo który próbowano poruszyć serca władców chrześcijańskich, posiew zaiste nie padał na zbyt wdzięczną glebę. Wielu z nich to po prostu „twardogłowi ludzie interesu”³⁾, już nieraz wyraźnie narodowo pojętego, jakich dostrzegamy w angielskim Edwardzie III, czy naszym Kazimierzu, których ostrożność wobec ogólnych apelów da się zresztą zrozumieć na tle różnych doświadczeń. W każdym razie wynik był ten, że jednostki o bardziej uniwersalistycznych porywach, żyjące jeszcze ideą rycerstwa jako obrony Europy przed wspólnym jej niebezpieczeństwem i jako wielkiego czynnika moralnego w niej ładu, musiały się już czuć dość obco. Takiego zapewne uczucia doznawali ci, co patrzyli na stanowczość odmowy Edwarda III wobec próśb o udział w krucjacie, które mu przedstawiał król Cypru Piotr Lusignan. Odmowę tę mógł osłodzić Edward wielkopańskim gestem wydanych na cześć Piotra wspaniałych przyjęć i zabaw⁴⁾, ale pozostał niewzruszony.

Złożoność sytuacji europejskiej tego okresu w tym jednak się przejawia, że inni królowie, równie jak Edward hojni w przyjęciach i darach, okazali jednak większą gotowość do wspomżenia samej jego sprawy; przypuszcza się, że Piotr miał dużo czaru osobistego, skoro jego podróż propagandowa taki rozbudziła zapał dla wyprawy

³⁾ Muriel Bowden, „A Commentary on the General Prologue to the *Canterbury Tales*”, s. 60.

⁴⁾ Froissart, ks. I, rozdz. CCXVIII.

na Aleksandrię⁵⁾. Zarazem jest charakterystyczne, że uczty na cześć tego króla-krzyżowca wydawali coraz bogatsi w tym okresie mieszczenie, a więc przedstawiciele klasy, której wzrost w potęgę oznaczał pomniejszenie się wpływów rycerstwa i arystokracji, reprezentowanych przez ich dostojnego gościa. Takich kilka paradoksów kryło się poza bankietami, na jakich gościł pono króla Cypru w Londynie handlarz win, Henry Picard, znajomy i kolega po fachu ojca Chaucera⁶⁾, albo Mikołaj Wierzynek w Krakowie. Ze swojego to ojca opowiadań poeta mógł się między innymi dowiedzieć, którzy wśród takich biesiadników myśleli o interesach chrześcijańskiej Europy a którzy o interesach do zrobienia przy planowanym zdobyciu bogatej Aleksandrii. Taka mieszanina „realizmu” i „romantyczności” (*sit venia verbis*) jest od różnych stron podłożem rycerza i jego opowieści i dlatego należało i tu o niej wspomnieć.

W naszym pielgrzymie pierwotna idea stanu rycerskiego przetrwała w swojej czystości:

He was a verray, parfit gentil knyght, 72
Rycerz szlachetny, prawy, doskonały

jako że od młodości swojej pokochał te cnoty swojego stanu:

Trouthe and honour. fredom and curteisie, 46
Wierność i cześć, wspinałomyślność, dworność

Sławny ten krótki katalog, tylekroć cytowany i komentowany, przede wszystkim chyba, sądziłbym, zwraca uwagę swoją dźwięcznością i rytmem. Ciekawe, że poeta potrafił pod tą postacią zmieścić tyle znamiennej treści. Socjolog wskazuje na charakterystyczność tych ideałów moralnych dla klasy, która według nich miała żyć: wierność w służbie panu, któremu się przysięgało, jeszcze tu związana z germańską *treue*, stanowi naturalnie niezbędny warunek spoistości grupy feudalnej; jest ona przy tym jak gdyby upodmiotowieniem prawdy przedmiotowej (*truth* w znaczeniu dzisiejszej angielszczyzny), która w okresie Chaucera określano jako *soothe*. Zachowanie „cześci” jest podobnym motorem, jakim *self-respect* u nowoczesnego dżentelmena, z tą oczywiście różnicą, jaką musiała stanowić żywsza wiara

⁵⁾ Muriel Bowden, op. cit., s. 59/60.

⁶⁾ G. G. Coulton, „Chaucer and his England”, s. 16/17. Uczty Picarda podano co prawda potem w wątpliwość.

w chrześcijaństwo, zmuszająca do interioryzacji wszelkich norm na pozór czysto społecznych, do zejścia pod powierzchnię samego osądu bliźnich, do pogłębienia tego, o czym Schopenhauer pisał jako „Von Dem, was Einer vorstellt” o to, „Was Einer ist”⁷⁾. „Freedom” oznacza oczywiście wszelką swobodę od ograniczenia, czy zacieśnienia, przede wszystkim finansowego, stąd sens hojności, cnoty żądającej od rycerza, by stanął na wysokości swego stanowiska, a zarazem i przez to samo cnoty społecznej, żądającej uwzględnienia potrzeb innych⁸⁾. Stanowe wreszcie było też pojęcie *cortesia*, zachowania się dwornie, a więc tak jak w towarzystwie dworskim. Inna zaś rzecz, że i temu pojęciu nie pozwalał dynamizm ideologii i przemian społecznych średniowiecza na ograniczenie do klasy rycerskiej. Franciszkanie biorą sobie świadomie tę postawę za wzór do stosowania wobec wszystkich, a wiemy, że obracali się głównie wśród ludzi prostych i z nich pochodzili. Wiązą ją po prostu z miłością bliźniego⁹⁾. Nie tylko historyk społeczny i historyk kultury interesuje się cnotami Chaucerowskiego rycerza-pielgrzyma, ale także filolog. W jednym i drugim charakterze analizował je Héraucourt¹⁰⁾. Wiąże on określenia tego rodzaju, odnoszące się do „świata wartości” w pary, które zasadniczo mają wyrażać jedno pojęcie, tzw. *Hendyadis*. W tym wypadku wiązałyby się tak ze sobą cześć rycerska i wierność z jednej

7) „Aphorismen zur Lebensweisheit”, wyd. Universal-Bibliothek, s. 8 i rozdziały II i IV, *passim*.

8) O tym społecznym aspekcie świadczy tekst u Jakuba de Cessolis, żądający, aby rycerze byli *liberall*, bo przeciwne zachowanie jest łupieniem ludu („Chess-Book”, p. 49, cyt. przez Muriel Bowden, op. cit., s. 49).

9) „Curialitas est una de proprietatibus Domini qui solem suum et pluviam suam et omnia super iustos et iniustos curialiter administrat. Est enim curialitas soror caritatis, extinctrix odii et servatrix amoris” (Conform, 144 b 1, cyt. w Actus Beati Francisci et sociorum eius, Paris 1902, s. 205, wyjmując z art. ks. Falkowskiego w zbiorowym tomie „Ojcu Serafickiemu w hołdzie”, W-wa 1927).

10) „Chaucers Wertwelt, die Wertwelt einer Zeitwende”, Heidelberg 1939. On to wysunął też rozróżnienie *trouthe* — *soothe*. Zob. s. 145/7, s. 66, s. 227. Wywody Héraucourta, miejscami ciekawe i oparte na dużym odczytaniu, bywają jednak często dość dowolne. Warto by zająć się tym bliżej. Na razie chcę wskazać na tych kilka słabych punktów, które dotyczą terminów tu omawianych. W myśl swojej tezy stałej, że wyrażenia romańskie ujmują tylko powierzchnię pewnych wartości, Héraucourt różnicuje „freedom” i „franchise” i stwierdza: „... während bei dem germanischen Wort *freedom* ausgesprochen der ethisch wertende Sinn des Seelenadels im Vordergrund steht, gehört *Fraunchise*, das romanische Wort,

strony a z drugiej hojność i dworność. W każdej zaś parze znajdujemy jedno określenie pochodzenia germańskiego i jedno romańskiego. Jeżeliby istotnie, jak twierdzi tenże badacz, wyrażenia germańskie w tej dziedzinie dotyczyły bardziej wewnętrznej postawy człowieka, a wyrażenia romańskie raczej akcesoriów zachowania się, to rycerz z prologu byłby idealnym obrazem zrośnięcia się obu pierwiastków w duszy angielskiej pod koniec średniowiecza, bo każda z dwóch *Hendyadis* ma po połowie jednego i drugiego złoza językowego.

Taka pewna synteza doskonałej formy zewnętrznej, która musiała się stać stałym także wewnętrznym *habitus*em wyziera z pięknej pochwały:

He nevere yet no vileynye ne seyde, 70
In al his lyf unto no maner wight

I jeszcze nigdy nie ozwał się brzydko
 Do kogokolwiek w całym życiu swoim

i nie zmienia to przypuszczenia, że szło o podobną syntezę, jeżeli się wie, iż określenie tego rodzaju zostało przez poetę przejęte skądinąd.

mehr der Vorstellung einer äusseren Zugehörigkeit zum Geburtsadel an". Ale, gdy szukamy dowodów na to twierdzenie, znajdujemy o dziwo, coś przeciwnego: wskazanie na fakt, że zarówno *fraunchise* jak *freedom* przechodzą ewolucję od określenia prawnego do moralnego oraz że już w *Roman de la Rose* znajdujemy regularnie słowo *fraunchise* w towarzystwie *pitee*, a więc związane z postawą wewnętrzną. Nie tylko więc brak uzasadnienia, ale zestawienie tezy z faktami cytowanymi szkodzi jej. Na innym miejscu wywodzi autor, że pojęcie *honour*, też, jak twierdzi, czysto klasowe, zyskało oparcie wartościujące w użyciu Chaucera po lekturze Boecjusza (s. 66); w takim razie do pogłębienia pojęcia doszło pod wpływem źródła romańskiego — a na ilu innych ludzi średniowiecza zdołał taki Boecjusz wszak wpłynąć! Szczególnie niebezpieczne wydają się twierdzenia na temat pojęcia *trouthe*. Po Occamie Europejczycy zaczęli jakoby rozumieć, że prawdę można oderwać od jej transcendentnego substratu i traktować subiektywnie, psychologicznie. Pewnie, że tak się i działo, choć niekoniecznie tylko od Occama, bo już Siger z Brabantu znalazł modernistyczną pokusę. Ale najgroźniej brzmi wiązanie tego z rozwojem hitlerowskiego prawa (książka Héraucourta pisana jest po przewrocie nazistowskim), które od zeznającej w sądzie strony żądało jedynie stwierdzenia, co jej się prawda wydaje, nie co nią jest. I to jest dygresja w książce zajmującej się *ex professione* śledzeniem historii wartości (Héraucourt jest członkiem szkoły marburskiej). W końcu powtarzam tu to, na co zwróciłem uwagę wyżej, o rozszerzeniu zastosowania pojęcia dworności przez franciszkanów.

Ton portretu rycerza, bliski panegiryku, staje się łżejszy w wierszu tak pełnym delikatnej Chaucerowskiej ironii:

And though that he were worthy, he was wys, 68

I chociaż dzielny był, był także mądry

Kombinacja *worthy-wys* należała też do ustalonych. Dowcip Chaucera mieści się zatem w tym jednym słowie: *though*, chociaż. W tym samym duchu starania, aby rycerz nie był wzięty za zwykłego rębajłę, podkreśla poeta, że mimo długich bojów nie miał w zachowaniu nic z żołnierskiej rubasznosci.

Wszystko więc w opisie dąży do stworzenia w *knight*'cie nieskazitelnego obrazu schodzącej już częściowo z pola kategorii ludzi, może trochę jak podkomorzy u Mickiewicza. Na zapytanie, czy u humorysty i realisty nie jest niepokojące takie kompletne zrezygnowanie z satyry (bo i ironia słów: był dzielny, a mimo to mądry, skierowana jest nie przeciw rycerzowi, ale mniej udanym jego towarzyszom broni), czy gdzieś, bardzo głęboko pod powierzchnią, nie ma jakichś ukrytych kpin z czytelnika, jedną z odpowiedzi jest, że Chaucerowi potrzebna jest właśnie taka postać na opowiadającego *Knight's Tale*; bo nie tylko, jak tyle razy podnoszono, opowiadania obrazują pieglrzymów, ale i ci ostatni mogą być dostosowani do opowiadań. Inną odpowiedzią może być uwaga, którą po wielu bardziej uczonych i skomplikowanych ujęciach usłyszałem raz sformułowaną z niemniejszą prostotą, co mądrością: prawdziwy realista wie, że istnienie ludzi prawych jest tak samo rzeczywistym i życiowym faktem jak istnienie ludzi marnych.

Rycerz wraca właśnie z jednej ze swych licznych wojennych wypraw. Ślady tego, które jeszcze na odzieniu widać, to niemal zapach dalekich ziem i mórz: uświadamiają pielgrzymom ze szczególną siłą i bezpośredniością, kim jest ten ich towarzysz i jaką, w pewnym sensie, pogonią za wizją jest jego życie. To także przygotowuje ich poniekąd na romantyczność nadchodzącego opowiadania.

Może pielgrzymi musieliby być bardziej niż przeciętnie refleksyjni, aby sobie uświadomić, że i w tym punkcie „romantyzm” schodził się z rzeczywistością bardzo *terre à terre*. Nie tylko w tym rzecz, że w bojach z Maurami i Turkami rycerz patrzył w twarz niebezpieczeństwu i znosił znój; ani w tym nawet, że przy obleganiu Algeziras

cierpiał straszny głód i pragnienie¹¹⁾. Ale pomyśleć o rozgoryczeniu, jakim musiała jego i ludzi jemu podobnych przejąć rzeź, która nastąpiła po zdobyciu Aleksandrii przez armię Piotra Cypryjskiego, i cynizm szeregu uczestników wybierających się do domu natychmiast po obłowieniu się. Niewiele się poprawiło od czasów okropności pierwszej krucjaty. Takich zapewne rzeczy echem będzie wiersz 1003 w samej *Tale* rycerza i po trosze ustępy odzwierciedlające grozę scen wojennych w opisie Marsa i Saturna.

Jest jednak jeden punkt z listy żołnierskich wyczynów rycerza, gdzie nie wystarczy powiedzieć, że jego „romantyzm” bojownika o sprawę już wtedy lekceważoną musiał się godzić z „realizmem”, i to nieraz brutalnym, jego towarzyszy. A jest to punkt szczególnie interesujący nas, Polaków. Czy Chaucer zadał sobie pytanie, (jeżeli wiedział coś, co do postawienia takiego pytania musiałoby go skłonić), z jakim uczuciem *knight*, którego przedstawia jako uczestnika bojów w Prusach, na Litwie i na Rusi, mógł zasiadać do honorowego stołu dla gości Zakonu Krzyżackiego w Malborku? Od czasu badań Cooka wiemy, że słowa:

Ful ofte tyme he had the bord bigonne, 52

Aboven alle nacions in Pruce;

I wiele razy zasiadał za stołem

W Prusiech — nad inne wywyższony nacje

odnoszą się do zaszczytów, jakie temu zachodniemu gościowi chciała okazać kapituła krzyżacka, tak dbała o propagandę wśród zagranicznego rycerstwa¹²⁾. Wiemy też ze słów poety, że częstość wypraw *knight*a do krajów podbijanych przez „zakon teutoński” była wyjątkowa (w. 55). Jest bardzo wątpliwe, aby nawet bardzo idealistycznie nastawiony i nie poinformowany o stosunkach rycerz z Zachodu nie zorientował się po tylu wizytach, co wyczyniają jego gospodarze z poganią ludnością w trakcie jej podboju. Już prędzej można przyjąć, że nie przeniknął właściwych celów, dla których rzeź była uprawiana. Ostatecznie jednak możliwe jest i niedostrzeżenie faktów. Jak jednak wtedy pogodzić to z tym, że rycerz był „mądry”? Kontekst tego okre-

¹¹⁾ Wg H. E. Watts'a „The Christian Recovery of Spain”, s. 184, zob. Bowden, op. cit., s. 53.

¹²⁾ Albert S. Cook, „Beginning the Board in Prussia”, J. E. G. Ph., vol. XIV, nr 3, 1915.

ślenia każe przyjąć, że pochwała ta była szczera. Czy byłaby to więc „mądrość” tego typu, który potrafi współmieszkać z pewną naiwnością życiową?¹³⁾ Może i tak myślał poeta. A może mimo swój kontakt z dworem, a nawet z ówczesną *Intelligence Service*, której jak wiadomo, był prawdopodobnie współpracownikiem, autor „*Canterbury Tales*” nie usłyszał właśnie o obłudzie krzyżackiej, o której Polakom tak trudno przychodziło świat przekonać? Najprościej w końcu można powiedzieć, że po pierwsze nie wiemy na pewno, kiedy Chaucer kreślił portret rycerza, a więc, że mogło to wypaść przed najgorszym okresem łupiestw krzyżackich, wreszcie, że rycerz mógł właśnie wrócić do kraju rozczarowany w końcu do swych gospodarzy, a jego autor, który czym innym głównie się zajmował w swym opisie, nie wstawiał tego rodzaju uwagi.

We wszystkich tych rozważaniach przyjmuje się oczywiście wysoki stopień świadomości i staranności pisarskiej u Chaucera, jak do tego uprawniają dokumenty.

Można zakończyć jedną jeszcze obserwacją, że cokolwiek rycerz mógł sobie myśleć o przedstawicielach wielkiego świata, z którymi się stykał i z których gościny korzystał w swoich peregrynacjach, musiał mu zapaść w pamięć te wszystkie wspaniałe uczty, obchody i turnieje, które towarzyszyły przygotowaniom do wypraw i ich zakończeniom. O tym również nie należy zapominać trafiając na te opisy pompy, jakimi przetkana jest jego opowieść. Przydają one utworowi pewnej atmosfery świąteczności, która go jednak wynosi ponad zwykłą „szarą” rzeczywistość. Dlatego, choć zasadniczo słusznie mówi Shelly, że dla dworskich czytelników Chaucera „zamki i lochy, rycerze i turnieje były elementami realizmu, nie romantyczności”¹⁴⁾, dla czytelników mniej „wysoko postawionych” musiało być inaczej; dla nich, a po trochu chyba dla wszystkich, sama uroczystość różnych opisywanych okazji oznaczała pewną aurę niezwykłości, która je musiała otaczać.

¹³⁾ Tupper argumentował, że w zastosowaniu do rycerza „sapientia” mogła znaczyć po prostu roztropność i sprawność w boju. To czyniłoby niekonieczną interpretację *wys* jako ogólnej mądrości życiowej. Zob. Robinson, *The Complete Works of Geoffrey Chaucer*, Cambridge, Mass. 1933, s. 754.

¹⁴⁾ „*The Living Chaucer*”, s. 229/30.

I tak też na początku opowieści ukazuje nam się władca Aten Tezeusz, wracający do domu ze zwycięskiej wyprawy: przy dźwięku muzyki, z radością triumfu i dumą w sercu. Podkreślano, jak Chaucer przeszedłszy ponad wczesnymi jego dziejami, przystępuje od razu do zawiązania właściwej fabuły, nad którą postać Tezeusza będzie panować, choć właściwymi bohaterami będą inni rycerze¹⁵⁾. I zauważmy, że nawiązane to przybiera formę mocnego kontrastu, przypominającego nieco nowoczesną technikę filmową i podkreślającego, moim zdaniem, wizualność i plastyczność twórczej konstytucji poety. Jest to jak gdyby strzał, przerywający nagle radosną kawalkadę, gdy Tezeusz widzi na swojej drodze grupę lamentujących dam w czerni, która tak mocno odbija od barwności strojów jego otoczenia. Ten czarny kolor i przeraźliwy krzyk, i płacz będą zarazem wezwaniem do czynu i heros stanie na poziomie sytuacji. Sytuacja, wymagająca naprawienia krzywdy, wyrządzonej przez Kreona (tego, można by powiedzieć, notorycznego przestępcę starożytności w sprawach pogrzebowych) poległym w boju przeciw Tebom królom, jest typowym dla bohatera zadaniem. Toteż Tezeusz nie pozostanie nieczulym na błagania dostojnych wdów, aby zwłoki ich mężów nie pozostały zbezczeszczone. Ma to okazać, obok wspaniałości, inną cechę tego księcia *ka'exochen*, którą jest wrażliwość na ludzkie potrzeby. Zapytanie o tło klasowe poematu wiedzie do dodatkowej uwagi, że do Tezeusza przemówiło również podkreślenie dam w żałobie, iż należą bez wyjątku do „sfer najwyższych”:

For certes, lord, ther is noon of us alle, 922
That she na hath been a duchesse or a queene
 Bo wierę, Panie, wśród nas żadnej nie masz,
 Co by nie była księżną lub królową

Jest to tylko pierwsze z bardzo wielu i oczywistych znamion piętna klasowego „Knight's Tale”, która obraca się wyłącznie w kręgu wielkich feudalnych panów, ich miłosnych utrapień i ich marsowych rozrywek. Wszystkie zasadnicze postaci są z rodów królewskich, z ich celów życiowych i zajęć widzimy tylko te, które dotyczą wojaczki, pojedynków i turniejów oraz *amour courtois*, dworskiej miłości.

¹⁵⁾ Patch widzi w tym skrócie zamiar skoncentrowania wysiłku twórczego na charakterach poematu („On Rereading Chaucer”, s. 203).

Ale to jeszcze zobaczymy bliżej w trakcie późniejszej analizy. Wzburzony Tezeusz, decydując się na działanie z tą szybkością, która równocześnie jest wyrazem potrzebnej wodzowi aktywności i osobistej jego porywczoności, pr z y s i ę g a pomścić na tyrańskim Kreonie zbezczeszczenie ciał jego wrogów. Czyniąc to, jest również synem swojej epoki, takie mającej wycucie rytuału w życiu i tego piękna czy dostojności, które przebijają z uroczystego zaangażowania się. Porębowicz mówiłby tu o charakteryzującej te wieki „...łatwości... popędliwych czynów”, o upodobaniu do ich ujmowania „w kształt symbolu”, wskazującym, że jest w tym pewna „...pierwotna jedność życia i sztuki”¹⁰⁾.

Zauważmy, że zaraz potem mamy znów obrazek w tym samym „filmowym” rodzaju:

His baner he displayeth, and forth rod, 966

I rozwinąwszy sztandar, przed się ruszył

na sztandarze widnieje postać Marsa, grożąca grzesznemu Kreonowi wszystkim co najgorsze. Toteż pomszczenie despektu uczynionego zwłokom królów jest straszliwe. Głnie oczywiście Kreon (po rycersku zabity, podkreśla charakterystycznie *Knight*), rozbite są mury tebańskie, ale najgorsze kryje się w jednym wierszu na końcu opisu, że Tezeusz

...dide with al the contree as hym leste, 1003

Z krajem uczynił, jako mu się zdało

Cała czarna podszewka barwnego i lśniącego płaszcza feudalizmu streszczona jest w tych słowach. Wiemy, że nawet „wojna totalna” nie jest w całości wynalazkiem naszej epoki i że wodzowie średniowieczni też potrafili stosować kompletne niszczenie przeciwnika. Gorzej, że równocześnie niszczyli też ubogą ludność wiejską, nad którą przeciwnik panował. Profesor Webb zwrócił niedawno uwagę, jakie udokumentowanie znaleźć można dla bezwzględności Tezeusza we współczesnych skargach na okrucieństwo i samowolę walczących stron wobec chłopów. Oburza się Honoré Bonet, oburza się ta miła, taka ludzka i nam bliska Krystyna de Pisan, uważając, że łupiecy „powinni być raczej zwani złodziejami i rabusiami niż wojownikami lub rycerzami”; a jako wdowa, zarabiająca piórem na utrzymanie swoje i swoich dzieci, знаła z doświadczenia los twardszy niż los

¹⁰⁾ „Św. Franciszek z Asyżu”, wyd. B. Natanson, Warszawa 1899, str. 26.

mieszkańców pałaców. Piętnastowieczny tłumacz Boneta Gilbert de la Haye dopytywał się jeszcze konkretniej, jakim tytułem biedny chłop ma cierpieć od wojny, jeżeli jest wyłączany od czynnego w niej udziału¹⁷⁾. Toteż tu znowu wrócić musi zapytanie (jak wraca często, kiedy po powierzchownym zapoznaniu się z tekstem Chaucera przyglądamy mu się bliżej), czy mamy brać „mądrość” opowiadającego rycerza bez zastrzeżeń, czy *cum grano salis*. Bo ostatecznie musi budzić zdziwienie, jeżeli ktoś, kto sam wygląda tak daleki od wszelkiej żołnierskiej brutalności, określa bohatera swojego opowiadania jako szlachetnego i wspaniałego, a przechodzi bez słowa komentarza nad stwierdzeniem, że ten bohater postąpił z okolicą zdobytego miasta „jak mu się podobalo”. Dlatego mimo podniesionych ostatnio zastrzeżeń¹⁸⁾ wcale prawdopodobną się wydaje hipoteza Webba, że postać Tezeusza jest jednym jeszcze przykładem Chaucerowskiej ironii (tak czasem trudno dostrzegalnej), tym razem pod adresem feudalnego władcy. Może szerokość jego realizmu, o której wspominałem, uczyła go i o rycerzu, i o protagoniście jego *tale*, że potrafili być wspaniałomyślni, nawet rozważni, a równocześnie dziwnie ślepi na pewne sprawy.

Kto wie, zastanawia się Webb¹⁹⁾, czy nie pokrewna do tej ślepoty obojętność na ludzkie cierpienie przebija z wierszy opisujących dalszy ciąg triumfalnego powrotu Tezeusza do Aten w zestawieniu z udękami wtrąconych do więzienia jeńców tebańskich. Na jego skroni zielenią się wawrzyn, a oni jęczą w wieży. Smutno bowiem istotnie się zaczyna wystąpienie na scenę wydarzeń tych dwóch tebańskich książąt, którzy zostaną odtąd na pierwszym planie: czyż po to wyciągnięto Palamona i Arcytę ze stosu trupów pod Tebami i odratowano, aby pozbawić ich na całe życie wolności? To jednak tylko pierwszy z tych żartów, na jakie pozwoli sobie kapryśna fortuna.

¹⁷⁾ Zob. teksty z Honoré Boneta „L'Arbre des Batailles”, Krystyny de Pisan „The Book of Fayttes of Armes and of Chyualrye” (przekł. średnio-w. arg.) i tłumaczenia Gilberta de la Haye: „The Buke of the Law of Armys” w artykule Henry J. Webba: „A Reinterpretation of Chaucer's Theseus”, R. E. S., vol. XXIII, Oct. 1947.

¹⁸⁾ Przez Wiliama Frosta, „An Interpretation of Chaucer's Knight's Tale”, R. E. S., vol. XXV, Oct. 1949.

¹⁹⁾ L. c., s. 292.

Zartem o wiele „odważniejszym” jest dopuszczenie, aby dwóch młodych ludzi w tej beznadziejnej sytuacji się zakochało. Cóż za zbieg okoliczności, żeby ogród, gdzie się przechadza piękna Emilia, (ona jest na dobitkę siostrą żony potężnego Tezeusza), rozciągał się właśnie pod murami więzienia braci-druhów! Tonący w zieleni i majowym słońcu ogród z chodzącą po nim dziewczyną:

... *Emelye, that fairer was to sene. 1035*
Than is the lylie upon his stalke greene,
And fressher than the May with floures newe —
 ... Emilia, co wabiła bardziej oko
 Niż lilja na zielonej łodydze wysoka
 I świeższa niżli maj z nowymi kwiaty —

jest typowym tłem dla klasycznego *inamoramento*, które w tej chwili nastąpi. Ci, których Lowell nauczył widzieć u Chaucera nieporównaną świeżość percepcji²⁰⁾ zagubioną dla pokoleń pochlebiających sobie, że są o tyle bardziej *sophisticated*, będą tu widzieć po prostu odczute właśnie z dziewczą wrażliwością piękno natury i człowieka. Ale ci, którzy pamiętają o upodobaniu poety do dramatycznej ironii, zwrócić może uwagę na to, kto ogląda ten barwny, sielankowy obrazek i przez jakie ramy: wszak ramy więziennego okna, z których wygląda udręczony Palamon, dodają ciemną oprawę tej wizji. Nie sądzę, aby jedno ujęcie wyłączało drugie: wizja jest istotnie świeża i wiosenna, a ciemna rama podnosi to tylko w specjalny sposób: ale, jak tyle razy, widzimy, że nie można zatrzymać się u Chaucera jedynie na pierwszym wrażeniu.

Powiedziałem, że zakochanie się Palamona i Arcyty odbywa się według „reguł sztuki”. Chaucer nie krępuje się w pójściu za wszystkimi konwencjami *amour courtois*, według których Palamon wydaje nawet okrzyk w momencie, gdy ukłucie strzały Amora ugodziło go pod serce. Zresztą konwencje są monetą obiegową podobnie jak słowa i wyrażają treści artystyczne nawet u pisarzy, którzy się potrafią nad nie wznieść. Tu zaś przecież przemawia przedstawiciel kół, w których i ta tematyka, i te sposoby wyrażania wciąż powracały i właściwy autor „*Canterbury Tales*” chowa się za niego — nie lada to czasem sztuka odnaleźć jego własne oblicze.

²⁰⁾ „Chaucer”, w „*Literary Essays*”, vol. III, Riverside Press Cambridge, 1890, s. 291 i n.

Zobaczył Emilię i Arcyta i wszczyna się spór między druhami o pierwszeństwo w miłości. Skoro Palamon w pierwszej chwili zachwyty sądził, że ma przed sobą Wenus, to — wywodzi jego rywal — myśli widocznie tylko o miłości niebiańskiej; prawo zaś do tej żywej kobiety, która się przechadzała po ogrodzie, ma Arcyta, bo jego uczucie jest czysto ziemskie. Tu już jest pierwszy punkt nawiązania hipotezy Fairchilda, przypuszczającego, że dwaj krewniacy reprezentują typ kontemplacyjny i typ aktywny. Arcyta byłby przedstawicielem drugiego. Hipoteza równie ciekawa, co przy obecnym stanie badań niemożliwa do udowodnienia, w każdym razie jest w tym pożyteczna, że uwypukla od jednej jeszcze strony kontrast między zakochanymi rycerzami; kontrast ten jest o tyle subtelniejszy i trudniejszy do ujęcia, że w całym szeregu miejsc występuje, jak wiadomo, przedziwny paralelizm między dwoma desperatami.

Ziemska miłość Arcyty nie zna przeszkód, twierdzi jej wyznawca (siedząc zamknięty w dożywotnim więzieniu). Więcej, nie zna ona żadnych praw, dokładnie jak romantyczna:

Wostow nat wel the olde clerkes sawe, 1163

That „who shal yeve a lovers any lawe?”

Love is a gretter lawe, by my pan,

Than may be yeve to any erthely man;

Wiesz, jak ów pytał szkolarz — stara sprawa —

„I któż kochankom podyktuje prawa?”

Większym jest prawem miłość, na mą głowę,

Niż stanowione ziemskich ludzi słowem .

I wobec tego spór toczy się dalej, utrzymywany przez Chaucera na tej nieokreślonej granicy między tragizmem a skrzywieniem uśmiechu. Oczywiście, że na dalszą ironię nie trzeba nikomu wskazywać, może jednak nie tylko w tym sensie, że oto spiera się wielkimi słowami dwóch rycerzy o damę, do której, tak jak rzecz w tej chwili wygląda, żaden prawdopodobnie nie będzie mógł nawet przemówić (i Arcyta zdaje sobie z tego sprawę); ale, podchodząc inaczej do tego samego i w tym bardziej olimpijskim znaczeniu, pisarz jakby mówił z Puckiem:

Lord, what fools these mortals be!

O Boże, jakże ci śmiertelni głupi!

jeżeli się potrafią brać za czuby w swoich trudnych do pojęcia kłopotach nawet w największym wspólnym ucisku.

Rzecz jasna, że i Palamon nie będzie wrażliwy na gorzki humor swojej sytuacji i z jego ust dobywają się bluźnierstwa przeciw bogom, równie zresztą jak reszta dowodzące wąskiego pola widzenia i nieświadomości czekających go w przyszłości zmian. Dla historyka idei te miotania się są niemniej ciekawe, co aksjomaty miłości romantycznej w ustach Arcyty. U Arcyty widzieliśmy zapowiedź tego, co miało znów się stać pasją Europy za lat czterysta. U Palamona słyszymy narzekania na okrucieństwo bogów:

*What governance is in this prescience, 1313
That gillelees tormenteth innocence
Jakąż ukrywa myśl przed-wiedza owa,
Co niewinnego udręczać gotowa*

i na bezkarność zła:

*Allas, I se a serpent or a thief, 1325
That many a trewe man hath down mescheef,
Goon at his large...
Widzę, niestety, jak swobodnie drogą
Chodzi złodziej, co prawym krzywdę sroga
Uczyńń, i wąż...*

które pozostaną zasadniczo w tej samej tonacji, gdy Shakespeare ujmie je z większą siłą:

*As flies to wanton boys, are we to gods,
They kill us for their sport...
Jak dla swawolnych chłopców muchy, my dla bogów,
Zabijają nas w żarcie...*

a Thomas Hardy z większą goryczą, na wielu miejscach, choćby w Hio-bowych narzekaniach *Judy the Obscure* na dzień, w którym się urodził²¹⁾.

²¹⁾ Niespodziane uwolnienie Arcyty z więzienia na wstawiennictwo jego znajomego z Teb, przyjaciela Tezeusza, nie nastraja go, jak wiadomo, bynajmniej optymistycznie. Wydalony tym samym rozkazem na zawsze poza granice państwa ateńskiego, wybucha nowymi skargami na zrządzenie losu. Zmiana nie oduczyla go dotychczasowego stanowiska, tyle, że je inaczej stosuje; pyta na początku retorycznie:

*Allas, why pleynten folk so in commune, 1251
On purveiaunce of God or of Fortune,
That yeveth hem ful ofte in many a gyse
Wel bettre than they kan hemself devyse?*

Tylko dla bardzo nie obznajomionych z prawdziwym średniowieczem badaczy mogłoby być niespodzianką odnajdywanie w tej epoce kontrastów i bujnego wzrostu wielorakich form, z takim trudem porządkowanych, śladów tego, co nasze czasy nazwą spojrzeniem tragicznym na rzeczywistość. Ale równie tylko początkujący historycy mogli by nie wiedzieć, że to, co współcześni Ibsena i Schopenhauera czuli wokół siebie, jako jedno z głównych niemal oblicz ich kultury, jako motyw grany przez całą orkiestrę, u Chaucera i jemu podobnych było jedną tylko nutą, było postawą, która się nie rozwijała do większych rozmiarów, po prostu choćby dlatego, że nie uważano tego za właściwe. Wiemy to i jasno pamiętamy: u Chaucera mało jest tragizmu w naszym rozumieniu tego słowa. Zobaczmy to powtórnie w „Monk's Tale”. Niemniej przy okazji takich ustępów, jak skarga Palamona, warto się zastanowić, jaką rolę i jakie rozmiary przypisać tej postaci. Wielokrotnie krytykowany za swoją krytykę Matthew Arnold decydował się, jak wiadomo, na odmówienie Chaucerowi zasadniczo umiejętności głębokiego spojrzenia na rzeczywistość. Nie sądzę, aby ton skargi Palamona usprawiedliwiał takie ujmowanie sprawy. Czuje się, że jest ona ujęta szczerze i przeżyta. Inna rzecz, że właśnie nie staje się w tym opowiadaniu dominantą. Jest motywem, wprowadzonym przez narratora, motywem, wyrażającym uczucia bohatera w tym punkcie jego historii, której nie zna on jednak dalszego ciągu i zakończenia. Narrator jest epikiem, a więc autorem, potrzebującym szerokiej palety, a przy tym jest epikiem w sensie Kera²²⁾, a więc po-

O biada, czemuż tako ludźmi targa
To na Fortunę, to Opatrzność skarga,
Od których dobro, w przeróżnym sposobie,
Spada większe, niż wymyśli sam człowiek?

ale na końcu rozpaczka całkowicie, że pozbawiony widoku Emilii jest tak dobitnie jak umarli. Nie umie więc zastosować własnej obserwacji z początku swojej *complaint*; nie umie sobie powiedzieć, że jeżeli ludzie wysnuwają przedwczesne wnioski ze swoich sytuacji, to i jego obecna trudność może nie być ostateczna. Podkreślam te wszystkie ludzkie pomyłki bohaterów „*Knight's Tale*” co do ostatecznego deseni, w jaki ich żywot będzie utkany przez palce Park, bo wiąże się to wciąż z tą wielopłaszczyznowością utworu, która stanowi o efektach wspominanego swoistego, zresztą raczej powściągliwego komizmu.

²²⁾ Zob. „*Epic and Romance*”, *passim*.

encjonalnym dramaturgiem, który zestawia różne ludzkie postawy. Bywa istotnie, że ludzie widzą sprawy swoje w najczarniejszych barwach, owszem, widzą je tragicznie, mówi Chaucer. Ale życie, którego całej panoramy wciąż nie mogą ogarnąć, napływa coraz innymi falami i na jednej z takich fal wynieść ich może nawet ponad tragizm. Odpowiedź na zapytanie, jaki tego stosunek do faktu, że pewne fale mogą człowieka całkiem pogrążyć, daje ustęp o losach duszy zmarłego Arcyty pod koniec *tale*.

Zanim nadejdzie ta zmiana, która postawi i Palamona w innej sytuacji życiowej, aby otworzyć mu nowe szanse, Arcyta będzie miał okazję stwierdzić przedwczesność swoich lamentów na zbytne okrucieństwo losu, gdy tenże los pozwoli mu znaleźć się w pobliżu ukochanej Emilii. Wrócił z Teb z rysami zmienionymi przez czas i chorobę, w przebraniu służącego i ma szczęście co dzień oglądać swoją damę na dworze Tezeusza. U Boccaccia dama się dowiaduje o jego uczuciu i jego identyczności ze zwolnionym z więzienia księciem tebańskim, ale pozwala mu łaskawie na marzenia w cichości. Jest w tym kobieca, z pewnym wdziękiem. Chaucer, czyniąc Emilię nieświadomą tożsamości i uczuć Arcyty, wyjątkowo poświęcił ten rys realistyczny (i romantyczny) na rzecz wykończenia obrazu tej kobiety jako ośrodka pewnej zasadniczo biernej atrakcji, jakiegoś *movens non motum*, którym okaże się ona jeszcze dobitniej pod koniec poematu; jest to zresztą, od innej strony, tym romantyczniejsze w sensie „miłości dalekiej”, *amor de lonh*, jak nazywali to Prowansalczycy, choć jej przedmiot jest tuż.

Przez cały ten czas, warto zwrócić uwagę, Palamon nie opuszcza więzienia; w tym zatem punkcie paralelizm między rywalami nie jest utrzymany, ale ta nierówność zostanie skompensowana przez końcowy wynik opowieści. Po siedmiu latach Palamon jednak, zdoławszy zbiec z więzienia i nadal niezachwiany w swoich uczuciach, planuje powrót do Teb i stamtąd wojnę przeciw Tezeuszowi. Spotkanie dwóch druhów-wrogów przygotowuje poeta jako niespodziankę (w przeciwieństwie do Boccaccia) i maluje dla tej niespodzianki odpowiednie tło kontrastowe. Tak można by wytłumaczyć rolę w poemacie tego przepięknego opisu poranku, na który patrzy zbiegły z więzienia Palamon:

*The bisy larke, messenger of day, 1491
 Salueth in hir song the morwe gray,
 And firy Phebus riseth up so bright,
 That at the orient laugheth of the light,
 And with his stremes dryeth in the greves,
 The silver dropes hangynge on the leues.*

Herold jasnego dnia, czynny skowronek,
 Witając szary brzask, uderza w dzwonek;
 Feb wstaje pełny ognia i blask sieje,
 Aż cały nieba wschód się światłem śmieje,
 I promieniami swymi suszy w gaju
 Srebrne krople, co na liściach zostają.

Oczywiście, że poeta cieszy się samym opisem, tak jak prawdopodobnie cieszył się takimi porankami. Ale wygląda na to, że tutaj ten uroczy obrazek z natury jest potrzebny, aby dać kontrastowe tło starciu się zakochanych rycerzy, które za chwilę nastąpi. Starcie będzie gwałtowne, ale gdy Palamon, usłyszawszy z zarośli, w których się skrywał przed ewentualną pogonią, śpiew i żaloszny monolog Arcyty, wyskakując wzburzony, któż zaręczy, czy na ustach Chaucera nie wywoływał znowu uśmiechu i czy kontrast nie miał w sobie też *bathos*u?

*He stirte hym up out of the bushes thikke, 1579
 Zerwał się, skoczył zza gęstych zarośli.*

Umówiwszy spotkanie zbrojne na następny dzień, rywale przystępują do załatwienia mieczem zadawnionego sporu. Ciosy padają straszliwe, podobne tym, jakie opowiadający rycerz musiał widzieć w ciągu swej kariery na polach bitwy. Paralelizm wraca: Palamon jest jak rozszalały lew, Arcyta jak tygrys (któż rozróżni porównania); i gdy walka dochodzi do takiego szczytu napięcia, nagle poeta każe Pegazowi uderzyć skrzydłami i wzbija się wysoko, wysoko ponad walczących. Jakież wzięcie perspektywy, i epickiej i kosmicznej, przez to spokojne pozostawienie zaciekle walczących rycerzy, z których każda chwila może drugiemu zadać cios śmiertelny, aby chwycić za inną nóż, która się z tamtą splecie! Że się splecie właśnie w taki sposób i w takiej chwili, to już właśnie sprawa przeznaczenia, *destinee*, pewnych wyższych planów niż zwykły zbieg okoliczności. I Patch zauważył, że Chaucer zastąpił wymienioną w tym miejscu u Boccaccia

Fortunę przez apostrofę do tej potęgi wyższego porządku (według rozróżnienia Boecjusza)²³⁾.

Destinee wybiera na swoje narzędzie bezpośrednio Tezeusza i od jego interwencji spór się potoczy ku swemu rozwiązaniu z powrotem na płaszczyźnie feudalnej i wielkoświatowej, z której Palamon i Arcyta jako nędzni więźniowie, jeden uciekinier, drugi przebrany służący, musieli dotąd rezygnować. I znów mamy obraz w ruchu, Tezeusz w towarzystwie pięknej i zamilowanej w łowach Emilii (jej służba Dianie wiąże ją w poemacie tym silniej ze stanem panieńskim, którego nie chciała opuszczać), wśród grania ogarów, pędzi na koniu przesadzając strumień, jako istny obraz lorda oddanego „pańskiej rozrywce” *fox hunting*²⁴⁾; i znów w tym ruchu następuje nagle przerwa (por. początek opowiadania): książę patrzy pod słońce i od razu (*anon*) widzi szalony pojedynek dwóch Tebańczyków. Jego zachowanie się jest całe na linii wyznaczonej już przez początek „*Tale*”: zrazu okaże porywczosć, władcą energię i twardość, a w „drugiej fazie” zastanowienie i wyrozumienie. Wzburzony wstrzymuje pojedynek i wzburzony wysłuchuje ognistego wyjaśnienia wciąż jeszcze młodzieńczego Palamona; zamierza od razu uczynić rzeczywistością tę śmierć, do której Palamon deklaruje się gotowym, ale błagania dam, tu, jak poprzedn'o, budzą w nim lepsze myśli. Myśli te płyną ku własnej młodości i jego rozrzewnienie dla szaleństw, które tylu popełnia w tym okresie i które popełniał przecież ongiś sam z miłości, jest

²³⁾ „On Rereading Chaucer”, s. 204.

²⁴⁾ Warto zwrócić uwagę, jak i w tym obrazku radosnego samopoczucia myśliwego w piękny poranek Chaucer bliski jest rzeczywistych przeżyć ludzi swej epoki. Oto jak opisuje takie przeżycie Edward, drugi *duke of York*, w swojej książce „*The Master of the Game*”, dedykowanej Henrykowi V: „Teraz wykażę, jako myśliwi żyją na tym świecie wesелей niż jacykolwiek inni ludzie. Bo gdy myśliwi wstanie rano i widzi poranek miły, piękny i jasny, pogodę dobrą i słyszy śpiew ptaszków, które śpiewają tak słodko, z taką miłością i na piękną nutę, każdy w swoim języku najlepiej jak umie; i gdy słońce już wstało i gdy myśliwy widzi świeżą rosę na gałązkach i trawkach i gdy słońce mocą swoją dobywa z nich blask — wielką wtedy czuje myśliwy w sercu swoim radość i przyjemność”. (Wg „*Chaucer's World*”, s. 219). Oczywiście delectowanie się tym z konieskiego grzbieta nie każdemu było dostępne, dlatego zestawilem to z tradycyjną rozrywką *gentry*, *fox-hunting*. Myśliwy bowiem, jak mówi tenże Edward Duke of York, „... wskakuje na konia, jeżeli jest odpowiedniego stanu. Inaczej idzie piechotą, spiesząc za swymi ogarami” (*ib.*, s. 220).

bardziej udane pod piórem Chaucera niż Boccaccia²⁵); widzi (sam i wskazuje czytelnikom) dramatyczny komizm faktu, że przyczyna tego wszystkiego, Emilia, nic o uczuciach rycerzy i ich sporze nie wiedziała, i kształtuje mu się w głowie inne rozwiązanie. Warto zwrócić uwagę, jak rozwiązanie to, takie samo zasadniczo u Boccaccia, jest dla wielu stron korzystne. Nie tylko dwaj desperaci będą mieli okazję dla „honorowego” rozstrzygnięcia sporu, ale w pełni wystąpi wspólna myślność Tezeusza dla wrogów, a jego bogactwo olśni zagranicznych gości²⁶). I takie względy towarzyszyły nieraz czysto na pozór rozrywkowym okazjom. Rywale z rozradowaniem przyjmują wiadomość o wielkim turnieju, którego zwycięzca otrzyma rękę Emilii i *pars secunda* może się zakończyć.

Wszyscy architekci i artyści w kraju znaleźli się na utrzymaniu Tezeusza, aby przygotowywane szranki wypadły jak najświetniej²⁷). Jakby pobudzony do współzawodnictwa poeta tę właśnie część *tale* usieje najwspanialszymi opisami. Uderza tu bardziej niż gdzie indziej dbałość o konstrukcję poematu, w której poszczególne elementy będą sobie precyzyjnie odpowiadać. W północnej stronie szranków jest świątynia Diany (opiekunki Emilii), w zachodniej Marsa (patrona Arcyty), we wschodniej Venus (protektorki Palamona). Zobaczymy odpowiedniki tego później. W opisach samych świątyń najbardziej uderzają freski, uplastyczniające tematykę związaną z danymi bóstwami. Otóż warto zwrócić uwagę, że właśnie wiek czternasty jest stuleciem fresku. We Florencji, w której poeta był, mógł on oglądać wielkie ściennie malowidło w kaplicy hiszpańskiej Sta Maria Novella, właśnie za jego czasu powstałe, nie mniej potężne w rozmachu i panoramie społecznej niż jego „*Canterbury Tales*”. Ale bardziej zbliżone typem do fresków zdobiących ściany świątyni Venus w „*Knight's Tale*” były dydaktyczno-alegoryczne obrazy na murach, które zawędrowały i do Anglii. Po odkryciu w Longthorpe wiemy, że ściany zamkowej wieży czternastowiecznego rycerza potrafiły być, dla jego nauki, pokryte wyobrażeniami Króla-Rozumu, panującego nad zmysłami

²⁵) Również uważa Patcha, op. cit., s. 267.

²⁶) „His generosity is tempered by his iron will and realistic statecraft” — ujmuje to Shelly („*The Living Chaucer*”, 235; moje podkreśl.).

²⁷) Zob. ww. 1881--1901.

lub siedmiu wieków człowieka²⁸). Podobnie dla nauki czcicieli Wenus, można sobie wyobrazić, pokryte były ściany jej świątyni w utworze Chaucera alegoriami „Piękna, Młodości” i innych sprzymierzeńców Amora, o których traktował „Roman de la Rose”. Zresztą wskazanie na takie źródła nie wyczerpuje treści fresków w świątyni Wenus, które mogą być inwencją Chaucera w większym stopniu niż analogiczne malowidła w przybytku Marsa. Zajmująca główne miejsce w świątyni statua bogini Wenus, jak gdyby Anadiomene, to, jak zauważono, symbol budzącego się Renesansu:

*The statue of Venus, glorious for to see, 1955
Was naked, fletynge in the large see,
And fro the navel doun al covered was
With waves grene...*

Statua Wenus, naga i wspaniała
Pławiąc się w morzu, na wpół wyłaniała
Kibić nad zie'eń fal, gdy wszystko w dole
Skryte było we wodzie...

wszelkie takie określenia są ryzykowne, może lepiej byłoby powiedzieć symbol rozwoju i dojrzewania pewnych zawiązków tkwiących przez całe średniowiecze; w każdym razie opis charakterystyczny dla Przełomu epok, jakkolwiek się określi wzajemny ich stosunek.

Groza bijąca z opisu świątyni Marsa stanowi oczywiście, jak u Boccaccia, mocny kontrast z poprzednim opisem. Świątynia Diany zajmuje najmniej miejsca w poemacie, może dlatego, że ta bogini będzie musiała najbardziej ograniczyć swoje wpływy na losy romantycznej trójki.

Opisując zjeżdżających się ochoczo na wyznaczony dzień w orszakach Arcyty i Palamona zawodników szukających sławy, rycerz apeluje do doświadczenia słuchaczy: przecież łatwo sobie wyobrażają,

²⁸) Już Hinckley w swych „Notes on Chaucer” (1907) zwrócił uwagę na możliwy związek między opisami Chaucera a rozwojem malarstwa freskowego w jego epoce. Hinckley przypuszczał, że Chaucer mógł oglądać najklasyczniejsze zabytki tej sztuki, prace Giotto i Cimabuego, a ponadto podkreślał, że wiek czternasty jest wiekiem rozkwitu fresku w Anglii. Wymieniał tzw. „Painted Chamber” w Westminster; dziś wiemy, że malowidła w Longthorpe są przykładem urządzania sobie na ścianach takiej *encyclopédie par image*, jakiej epoka szukała. Hinckley podsuwał nawet myśl, że najważniejszym wkładem Chaucera w ustępy opisowe na temat świątyń jest potraktowanie malowideł właśnie jako freskowych. Cała sprawa zasługuje na bliższą uwagę ze względu na zagadnienie stosunku Chaucera do sztuki średniowiecznej i jest w tej chwili badana.

jak zbiegliby się rycerze na turniej we współczesnej im Anglii, gdyby szło o zdobycie względów damy. Tu więc tło współczesne i jego przeżycie przez opowiadającego występują szczególnie wyraźnie. Czy u wszystkich takich uczestników turnieju w czasach samego Chaucera pobudką musiały być wyłącznie miłosne westchnienia, to znowu inna sprawa. Wzięcie udziału w konkurencji, w której pierwszą nagrodą mógł być diament wartości sześciuset funtów, drugą rubin, a trzecią szafir, też odpowiednio okazałe, bywało zapewne nienajgorszym zarobkiem²⁹⁾. Oczywiście jednak każdy czytelnik widzi jasno z opisu, że żadne takie motywy nie wchodziły w grę u zakochanych Tebańczyków. Zbroje jadących zawodników w opisie *knight'a* dziwnie przypominają zbroje czternastowieczne, ale i w tym anachronizmie, jak w innych rzeczach, odkrywamy w Chaucerze pisarza świadomego. Wiersz, w którym mówi, że przecież wszystkie mody nowe musiały już być kiedyś znane (2125), wskazuje na zdawanie sobie sprawy z faktu, że opowieść traktuje o starożytnych Atenach na użytek współczesnych Ryszarda II³⁰⁾. A być może, że i pod tym skryty jest uśmiech artysty, na wpół przyznającego się, że nie wie, jakie dokładnie były stroje starożytnych Greków i ogólnie niby wskazującego tylko na powracanie różnych ubiorów w dziejach ludzkich. W tej swobodzie w stosowaniu uproszczeń na pozór naiwnych, a przy skoncentrowaniu uwagi na zasadniczej kompozycji widziałbym znowu rys wiążący Chaucera ze średniowieczną sztuką. Uproszczenie takie, np. u iluminatorów, może przybierać postać anachronizmu, albo kiedy indziej, choćby zlekceważenia proporcji dla wydobywania znaczącego, ciekawego (czasem po prostu zabawnego) szczegółu. I naturalnie swoboda taka, jeżeli trafia na artystę tak inteligentnego, jak inteligentnym pisarzem był Chaucer, daje wyniki czarujące, ale w rękach kogoś duchowo ubogiego będzie szczególnie karykaturalna i odstręczająca.

Widać wybór w postąpieniu Chaucera z orszakiem postaci, towarzyszących Palamonowi i Arcycie. W miejsce katalogów nazwisk,

²⁹⁾ Zob. wzmiankę o nagrodach w piętnastowiecznym turnieju u Dillona: "On a MS Collection of Ordinances of Chivalry of the Fifteenth Century, belonging to Lord Hastings", *Archeologia*, LVII, 1900, 39, wg. E. Rieker: "Chaucer's World", s. 209. Podaną wartość kamienia pomnożyłem przez 15, jak się to robi dla piętnastego wieku.

³⁰⁾ Marchette Chute ("Geoffrey Chaucer of England", s. 261/2) uważa, że widać tu uprzedmiotowienie, stosowanie się do poziomu uczestników.

którymi sy'ie Boccaccio, opisał, i to fascynująco, po jednej tylko postaci z każdej strony. Ta troska o oszczędny i skoncentrowany efekt i o symetrię jest tym wyraźniejsza, że towarzyszący Arcycie „Emetreus, król Indii” jest figurą, stworzoną przez poetę.

Połączenie potęgi, wschodniego przepychu i lekkiej niesamowitości bijące z portretów Likurga, króla Tracji, i Emetreusa, władcy Indii, wyciska je szczególnie mocno w wyobraźni i pamięci czytelnika. Pewien barbarzyński egzotyzm jest mocniejszy przy opisie Likurga z jego ogromnymi ramionami, narzutą z niedźwiedziej skóry, krwawo żółtymi ślepiami i złotym wozem ciągnionym przez białe byki. Opis Emetreusa znowuż zawiera bardziej intrygujące szczegóły. Naprzód od strony ewentualnych związków ze sztuką warto przypomnieć komentarz Hinckleya, że towarzyszące Indusowi tresowane leopardy mogły zostać wstawione przez Chaucera w jego wizerunek pod wpływem sztuki orientalnej, w której od egipskich i asyryjskich czasów były tradycyjnym motywem³¹⁾. Potem trzeba się zatrzymać nad tym zaangażowaniem się rycerza w opis, najwyraźniej jak gdyby sam widział owego wymyślnego króla, występującego w „wydarzeniach” sprzed szeregu wieków:

Of fyve and twenty yeer his age I caste, 2172

Lat, jako sądzę, miał pięć i dwadzieścia.

Możemy mieć raz jeszcze do czynienia z omawianą już swobodą Chaucera, która pozwala mu poświęcić logikę na rzecz żywości narracji; możemy mieć ślad dawniejszej wersji *tale*, inaczej pomyślanej, i wreszcie możemy w tym widzieć aluzję ze strony samego Chaucera do ewentualnego podwójnego znaczenia portretu. Gdyby był on wizerunkiem Ryszarda II albo Henryka, *earl a Derby*³²⁾, poeta mógłby dawać to lekko do poznania chwilową zmianą tonu na bardziej bezpośredni, jakby niechcący zdradzający własne zainteresowanie. Szczegóły, które by mogły wskazywać na osobę Ryszarda, podniósł Manly. Te, które wiążą opis Emetreusa z postacią Henryka Lancaster, uwypuklił Cook. Otóż jest jeden punkt wśród motywów obrazu Emetreusa, który mógłby, jak się wydaje, wzmocnić hipotezę Cooka. Jak wiadomo, prof. Cook sądził, że władca Indii ze swoim orszakiem jest

³¹⁾ Op. cit., kom. do w. 2186.

³²⁾ Zob. Robinson, s. 871.

w poemacie reminiscencją z dnia powrotu do Anglii Henryka (5. VII. 1393), który, jak się dało wykazać, miał w swym posiadaniu niejedną przedmiot, zgadzający się ze szczegółami wymienionymi u Emetreusa. W wierszach 2177-8 poeta mówi, że egzotyczny władca trzymał na ręce, niby sokola do polowania, oswojonego białego orla. Być może, że i w tym jest echo wschodnie, które sugerują komentarze Hinkleya, podającego, że miewał tresowane orły, według opisu Marca Polo, Kubłaj Chan i że istniała wersja o jednym z indyjskich królestw, iż zamieszkują je białe orły. Ale gdyby przyjąć, że Emetreus jest portretem wracającego z Prus i Litwy Henryka Derby, czy wzmianka o białym orle nie mogłaby być aluzją do jego wojaczki na terenach sąsiadujących z Polską?

Staranie o symetrię konstrukcji uderza oczywiście w tym zestawieniu, że każdy z rywali ma swojego takiego zagranicznego popiecznika, opisanego dokładnie. Oczywiście to nie znaczy, aby rzecz zamykała listę świetnych gości. Z jej resztą jednak załatwia się Chaucer ogólną wzmianką, charakterystyczną znowu dla wyraźnie klasowego charakteru *tale*:

*For trusteth wel that dukes, erles, kynges, 2182
Were gadered in this noble compaignye,
For love and for encrees of chivalrye.
Mówię wam, że tam diuki, grafy, króle
W kompanii godnej zeszły się na wieści,
Że się rycerskiej da przymnożyć cześci.*

I znów trafiamy na staranność kompozycji, kiedy poeta przechodzi do opisu kolejnych modlitw protagonistów, zwróconych do ich olimpijskich opiekunów: rozłożenie poszczególnych wizyt w świątyniach jest zresztą takie samo jak u Boccaccia i można Chaucera tylko chwalić za jego zachowanie. Uproszczenie włoskiego materiału przejawia się natomiast w opuszczeniu pięknego, nawiasem mówiąc, motywu „Filostrato”, jak modlitwa Palamona do Wenus zyskuje przez alegoryzację jak gdyby własne życie i jako uskrzydłona osoba odnajdując boginię miłości w głębi jej sanktuarium na wysokościach.

Mars obiecał pomoc srogiemu Arcycie, Wenus poparcie wiernemu kochankowi, Palamonowi. Jedną Dianą była oszczędniejsza w swoich obietnicach, oświadczając Emilii wyraźnie, że nie może spełnić jej prośby o zachowanie dziewictwa: wie, że przeznaczenie jest inne.

I musi powstać pytanie, dlaczego tylko ona była świadoma fatum i pamiętna na nie? Dlaczego nie przejmowali się tym Mars i Venus? Czy oskarżyć w tym miejscu Chaucera o nielogiczność w konstrukcji? Sądzę, że tak, ale znów celową i dającą się wpisać w pewnego rodzaju „wyższą logikę”. Gdyby i Diana obiecała spełnienie prośby, mielibyśmy sytuację: Arcyta prosił o zwycięstwo w boju i Mars mu je przyrzekł; Palamon prosił o zdobycie ukochanej i uzyskał przychylność Venus; Emilia pragnie zostać dziewczcą i też miałoby się jej udać. Otóż, jak pokaże bieg wydarzeń, *destinee* może znaleźć wyjście z dylematu powstałego przez pierwsze dwa przyrzeczenia. Ale nie da się pomyśleć rozwiązania, w którym Palamon posiadałby Emilię całkowicie (bo to obietnica Venus, nie Platona), a ona zarazem pozostałaby czystą. Wiedzące o tym przeznaczenie dopuszcza, aby bóg wojny i bogini miłości zapomnieli o nim na chwilę i zapędzili się w danie obietnic na pozór ze sobą sprzecznych; daje natomiast jakieś wyższe natchnienie Dianie, która będzie wiedzieć, iż rzecz się inaczej obróci.

Na razie jednak, zwłaszcza dla śmiertelnego spojrzenia, sytuacja wygląda bardzo dziwnie i daje pole do spekulacji na temat właśnie *destinee*, do których Chaucer ma taką predylekcję. Jest miejsce i dla Ironii, gdy się zestawia zapalczywość poszukujących szczęścia ludzi i zależność jego im udzielenia od rozgrywek nieopatrznych mieszkańców Olimpu. Ale też ci mieszkańcy brani są przez Chaucera z całą swobodą, na jaką mógł sobie śmiało pozwolić w stosunku do różnych *gentium daemonia*. To, co z nich zostaje, to respektowane jeszcze przez jego niedouczone współczesnych wpływy na ludzkie działania ciał niebieskich, oznaczanych nazwami owych dawnych bóstw. Tyleż z dawnych mitów zostawiał jeszcze w starożytności Arystoteles i ta postawa średniowieczna jest może echem jego poglądów³³). Dlatego Saturn, uspokajający spłakaną Venus, że wszystko będzie dobrze i że znajdzie się sposób na utrzymanie i jej, i Marsa przyrzeczenia, jest zarazem symbolem sił mających wejść w ten układ spraw

³³) W ks. XII *Metafizyki* mówi Stagiryta o domysłaniu się boskiej natury w „dierwzych substancjach”, jako o tej części mitów, która zawiera prawdę, odrzucając zarazem wszystkie prymitywniejsze ujęcia, „obliczone na zaapelowanie do tłumu”, przedstawiające bogów pod formą ludzi lub zwierząt (rozdz. VIII).

i rozwiązać go przez nieszczęśliwy wypadek, pozostający w orbicie działania srogiej planety. I tu wchodzi drugi aspekt stosunku Chaucera do starożytnego panteonu, ujmowanie go od strony estetycznej. Były ozdobne opisy bóstw-sił, do których modlili się protagoniści; podobny zostaje poświęcony i Saturnowi i ten wydaje mi się robić największe wrażenie. Widać (i „słyszać”) jak obok przesunięcia całej serii obrazów grozy poecie zależy na wydobyciu efektu dźwiękowego ze słowa, który wzmacnia efekt wizualny tych dziwnych katastrof na lądzie i morzu, jakie podlegają wpływowi Saturna:

Myn is the ruyne of the hye halles, 2463
The fallynge of the toures and of the walles
Upon the mynour or the carpenter,
 Runięcie walnych hall się ze mnie bierze,
 Przeze mnie mury padają i wieże
 Na budujących cieśli i kopaczy,

gdzie w pierwszej linii odzywają się jeszcze echa tych klęsk germańskich *par excellence*, które polegały na spaleniu się i zawaleniu halli, sadyby rodu, lub wodza plemienia.

Pars quarta zaczyna się opisem równie dźwięcznym, choć całkowicie różnym w nastroju. Asystujemy już przy przygotowaniach do samego turnieju w Atenach tak radośnie podekscytowanych,

That al that Monday justen they and daunce, 2486
 Przez poniedziałek trwają płasy, harce

i widzimy, jak w sławnym opisie przygotowań *l u d u* do wielkiej uroczystości poeta wychodzi poza sferę czysto arystokratyczną. Wiadomo, że opis jest dodany na własną rękę i maluje z charakterystyczną żywością reakcje tłumu i jego przewidywania, tudzież (z charakterystyczną wiernością) pracę rzemieślników przygotowujących rycerskie ryzstunki. W wymienianiu różnorodności i mnogości przedmiotów wiadać, jak pisarz się nimi niemal cieszy, jak bardzo jest tym „poetą zielonej ziemi”, jakim go nazwano w odróżnieniu od bardziej eterycznych Shelleyów i Keatsów. Gdyby przyjąć za Johnstone Parrem, że te partie poematu powstały już po odbyciu się wielkiego turnieju, wydanego przez Ryszarda II w r. 1390, realizm obrazów byłby w dużym stopniu oparty na oglądanych wtedy przez dworskie towarzystwo

(i opisanych przez Froissarta) scenach, dla których ramy poeta sam przygotowywał, nadzorując budowę trybun³⁴⁾.

Tezeusz zmienił decyzję: walki rycerzy będą bezkrwawe; tłum wznosi okrzyki szalonego entuzjazmu i poeta wykorzystuje tę chwilę słuchowo: dźwięk uroczystych trąb wedrze się jakby w te wiwaty. A zarazem samo zaczęcie pierwszej linii nowego opisu od krótkiego, energicznego przysłówka *up*, w górę, narzuca czytelnikowi obraz fanfar, błyskających nagle w dłoniach heroldów:

Up goon the trompes and the melodye, 2565
And to the lystes rit the compaignye,
By ordinance, thurghout the citee large,
Hanged with clooth of gold, and nat with sarge.
 W górę z trąb bucha heroldów muzyka
 I przez gród kompanija ułożona w szykach
 Sunie w kierunku szranków kawalkadą
 Złotogłowie na ulic pył szerokich kładąc.

Jesteśmy już z powrotem w świecie diuków i świetnych rycerzy. Towarzystwo zajmuje miejsca na trybunach z charakterystyczną dla epoki dbałością o hierarchię, bo przecież rzecz się odbywa tak podobnie do czternastowiecznej praktyki, iż można by wiersze Chaucerowskie zastąpić urywkiem opisu kronikarza, nie zmieniając niczego istotnego: „Królowa w towarzystwie wielu pań i panien doszła do miejsca, gdzie miały się odbywać walki, i weszła do pokojów i trybun dla nich przygotowanych”³⁵⁾. Wjeżdżają z dwóch przeciwnych stron, od bramy Marsa i od bramy Wenus, dwaj bohaterzy dnia: Arcyta z czerwoną, Palamon z białą chorągwią; zestawienie kolorów, które ma uważnemu czytelnikowi przypomnieć, jak je łączyła w sobie postać wspólnego przedmiotu zabiegów obu rycerzy, Emilii — w pamiętny dzień pierwszego jej przez nich ujrzenia zbierała w ogrodzie „*floures, party white and rede*” (w. 1053), kwiaty białe i czerwone. I znów po ukazaniu tego kontrastu poeta śpieszy podkreślić równość obu stron walczących, w których zawodnicy byli tak dobrani, że nikt nie potrafiłby odkryć przewagi u jednej z nich. Jest to ta sama cecha

³⁴⁾ Zob. Johnstone Parr: „The Date and Revision of Chaucer's *Knight's Tale*” P. M. L. A., LX (1945), p. 307 ff.

³⁵⁾ To Froissart opisuje turniej w Smithfield w r. 1390, zob. jego ang. tłum. wg „Chaucer's World”, s. 213.

rycerskiej etyki u opowiadającego, która w opisie pierwszego pojedyńku Arcyty i Palamona kazała mu podnieść, że pierwszy z nich, omawiając zbrojne spotkanie z przeciwnikiem, proponował mu lepszą zbroję (ww. 1613-14).

Nie byłoby celowym analizować szczegółowo wspaniałego opisu starcia dwóch obozów na arenie, który stawia, moim zdaniem, Chaucera w rzędzie największych epików świata. Nawet najmniej wrażliwy i bystry czytelnik dostrzeże barwność, ogień i siłę opisu. Może warto podnieść jeden stylistyczny środek, tj. nawrót do użycia na początku linii krótkich przysłówków:

In goon the speres ful sadly in arrest, 2602

In gooth the sharpe spore into the syde.

Mocno osadzą włócznie w zaczepach u dołu,

Mocno wchodzą ostrogi w końskich boków mięso.

albo:

Out goon the swerdes as the silver brighte; 2608...

... Out brest the blood with stierne stremes rede, 2610

Z pochwy wyrwą miecze jak srebro świetliste...

... Z żył wnet buchną krwi strumienie czerwone

Otrzymały efekt daje wrażenie wielkiej szybkości różnych następujących po sobie akcji, jakby nadbiegających fal potoku. Gęsto dawana do rymu aliteracja sugeruje przy tym jakieś skłębienie życia. Tym środkiem górował Chaucer nad autorami romańskimi i sięgnął do złoży tradycji germańskiej (która właśnie w tych latach przeżyła swój późny, powtórny rozkwit u Langlanda, u autora „Pearl” i „Gawaine and the Greene Knight”) przy doskonałej okazji. Ale podkreślone właśnie wrażenie spienionego, rwącego potoku przypomina, że mamy raczej epos w miniaturze; opis ogólny zamyka się w kilkunastu wierszach, brak więc tego, co się nazywa „tchem epickim”.

Chaucer nie ma też miejsca, aby sobie pozwolić na długie, homeryckie porównania. Działa raczej nagromadzeniem szybko przesuwających się obrazów, wprost narzucających się wyobraźni swą plastyką. Przy niektórych wysunięte już zestawienie z techniką filmową musi się znowu przypomnieć dzisiejszemu krytykowi. Tak np. nic nie jest powiedziane ani o strzeleniu z łuków, ani o przelocie strzał. Od razu

Ther shyveren shaftes upon sheeldes thikke, 2605

widzimy, jak w grube tarcze rycerzy wbijają się drgające groty.

Zwróćmy uwagę, że kreślony z takim uniesieniem przez rycerza obraz starcia wypada pomiędzy dwiema najsławniejszymi klęskami

feudalnego rycerstwa na zachodzie: bitwą pod Crécy (1346) a bitwą pod Azincourt (1413). Jest to jeden jeszcze moment, ukazujący tę jedyną mieszkankę realizmu i romantyzmu, jaką stanowi poemat. Z jednej strony wszystko w opisie odzwierciedla współczesny Chaucerowi sposób wojowania, który w całości zostaje przeniesiony w czasy mitycznego Tezeusza. Z drugiej strony wszystkie te elementy służą po raz któryś do wywołania wizji, opromienionej aureolą czegoś niezwykłego, czegoś, co dodaje blasku życiu; a jak wynika z powyższego umiejscowienia opisu w historii rycerstwa, mogło to już być oglądanie się po trosze w przeszłość (krajem wszelkiego romantyzmu), do której tego rodzaju rozprawy, jako czynnik decydujący w wojnie, zaczynały przechodzić. W opisanym znaczeniu jest romantyzm „Knight's Tale” bardzo różny od tego, który krytyk radziecki Timofiejew uważa za twórczy. Żąda on romantyzmu antycypującego, uprzedzającego przemiany świata.

Na tym tle szaleją dwaj rywale (i tutaj: niczym lew i tygrys), aż indyjski gość, Emetreus, zraniwszy Palamona, zadecyduje o jego klęsce i protegowany Venus, przywieziony, mimo desperackiego oporu, do pała zwyciężonych, zostaje za takiego uznany przez Tezeusza. Trybuny huczą od okrzyków, dodaje pamiętny na wszystko poeta, mało się nie zapadną. Triumfujący Arcyta jest właśnie, moglibyśmy uzupełnić myśl narratora, na samym szczycie koła Fortuny. Uśmiecha się już do niego Emilia, dodaje rycerz, i jego zmysł humoru pokazuje się nagle, jakby w marginesowej uwadze, dowodzącej i tu wzięcia pewnego dystansu od czystego romantyzmu:

(For women, as to speken in commune, 2881

Thei folwen alle the favour of Fortune)

(Bo kobiety, w zwykłym toku sprawy,

Tym schlebiają, dla których los łaskawy)

Czy nie spotkamy i później, o wiele później, takiej kombinacji romantyzmu i uśmiechu z niego? Alfred de Musset, opisując księżyc, ten czarodziejski lampion poezji jego okresu, użyje porównania groteskowego:

Au dessus du toit, sur un clocher jauni

La lune comme le point sur un i

Arcyta, powiedzieliśmy, jest na szczycie koła Fortuny. Toteż, gdyby był uczniem epoki, w której Chaucer o nim pisał, rozglądałby

się w tym momencie, skąd może uderzyć piorun. Ale on jedzie ze spojrzeniem wzniesionym ku Emilii, siedzącej wysoko na trybunie, i zapewne nie widzi tej wyskakującej z podziemia furii, którą wysłał Saturn, aby mu spłoszyła konia.

I kiedy za chwilę Arcytę z twarzą całą czarną i rozoraną piersią wynoszą ze szranków, czujemy w tym pewien tragizm mimo całe to wrażenie teatru lalek, które nam się tu i ówdzie przewijało przez poważny tok opowiadania. Niejednokrotnie wyżej podkreślany paralelizm ról Palamona i Arcyty (nazwanych przez Patcha Rosencrantzem i Guildensternem), który pozostawał wryty w umyśle czytelnika mimo cech różniących dwóch rywali i czyniących ich przecież osobowościami w pewnym stopniu żywymi, prowadzi do pytania, dlaczego ofiarą losu padł właśnie ten. Chcę powiedzieć, że jest to „dlaczego” niewiele mniej dojmujące niż podobne „dlaczego” bardziej nowoczesne: czemu się tak stało, że taki lub inny dzielny, mądry itd. człowiek zginął? To nowoczesne pytanie może uwypuklać to, co się nowoczesności wydaje złościwością Fortuny, pytanie średniewieczne — to, co się wydaje jej kapryśnością. Także i ten ostatni sens wystarczy, aby mówić u Chaucera o zrozumieniu odnośnej ludzkiej postawy, zaś możliwość głębszego jeszcze zróżnicowania dwóch druhów, przy „wyrównaniu” ich ogólnych wrażeń w oczach czytelnika mogłaby była być nieporęczna z innych względów konstrukcyjnych.

Zachowanie się Tezeusza w tej chwili niespodziewanego ciężkiego wypadku, przerywającego tok uroczystości, obliczone jest przez autora na to, aby pokazać jego przytomność, godne władcy panowanie nad sytuacją i zrozumienie *decorum*. W przeciwieństwie do księcia Boccacciowego uroczystości nie przerywa, gości podejmie całonocną ucztą; oczywiście zajmuje się specjalnie rannymi, a na pierwszym miejscu najciężej rannym Arcytą.

Rozwój choroby Arcyty ze stałym pogorszeniem, jak wiemy od czasu studium Curry’ego, wykazuje cechy tych fatalnych procesów w organizmie, które wiązano z wpływem Saturna. Stąd jej bezradność. A ponieważ natura nie może nic organizmowi pomóc, więc kończy *knicht* z humorem nieco szubienicznym, w tonacji znów *mock-heroic*, odciągającym słuchaczy od zbyt głębokiej zadumy,

Fare wel phisik! go ber the man to chirche! 2760

Leki rzuć! Na katafalk nieś człowieka!

Toteż pożegnalne przemówienie umierającego Arcyty nie jest i chyba nie ma być większym popisem lirycznym Chaucera. Nazwałbym je taktownym podsunieniem patosu przez dobrego narratora, który wkłada nieco retoryki w usta bohatera w tych okolicznościach, ale nie podaje tego jako swego *forte*. Chesterton zwrócił uwagę na pełną wyrazu dźwięczność wiersza, podkreślającego samotność człowieka leżącego w mogile. Zamyka on melancholijną refleksję o życiu:

What is this world? What asketh men to have? 2777

Now with his love, now in his colde grave

Allone, withouten any compaignye.

Czymże świat ten? Co wymarzył człowiek sobie?

Tu z kochanką — za chwilę w ciemnym grobie,

Gdzie samotny, bez kompanii spoczywa

co istotnie w oryginale może niemal brzmieć jako obijanie się echa o puste ściany grobowca³⁶⁾.

Oczywiście *knight* nie omieszką podkreślić rycerskiego gestu Arcyty, który odchodząc już z areny, wygłasza pochwałę swego rywala i poleca go względem Emilii, ale wróci do lekkiego tonu zadziwiająco śpiesznie, zaraz z wydaniem przez Arcytę ostatniego tchu. Cytowany często ustęp, w którym narrator wymawia się od śledzenia pośmiertnych losów duszy Arcyty (opisanych bliżej przez Boccaccia), zaślaniając się, ze znanym Chaucerowskim stwierdzeniem własnej ignorancji, że nie jest teologiem, a który interpretowano³⁷⁾ jako wyraz sceptycyzmu Chaucera, jest, sądzę, przede wszystkim uzupełnieniem charakterystyki *knight'a*, który swój romans, jak wiele razy zwracałem uwagę, podaje słuchaczom z wracającym co chwila akompaniamentem o nucie komicznej. Oto taką tu macie rzewną i heroiczną historię o dwóch zapalczywych rycerzach i pięknej damie. Szczerze kochali i walczyli dwaj rycerze. Można by sobie wyobrażać, że wiele szczegółów ich historii wyglądało tak, jak wyglądają podobne szczegóły w życiu nas, współczesnych rycerzy. No, ale to się wszystko działo w bajecznej Grecji; stronę jednego i drugiego bohatera brali niby

³⁶⁾ Pozostałbym przy tej interpretacji, mimo że identyczny wiersz użyty jest w całkowicie pogodnym kontekście, bo o korzystającym z samotnego pokoju Mikołaju w "Miller's Tale" (w. 3204); po prostu tu Chaucer użył go dla efektu, który opisałem. Gdybyż wiedzieć, czy nie uśmiechał się do siebie, pod wąsem, gdy pisał, że człowiek leży w grobie bez żadnego towarzystwa!

³⁷⁾ Np. G. G. Coulton: "Chaucer and his England", 3-cie wyd. s. 310.

bogowie — sami rozumiecie, że nie mogę ich przecież wziąć całkiem na serio. I nie mogę się na serio zastanawiać, co się działo z duszą człowieka, który może nigdy nie istniał, a zwłaszcza zagłębiać w zagadnienie niewątpliwie teologiczne, co się dzieje po śmierci z duszą poganina! Tego rodzaju rzeczami, dodałby Chaucer, może się zajmować w swej poczji taki Dante, ale ja już miałem okazję podkreślić, że urodziłem się innym poetą³⁸⁾. Wracamy do Emilii.

Ta lamentuje odpowiednio głośno, jak przystało na damę znającą dobry obyczaj. A znakomity Tezeusz, stając, jak zwykle, na poziomie każdej sytuacji, znów z przytomnością umysłu i młodzieńczą żwawością wynosi ją z sąsiedztwa zwłok. Prawdziwy mężczyzna. I tak się dalej będzie przeplatać rytualistyczny obraz życia z realistycznym. Płaczki rozdrapują sobie policzki, a zarazem rzucają w stronę zmarłego Arcyty proste pytanie zdziwionych prostych kobiet, czemuż to umierał tyle mając pieniędzy i zdobytą Emilię.

Na scenę wkracza stary Egeusz, ojciec Tezeusza, który ma wygłosić jakąś odpowiednią do okoliczności sentencję. I tu humor Chaucera staje się wyjątkowo dość złośliwy. Staruszek zaczyna od dość banalnego gadu-gadu. „Według Egeusza, każdy, kto umarł, przedtem żył na ziemi na jakimś stanowisku, a każdy, kto żył, kiedyś umarł. Mądrość prawdziwie uderzająca, która musiała bardzo pocieszyć ludność po śmierci Arcyty”³⁹⁾. Reszta jednak gnomiki Egeuszowskiej zachowuje godność i powagę.

I reszta *tale* pozostanie przy tym poważnym tonie. Opis pogrzebu Arcyty jest nawet wyraźnie epickim *tour de force*. Tezeusz raz jeszcze musi stanąć na wysokości zadania i swego stanowiska:

In as muche as the servyce sholde be, 2887

The moore noble and riche in his degree,

Wedle księcia zamożności i stanu

Ceremonii i splendoru przydano

z piętnem arystokratycznej klasy. Jak w Iliadzie czy Beowulfie, obserwujemy niepamiętną tradycję ludzkości uroczystego żegnania się z tym, który odszedł, wśród wielkich, monumentalnych scen. A ulica wybita jest kirem, jak na królewskim pogrzebie końca czternastego wieku. Jednakże przy opisie ogromnego stosu, jego zapalania, rzu-

³⁸⁾ Zob. Hous of Fame, w różnych miejscach, zwłaszcza II, 995.

³⁹⁾ M. Chute: "Geoffrey Chaucer of England", s. 262/3.

cania kosztownych przedmiotów w ogień itd., rycerz używa stale formuły: „nie będę opowiadał szczegółowo, jak...”, aby *de facto* przechodzić do coraz dalszych szczegółów. I choć potężna ceremonia zostaje w końcu w całości opisana, wrażenie już poprzednio zauważonej wyraźnej dążności do skracania się (może wynikłego z żołnierskiej nawyczki?) pozostają i tu.

Utrzymana do końca powaga i godność mowy Tezeusza, wygłoszonej po pogrzebie, wskazuje, że poeta uznał za niezbędne dać możliwie najlepsze wprowadzenie do nieco pośpiesznego połączenia Emilii z Palamonem. Czytelnik, od którego wymagano przed chwilą tyle zainteresowania dla osoby i losów Arcyty, ma teraz przyjąć do wiadomości, że jednak Saturn dotrzymał swego, że ten, któremu było dane zwycięstwo, nie będzie się cieszył jego owocem. Emilię otrzyma ten, kto ją pierwszy zobaczył, ten (można by rozwinąć hipotezę Fairchilda), który dążył do celu, a nie koncentrował się na środkach. Żeby taki przerzut w opowiadaniu uczynić łatwiejszym do przyjęcia, należało uczynić zadość formom, potrzebie rytuału i stąd uroczysty na tak wielką skalę pogrzeb Arcyty i wygłoszenie mowy przez samego księcia; zarazem treść tej mowy musi sięgać dość głęboko, aby postąpienie, które jest w niej sugerowane, wystarczająco uzasadnić. Śmierć Arcyty wszystkich dotknęła boleśnie, ale śmierć ta wypełnia prawo bytu na tych jego płaszczyznach, na których żyją ludzie, i mądrością jest przyjąć to i do tego się dostosować. Dlatego należy się zwrócić twarzą ku dalszym faktom, rzeczywistościom popsowalnego, sublunarnego życia i po smutku oddać się radości. Początek mowy głosił chwałę miłości pojętej metafizycznie, jako potężnej więzby świata w jego najbardziej zasadniczej strukturze, bliskiej pierwszego Motoru, a dalszej od stworzenia przemijającego. Można się zastanawiać, czemu Chaucer nie połączył tego wyraźniej z końcowym zaproszeniem do małżeństwa, które w ten sposób wyszłoby również na spełnianie prawa bytu, ale wyższego rzędu od śmierci. Nie łatwo jest decydować się na twierdzenie, że nie dostrzegł tego związku, który wysuwa Chesterton⁴⁰⁾, ale nie łatwo też wytłumaczyć, dlaczego nic o nim nie powiedział prócz użycia (czy to celowe?) tego samego terminu

⁴⁰⁾ Zob. koniec opow. "The Ecstatic Thief" w "Four Faultless Felons". Świetne uwagi o Chaucerze obok naturalnie "Chaucer and His Age" zawiera zbiór esejów "All I Survey" ("Mr. Geoffrey Chaucer").

bond a małżeństwie Emilii, co o owej metaficznej miłości, lecz to już poza samym tekstem mowy. Mowa jako całość jest, obok opisów, jednym z momentów popisowych *tale*, uderza bogactwem gnomiki, jej świetnym powiązaniem, ogólną konstrukcją. Samo zastosowanie ech z Boecjusza w tym miejscu jest artystycznie szczególnie trafne.

Na końcu rozbłyśnie uśmiech, ale jest to uśmiech przyjaźni, żart spokojny, kiedy Tezeusz, zwracając się do Palamona, w którego ramiona popycha Emilię, oświadcza, iż chyba nie potrzeba długo doń perorować, aby się zgodził na proponowane małżeństwo. Żyli długo i szczęśliwie —

*Thus endeth Palamon and Emelye;
And God save al this faire compaignye!
Amen.*

Ot, koniec Emiliji z Palamonem;
Oby Bóg nam dał niebieską koronę!
Amen.

Przed zreasumowaniem krytyki *tale* powiedzmy parę słów o postaciach. Bardzo wyraźnie uwaga opowiadającego koncentruje się tylko na czterech: dwóch rywali, Emilii i jej książęcego szwagra. Te bańscy książęta reprezentują dwa podstawowe aspekty dworskiego świata: Palamon (bardziej) miłość, Arcyta (raczej) wojaczkę. Rycerzami są oczywiście obaj, i to rycerzami romantycznymi. W tej płaszczyźnie zapalczywej ludzkiej pogoni za uchwytnym szczęściem obracają się ich losy, nie sięgają wzrokiem dalej.

Każdego uderza bezbarwność Emilii. Ale jeżeli jest w tak małym stopniu żywą kobietą, to, sądzę, po to, aby była tym wyraźniej ową wizją, za jaką gonią ludzie-rycerze. Gdy na tę wizję wzrok ich pada po raz pierwszy, jest ona w innym sensie nawet bardzo barwna, jest dosłownie pełna koloru, aby być bardziej urzekającą. I może dlatego, aby utrzymać kreację w tej linii, Chaucer zostawił jej rolę tak bardzo bierną i dopuścił, aby w tym wszystkim, gdzie przecież jej *res agitur*, tak mało mogła wyrazić własnego zdania (z wyjątkiem modlitwy do Diany, która też ma pokrewny sens bierności).

Zauważono nieraz, że bez porównania najbogatszą postacią jest Tezeusz. Po podkreśleniu w odpowiednich miejscach jego przeróżnych cech, tu zbierzemy to tylko ogólnie, że jest żywo nakreślonym

obrazem feodalnego władcy, z jego nie tylko zaletami, ale groźnymi wadami. Jest delegatem przeznaczenia na najwyższej z czysto ziemskich płaszczyzn i dlatego tyle razy decyduje o biegu akcji.

A teraz przebiegnijmy warstwy samej opowieści. Widzieliśmy bardzo wyraźnie, jak wyrasta z klasowego podłoża i jak odzwierciedla to podłoże właśnie z końca wieku czternastego. Z jednej strony pełna szczegółów autentycznych z dworskich rozrywek i obyczajów, z drugiej zabarwia je odświętnością, a prócz tego buduje wyraźny romans, historię z krainy marzenia.

Wśród cech opowiadania znajdujemy takie, które wynikają z ogólnych właściwości rycerza, jako przedstawiciela swego stanu, i tych, o których mówi jego portret w ogólnym prologu, i wreszcie takie, o których ten portret nie mówi; do nich należy przede wszystkim humor rycerza, a po wtóre pokrewna z nim, choć całkiem odrębna ironia dramatyczna. Ponadto Chaucer wyposażył rycerza w umiejętność zwięzłego i oszczędnego konstruowania opowieści i podania jej wierszem płynnym i potoczystym, a miejscami świetnym i bogatym w efekty. Konstrukcja jest przy tym uzgodniona z wymaganiami ówczesnej doktryny o wpływie ciał niebieskich na ludzkie losy.

Myślą główną opowiadania zdaje się być wyśpiewanie romansu, z wszystkimi tymi zastrzeżeniami co do tego terminu, które powyżej podniesiono. Obraz życia rycerskiego, stanowiący jego tło, zdobny jest w cały tego życia polor. Zawiązane napięcia dramatyczne przechodzą w *happy end*, bo przecież, *après tout a été dit, knight* opowiadał tylko swoją *tale*.

CHARAKTERYSTYKA NAUKOWEJ DZIAŁALNOŚCI STANISŁAWA SMOLKI (1854—1924)

Był synem Franciszka Smolki, znakomitego polityka demokratycznego i męża stanu w b. zaborze austriackim, bojownika o wolność Polski i swobody konstytucyjne w okresie „Wiosny Ludów” r. 1848, w konstytuancie austriackiej prezydenta, w okresie reakcji absolutystycznej i centralistycznej długoletniego więźnia stanu a później długoletniego prezydenta austriackiej Izby Deputowanych. Matką jego była Leokadia, z domu Bäcker von Salzheim, która go wcześniej odumarała, gdyż w wieku zaledwie lat siedmiu. Była z rodziny świeżo spolszczonej: podobnie jak historyk starszego pokolenia, Karol Szajnocha, poeta Wincenty Pol i tylu innych. Z domu rodzinnego Stanisław Smolka wyniósł gorący patriotyzm i bardzo staranne wykształcenie ¹⁾).

¹⁾ Poniżej zamieszczamy własnoręcznie pisane przez Stanisława Smolkę krótkie *curriculum vitae*, zawierające same prawie daty, opuszczając jednak końcową część zawierającą sumaryczną Bibliografię. Znajdowało się ono w dość obfitej, jak się dowiadujemy, spuściznie po znakomitym uczonym będącej w posiadaniu syna, inż. Kazimierza Smolki. Prawie cała ta spuścizna przypadła podczas ostatniej zawieruchy wojennej. Uprzejmości p. inż. Kazimierza Smolki zawdzięczamy kopię dokumentu, jak wynika z treści, pisanego już po objęciu katedry historii polskiej w uniwersytecie lubelskim w marcu 1919 r. Oto tekst ten: „Urodziłem się 29 czerwca 1854 r. we Lwowie, z ojca Franciszka i matki Leokadii z Bekierów. Nauki gimnazjalne odbyłem we Lwowie, tam też złożyłem w 1871 r. egzamin dojrzałości, jako eksternista, ponieważ zamiast do VIII klasy uczęszczałem jako uczeń nadzwyczajny na uniwersytet lwowski, pracując pod kierunkiem Ant. Małeckiego i Ksaw. Liskego. Właściwe studia uniwersyteckie odbyłem w Gietyndze 1871—1874 pod kierunkiem Jerzego Waitza, R. Paulego, H. Lotzego, B. Steindorffa, Ribbentroppa, Wappäusa, Hansena, tam też otrzymałem doktorat filozofii. W r. 1874/5 rozpocząłem służbę publiczną jako sekretarz Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie pod kierunkiem Augusta Bielowskiego. W r. 1875 habilitowałem się na Uniwersytecie Jagiellońskim z historii powszechnej średniowiecznej i nowożytnej i po 2 semestrach docentury z początkiem zimowego półrocza 1876/7 zamianowany zostałem profesorem historii austriackiej na tymże Uniwersytecie, następnie w r. 1880

Po ojcu dziedziczył niewątpliwie niejeden rys duchowy, podobnie jak i fizycznie był bardzo do niego podobny. W przekonaniach społecznych i politycznych miał jednak z czasem się oddalić od swojego ojca. Po opuszczeniu Lwowa z jego silnymi demokratycznymi tradycjami i przeniesieniu się do Krakowa poddał się wpływowi dominującego tam obozu konserwatywnego, znajdującego się pod przewodnictwem takich ludzi, jak Józef Szujski i Stanisław Tarnowski, ale pod bezpośrednim oddziaływaniem ludzi bliższych sobie wiekiem, jak historycy Wincenty Zakrzewski i Michał Bobrzyński oraz przyrodnicy Rostafiński i Janczewski. Mimo różnic kierunku politycznego zachował wobec swego wielkiego ojca przez całe życie głęboki pietyzm, któremu dał wyraz jeszcze w późnych latach swego życia, wydając w r. 1913 odtworzony z listów do żony jego dziennik z lat 1848—1849, dopełniony zapiskami Fr. Smolki z lat 1841—1848, a uzupełniony pięknym wstępem o ojcu i jego korespondencji. Stan. Smolka związał się w szczególności z kierunkiem katolickim w duchu poglądów społecznych Leona XIII. W życiu dalszym interesowały go też głęboko zagadnienia religijne w związku z historycznym i dogmatycznym gruntem katolicyzmu. W tym też kierunku zwracała się później jego działal-

profesorem zwyczajnym, w r. 1883 zaś objąłem tamże po śmierci Szujskiego katedrę zwyczajną historii polskiej, z której ustąpiłem w r. 1903, by oddać się wyłącznie pracom literackim. W r. 1881 mianowany członkiem korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie, w r. 1884 jej członkiem czynnym, jestem również członkiem Akademii Czeskiej w Pradze, Akademii Węgierskiej w Budapeszcie, Akademii Południowo-Słowiańskiej w Zagrzebiu, członkiem honorowym Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Przez 12 lat (1891—1902) byłem Sekretarzem Generalnym Akademii Umiejętności w Krakowie, wybrany na trzecie z kolei sześciolatek zrzekłem się tego wyboru. W r. 1886 po otwarciu archiwów watykańskich zorganizowałem wyprawę naukową do Rzymu dla badań archiwalnych w zakresie historii polskiej, a gdy te badania ustaliły się pod opieką Akademii Umiejętności, kierowałem nimi do r. 1901". W liście inż. K. Smolki z dn. 3. XI. 1948 otrzymaliśmy ponadto szereg cennych informacji opartych na osobistych wspomnieniach a dotyczących życia St. Smolki, z których niżej częściowo korzystamy w przypisach. Dodajmy jeszcze, że wspomnienia te pochodzą od człowieka, który w chwili śmierci ojca liczył lat 35, a więc, według jego własnych słów, był w pełni zdolny do analizy i należytego przemyslenia tych wspomnień. Bierze też na siebie całkowitą odpowiedzialność za ich pełną prawdziwość. W końcowym ustępie przytoczonego w. głównie części własnoręcznego życiorysu znajdujemy jeszcze wzmiankę o przyjęciu w marcu 1919 r. zwyczajnej katedry historii polskiej, zaofiarowanej Stanisławowi

ność publiczna. Organem prasowym, z którym współpracował, był „Czas”, główny organ obozu konserwatywnego i zarazem katolickiego, w którym w latach 1880 do 1885 był kierownikiem działu naukowo-literackiego, a do którego i później niejednokrotnie pisywał²⁾.

Nie na polu jednak publicystyki, a tym bardziej życia politycznego, zwłaszcza że talentów oratorskich swego ojca nie posiadał, Stanisław Smolka rozwinął swą główną działalność. Od wczesnego dzieciństwa

Smolce w stworzonym właśnie uniwersytecie lubelskim. Pośmiertnie uczony został dekorowany krzyżem komandorskim Polonia Restituta. W dalszej charakterystyce działalności naukowej St. Smolki znajdują się wszystkie ważniejsze pozycje bibliograficzne z opuszczeniem jednak szeregu aktualnych broszur i artykułów. Pełniejszą bibliografię zestawili Stanisław Zakrzewski w artykule (nekrologu) drukowanym w „Kwartalniku Historycznym” r. 1924 i przedrukowanym następnie w „Zagadnieniach historycznych” (drugie wydanie), t. I (1936). Bibliografia znajduje się na s. 257—263. Nie obejmuje jednak szeregu recenzji i mniejszych artykułów naukowych, których pewną ilość przytaczamy dalej w przypiskach.

²⁾ Według informacji syna zmiana poglądów religijnych nastąpiła u Stanisława Smolki nagle, jak to sam opowiadał, a to, gdy po śmierci Józefa Szujskiego (1883) pisał o nim wspomnienie pośmiertne. Niewątpliwie chodzi tutaj o artykuł drukowany w „Czasie” i w tymże roku wydany w oddzielnej odbitce. Ze wspomnień syna, jak wzmiankowaliśmy, oddanych nam do rozporządzenia, zamieścimy jeszcze parę charakterystycznych dla jego osoby i życia rodzinnego ustępów. Stanisław Smolka był, według słów syna, „epigonem romantyzmu w najlepszym tego słowa znaczeniu. Urodzony z ojca Franciszka, bojownika o wolność ludów, dzieciństwo swe spędził w atmosferze, opromienionej bezpośrednio szczytnymi wspomnieniami Wiosny Ludów. Matkę, a żonę i czynną towarzyszkę spiskowca, skazanego swego czasu na śmierć, stawiającą zawsze w hierarchii zainteresowań i uczuć naprzód sprawę, a potem męża i w dalszej dopiero kolejności dziećmi, utracił bardzo wcześnie i mało nawet pamiętał. Wychowany przez starsze rodzeństwo, któremu ta matka wpoila swoje zasady, zaznał mało ciepła rodzinnego, za to wchłoniął w siebie, w dużej mierze podświadomie, pojęcia o obowiązku służby narodowi i sprawie publicznej. Cechowała go wielka i bezkompromisowa prawda charakteru i fanatyczne ukochanie prawdy, a zawsze w ten sposób pojmował swoją misję jako badacza i uczonego. Nieraz w rozmowach ze mną — pisał syn — podkreślał, że ślubowanie doktora zawiera przyrzeczenie służenia prawdzie, co dla każdego uczonego, a zwłaszcza historyka, winno być wytyczną w życiu. — Mimo przynależności formalnej do partii stanńczykowskiej pozostał całe życie szczerym demokratą, a wszak demokrację wchłaniał od kolebki i z mlekiem matki oraz z atmosfery życia rodzinnego”. A dalej pisał inż. Kaz. Smolka: „Dwa razy wstępował w związki małżeńskie. Pierwszy raz z Marią Kremer, córką filozofa Józefa Kremera, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którą

pociągała go lektura zwłaszcza dzieł historycznych. Ulubionym jego autorem był znakomity reprezentant szkoły „opowiadającej” historii polskiej, świetny stylista, Karol Szajnocha. Wyraz swego kultu dla wybitnego pisarza historycznego dał później Smolka, poświęcając jego pamięci swoje „Szkice historyczne”. Wpływ Szajnochy odnajdujemy w istocie w szeregu prac, zwłaszcza wcześniejszych Stanisława Smolki. Nie stał się mimo to kontynuatorem jego kierunku, a jeżeli

miał dwie córki, Marię i Jadwigę. Owdowiawszy wstąpił w związek małżeński z moją matką, pisze inż. Kaz. Smolka, Wandą Orda, wychowaną po śmierci matki, którą straciła mając 4 lata, w domu dziadków w Rzymie, gdzie ci dziadkowie, pp. Kieniewiczowie, mieszkali długie lata. Dom ten miał opinię nieoficjalnej ambasady polskiej przy Watykanie, zwłaszcza w okresie prześladowań Unii na Podlasiu i w Ziemi Chełmskiej. Stałymi gośćmi w tym domu byli kardynałowie Czacki i Ledóchowski, biskup Feliński i bardzo wielu wybitnych ludzi spośród Emigracji.” Z czasów sekretariatu generalnego Akademii wspomnienia syna mówią o tym, że „dużo energii wkładał w propagandę zdobyczy polskiej nauki w świecie.” W szczególności „walki musiał staczać za czasów jeszcze prezesury Majera o wydawanie biuletynu Akademii nie tylko w językach polskim i niemieckim, lecz także najpierw francuskim, a potem i angielskim”. Wielką radość sprawiało mu rozszerzenie stosunków naukowych z najbardziej nawet odległymi krajami, a jako przykład syn przytacza nadejście w drodze wymiany biuletynu Akademii Cesarskiej w Tokio. Zaznacza też, że choć reprezentował odłam wiedzy *par excellence* humanistycznej, doceniał w zupełności i „stałe swoim autorytetem Sekretarza Generalnego popierał wszelkie przejawy polskiej wiedzy ścisłej, jak np. prace Olszewskiego i Wróblewskiego, twierdząc, że wiedza, zwłaszcza ścisła, jest w danej chwili jedyną trybuną, z której naród może przemawiać do świata. W roku poprzedzającym 500-letni jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego był rektorem tegoż i bardzo wiele pracy włożył w przygotowanie związanych z tym jubileuszem uroczystości. Był w ogóle człowiekiem olbrzymiej pracowitości, a ponieważ bardzo wcześnie zaczął swój zawód człowieka nauki, toteż wcześnie zdrowie nadwątlone zmusiło go do wycofania się z profesury i czynnej pracy w Akademii Umiejętności w charakterze jej Sekretarza Generalnego. W zaciszu domowym nie zaprzestał pracy naukowej i publicystycznej. W uznaniu zasług na polu nauki i jej organizacji został powołany na dożywotniego członka austriackiej Izby Panów. Wygłosił tutaj kilka mów w przedmiotach czysto fachowych odnoszących się do organizacji archiwów. Zainteresowania jego w zakresie polityki ekonomicznej charakteryzuje jego mowa w sprawie zapoczątkowania kanału, mającego połączyć dorzecza Wisły, Odry, Dunaju i Dniepru. Pierwsza wojna światowa zelektryzowała mego ojca, pisze syn, nadzieją odbudowy państwowości polskiej. Wybiera się też do Rzymu, mając nadzieję, że tam będzie mógł służyć sprawie narodu. Jest w poszukiwaniu terenu neutralnego, gdzie niezależnie od racji stanu poszczególnych zaborczych państw dany

zaletami stylu może mu nie dorównał (Wład. Smoleński), to przewyższył go znacznie krytycznym wyczerpaniem świadectw przeszłości³⁾.

Znaczenie kierunku „opowiadającego” w historii, posiadającego bardzo wybitnych reprezentantów w pierwszej połowie XIX w. najpierw na zachodzie Europy, w szczególności we Francji i Anglii (Augustyn Thierry, T. Macaulay i mniej wybitny, ale bardzo charakterystyczny P. Barante, a obok nich także Amédée Thierry, J. Michaud

mu było orędownać w sprawie swego narodu. Jakiś czas zatrzymuje się w Szwajcarii. W próbach czynnej polityki doznał jednak wiele zawodów. Śmierć dwóch synów, bardzo obiecujących młodzieńców, na polach bitew w armii austriackiej złamała jego energię. Po wojnie znowu powraca do służby nauce jako profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. — Charakterystyka Stanisława Smolki, jako pedagoga i człowieka w stosunkach z młodzieżą akademicką, wymyka się spod mojej obserwacji. Ojciec mój nie dbał o tanią popularność i brzydził się nią. Poza tym w zetknięciu z młodzieżą cechowała go raczej, moim zdaniem, nieśmiałość. Rewelacją była zatem dla mnie opinia ucznia mego ojca, prof. Franciszka Bujaka, który w kilka lat po śmierci mego ojca opowiadał mi niemal ze łzami w oczach o opiece tkliwej i dyskretniej, którą go otoczył mój ojciec, gdy p. Bujak, jako młody student nie posiadający żadnych środków utrzymania, zemdlął z głodu na seminarium historycznym prowadzonym przez prof. Smolkę⁴⁾. Uczniem prof. Stanisława Smolki był również prof. Stanisław Zakrzewski, który pisze dosłownie: „Doskonałym był pedagogiem i kierownikiem ćwiczeń seminaryjnych. Cechowało go przy tym usposobienie łagodne, choć stanowcze; nie był agresywny i zdania nie narzucał, lecz odznaczał się poszanowaniem cudzego sądu” („Zagadnienia historyczne” I, 1936, s. 264). Mówi też o jego zasługach, łącznie z Wincentym Zakrzewskim, w założeniu seminarium historycznego, pierwszego na ziemiach polskich, z własną biblioteką i pracownią (od r. 1837) i w prowadzeniu zakładu, w którym za przykładem niemieckim widziano główne warsztaty nauki uniwersyteckiej. Stan. Zakrzewski podaje też długą listę uczniów Smolki, którzy zaznaczyli się wydatnie na polu historii (tamże, s. 274—5). Wyrazem uznania dla zasług naukowych Smolki było kreowanie go w r. 1912 przez uniwersytet lwowski doktorem honorowym filozofii i zaliczenie go przez Towarzystwo Historyczne w poczet swych członków honorowych.

³⁾ W sprawie stosunku St. Smolki do kierunków historiografii polskiej por. następującą literaturę:

Władysław Smoleński, Szkoły historyczne w Polsce (1. wyd. 1886, 2 wyd. Pisma historyczne, III, Kraków 1901, s. 225—332); Bronisław Dembiński, Stan nauki historycznej pod względem metody (Pamiętnik III Zjazdu historyków polskich, 1900); Marceli Handelsman, La méthodologie de l'histoire dans la science polonaise („Revue de synthèse historique”, 1922); Bronisław Dembiński, Oskar Halecki i Marceli Handelsman, L'historiographie polonaise du XIX-e et du XX-e siècle, Varsovie 1933);

i bardzo popularny we Francji H. Martin, zaś w Stanach Zjednoczonych A. P. G. Bancroft), widocznie już w tym czasie słabło. Większy wpływ zdobywał sobie równy wiekiem wymienionym uczonym zachodnioeuropejskim, ale dłużej od nich, gdyż aż do przedostatniego dziesięciolecia XIX w., działający uczony niemiecki Leopold v. Ranke. W starszym od siebie filologu i historyku dziejów antycznych B. Niebuhrze znajdował wzór i w rezultacie stał się on przedstawicielem w nauce europejskiej czystej metody krytycznej, z usunięciem zarówno pragmatyzmu, hołdującego zasadzie „historia jest mistrzynią życia”, jak i nadmiernej obrazowości. Obok zadań nauczania usuwał także z historii zadanie sądzenia przeszłości, a jako jedyny jej cel postawił dążenie do przedstawienia, „jak to właściwie było” (wie es eigentlich gewesen). Czy w praktyce uczony niemiecki nie odbiegał w niejednym od głoszonych przez siebie zasad zupełnej bezstronności, to była inna sprawa. Niemniej wyznawany przez niego pełny obiektywizm i czysta naukowość zdobywały sobie prymat w nauce europejskiej w okresie następnym i stały się podstawą metodologii historycznej do dziś obowiązującej. Do podstawowych zasad ścisłego obiektywizmu należało wartościowanie wiarygodności autorów źródeł opisowych, tj. opowiadań zawartych w kronikach, historiach i innych zabytkach, oraz wyróżnienie źródeł współczesnych od opierających się na nich źródeł pochodnych. Sam Ranke pierwszeństwo oddawał dokumentom urzędowym, do których zaliczał także korespondencję dyplomatyczną, raporty osób zajmujących urzędowe stanowiska itp.⁴⁾ Wpływ nauki niemieckiej również poza granicami Niemiec stał się tym silniejszy, że

Oskar Halecki. *Od Polski piastowskiej do jagiellońskiej*. Uwagi na tle działalności naukowej śp. Stanisława Smolki („Przegląd Historyczny” XXV, 1925, s. 222—238); Kazimierz Tymieniecki, *Historiografia polska 1886—1936. Okres średniowieczny* („Kwartalnik Historyczny” LI 1937, s. 258—288), Władysław Konopczyński, *Historiografia polska 1886—1936. Rozwój badań nad dziejami Polski nowożytnej 1506—1795* („Kwartalnik Historyczny” LI 1937, s. 289—302); Marcei Handelsman, *Historiografia polska 1886—1936. Czasy porobiorowe* („Kwartalnik Historyczny” LI 1937, s. 303—326); Josef Kacurek, *Dějepisectví evropského východu* Praga 1946, Kazimierz Tymieniecki, *Zarys dziejów historiografii polskiej*, PAU Historia nauki polskiej w monografiach, XIX. Kraków 1948.

⁴⁾ Dla historiografii zachodniej XIX w. por. zwłaszcza E. Fueter, *Geschichte der neueren Historiographie* 1911, a nadto M. H. Serejski *Rozwój nowoczesnej myśli historycznej* („Wiedza i Życie” XVI—XVII 1947, 1948).

zdobyła sobie ona doskonałą organizację ze studiami uniwersyteckimi ściśle związaną. Nauczanie uniwersyteckie historii ujęte zostało w ściślejsze ramy pracy w tzw. seminarium, odpowiednio zaopatrzonym w środki naukowe a przede wszystkim w fachową bibliotekę. Odwieczna zasada nauczania na wyższym poziomie, sięgająca czasów filozofów greckich, opierająca się o bliski kontakt profesora i uczniów, w ten sposób znalazła nową formę realizacji. Metody pracy seminarialnej z Niemiec przedostały się do innych krajów europejskich (np. we Francji szerzył je G. Monod), a w tym i do uniwersytetów polskich w autonomicznej (po r. 1867) Galicji.

Pierwszym pionierem w nauczaniu historii nowego kierunku miał się stać tutaj Ksawery Liske, uczeń szkoły niemieckiej, a w szczególności Droysena, który należał do kontynuatorów w Niemczech dzieła Rankego, a tylko w zapatrywaniach politycznych od jego liberalnych poglądów bardzo znacznie odbiegał. Do powołania Liskego do Lwowa przyczynił się najbardziej wcześniej od niego przybyły z Wielkopolski Antoni Małecki, sam znakomity uczony, historyk literatury i historyk. Zasługi, jakie zdobył sobie Liske we Lwowie, były różnorodne, ale przede wszystkim organizacyjne i wydawnicze. Stał się twórcą Towarzystwa Historycznego i założycielem „Kwartalnika Historycznego”, pierwszego naukowego czasopisma historycznego w Polsce, które skupiło na długie lata polski ruch naukowy, a zarazem wydawcą 8-tomowego kodeksu dyplomatycznego Rusi Czerwonej (obejmującego ok. 1200 dokumentów). W uniwersytecie lwowskim wykształcił długi szereg badaczy historii, w których rękach znalazł się rozwój nauki polskiej w latach następnych. Jego szkołę charakteryzowało dążenie do pogłębionego krytycyzmu w oparciu o dokładną znajomość źródeł. W jego szkole znalazł się też młody Stanisław Smolka, ale tylko na czas krótki⁵⁾.

Wczesna dojrzałość umysłowa i fizyczna charakteryzowała syna Franciszka Smolki. Za zgodą ojca w siedemnastym roku życia przystąpił do nauki w gimnazjum i jako słuchacz zrazu nadzwyczajny rozpoczął

⁵⁾ Por. wyżej własnoręczne *curriculum vitae* Stanisława Smolki. Charakterystyczne, że wymienia tam Antoniego Małeckiego nawet przed Ksawerym Liske. Zasługi A. Małeckiego na polu historii literatury i historii, zwłaszcza średnio-wiecznej, były bardzo znaczne.

studia uniwersyteckie⁶⁾. W uniwersytecie lwowskim, gdzie słuchał wykładów tak Małeckiego jak Liskego, pozostawał tylko w ciągu jednego roku. W następnym roku znalazł się już na uniwersytecie za granicą, w Getyndze, gdzie w ciągu dwu lat uczęszczał na ćwiczenia seminaryjne i słuchał wykładów szeregu profesorów, wśród których największy na niego wpływ wywarł Jerzy Waitz⁷⁾. Ten należał również do uczniów i kontynuatorów Rankego, i to największą cieszącą się sławą. W odróżnieniu od „nowożytnika” Rankego (zajmował się przeważnie historią powszechną i niemiecką XVI i XVII w.), poświęcił się badaniom średniowiecza, i to nie dziejom politycznym jak Ranke, lecz głównie dziejom wewnętrznym, choć i tamtych nie omijał, a dał się poznać również jako wydawca źródeł. Waitz nie był świetnym umysłem, zdolnym do samodzielnych konstrukcji historycznych, których to cech nie można z pewnością odmówić Rankemu. W swej ośmiotomowej historii ustroju Niemiec poszedł śladami tych, którzy przypisywali Germanom powstanie urządzeń średniowiecznych, a w szczególności za Hansenem, Maurerem, Thudichum i in., skłonny był widzieć w tzw. „marce” germańskiej, czyli pierwotnej wolnej gminie wolnych i równych Germanów, zaczątek późniejszych urządzeń społecznych, w szczególności wiejskich⁸⁾. Wraz z tamtymi przeciw niemu też zwróciła się później przenikliwa i w gruncie rzeczy druzgocąca krytyka Fustel de Coulanges’a w latach następnych⁹⁾. Jeżeli jednak w założeniach tkwił błąd zasadniczy, który wpływał bardzo poważnie na całą koncepcję średniowiecza, to przecież jej dalsze rozwinięcie przeprowadzone było prawidłowo i zgodnie ze źródłami. Nie da się zaprzeczyć, że analizę źródeł, gdzie tymi w istocie rozporządzał, przeprowadzał prawidłowo i że umiał zgromadzić bardzo znaczny a nawet olbrzymi materiał. W historii politycznej Waitz wziął udział w zbiorowym opracowaniu tzw. „Roczników” (Jahrbücher) niemieckiej

⁶⁾ Dla życiorysu Stanisława Smolki korzystamy wiele, prócz informacji pochodzących od rodziny, z cytowanego już artykułu Stanisława Zakrzewskiego, który sam należał do uczniów Smolki i w wielu wypadkach przedstawiał bezpośrednią tradycję o nim.

⁷⁾ Por. E. Fueter, op. c., s. 477 nn.

⁸⁾ W swym podstawowym dziele pt. *Deutsche Verfassungsgeschichte*, 3 wyd. t. I nast., 1880 nast.

⁹⁾ *Histoire des institutions politiques de l'ancienne France*, 5 wyd. t. I nast., 1922 nast.

Rzeszy w okresie średniowiecznym, opracowując dla tego wielkiego przedsięwzięcia naukowego czasy Henryka I, od którego rozpoczyna się dynastia „saska”, posiadająca tak doniosłe znaczenie dla całego niemieckiego wschodu i sąsiednich ziem słowiańskich¹⁰⁾. Źródłowe zapoznanie się z tymi czasami zbliżyło go w ten sposób do dziejów europejskiego Wschodu. W tym samym kierunku pchnęły go również prace wydawnicze nad kroniką „saską” Widukinda, mnicha z klasztoru w Nowej Korbei nad Wezerą¹¹⁾, która posiada podstawowe znaczenie dla dziejów zwłaszcza Ottona I Wielkiego (i ojca jego Henryka I), a obok tego zawiera pierwszą wiadomość pisarza zachodniego o państwie polskim Mieszka I. Opublikował ją w wielkim wydawnictwie założonym przez Pertza w pierwszej połowie ub. stulecia („*Monumenta Germaniae Historica*”), w którym sam został następnie prezesem centralnej dyrekcji¹²⁾, łącząc z tym jeszcze szereg godności zaszczytnych i honorowych¹³⁾. W uniwersytecie starej Getyngi zyskał sobie sławę wzorowego nauczyciela, którą roznieśli jego uczniowie do innych także krajów. Przez poświęcenie Jerzemu Waitzowi najznacniejszej swojej pracy o „Mieszku Starym i jego wieku” Stanisław Smolka wyraził swoje uznanie dla „nauczyciela i mistrza”, a obok niego już tylko Szajnochę, i to później (właściwie jego pamięć) w ten sposób uczcił.

W połączeniu tych dwóch nazwisk poznajemy najlepiej wpływ i wzory, które najsilniej oddziaływały na młodego Smolkę. Przede wszystkim jednak działał w nim z niepospolitą siłą pęd do własnej twórczości naukowej. W wieku lat osiemnastu był już uczonym całkowicie uformowanym i zdolnym do podjęcia samodzielnych zadań. Pierwsza jego praca o najznacniejszym spośród śląskich Piastów, Henryku Brodatym, którą sam określił w podtytule jako „ustęp z dziejów epoki Piastowskiej”, była już rozprawą wcale obszerną (106 stron) i wykazującą doskonale panowanie nad źródłami, z których wiadomości swoje zaczerpnął¹⁴⁾. Wpływ szkoły Waitza tak w tej jak

¹⁰⁾ *Jahrbücher d. deutschen Reichs u. König Heinrich I.*, Lipsk 1885.

¹¹⁾ *Widukindi Rerum Gestarum Saxoniarum libri tres*, Scriptorum R. G. 1882.

¹²⁾ Był nim Waitz w latach 1875—86. Por. M. Jedliński, *Monumenta Germaniae Historica*. Szkic hist.-krytyczny 1927. s. 32.

¹³⁾ Wlicza je Smolka szczegółowo w dedykacji do „Mieszka Starego.”

¹⁴⁾ Henryk Brodaty. *Ustęp z dziejów Epoki Piastowskiej*. Lwów 1872.

i w następnych pracach, gotowi jesteśmy uznać w sumiennym i ścisłym interpretowaniu danych źródłowych, a także w pewnej szerokości perspektyw historycznych, którą przynosiła dobra znajomość dziejów powszechnych w uniwersytetach niemieckich, w związku z historią samych Niemiec, szeroko uwzględnianych. Ta ostatnia cecha silniej wystąpiła zresztą w następnych pracach Stanisława Smolki, zwłaszcza w „Mieszku Starym”.

Z drugiej jednak strony, przynajmniej w tej młodocianej pracy, widoczny jest wpływ nie tyle samego Waitza, ile historiografii niemieckiej Śląska, której obowiązujących kanonów w wielu punktach Smolka nie był w stanie przekroczyć, gdyż brak mu było do tego podstaw w dotychczasowych studiach. W niektórych tylko kwestiach, które sam źródłowo bardziej pogłębił, potrafił być usamodzielniciem swój pogląd. Z tego punktu widzenia warto pracę powyższą traktować łącznie z dwa lata później wydaną po niemiecku rozprawą na ten sam temat, ale w bardziej ograniczonym zakresie dotyczącym zewnętrznych stosunków („Herzog Heinrich des Bärtigen auswärtige Beziehungen”) w czasopiśmie historycznym śląskim¹⁵⁾. Powodem napisania tej pracy, obok względów formalnych a mianowicie udostępnienia jej publiczności niemieckiej, było wydobycie pewnych nowych szczegółów, na które zwrócił już uwagę w „Bibliotece Warszawskiej”¹⁶⁾, a to w związku z recenzją A. Pawińskiego. Najbardziej przecież może nas zainteresować samo postawienie sprawy na pierwszych stronach niemieckiej rozprawy. Smolka z naciskiem podnosi, że w pierwszych dziesięcioleciach XIII w. historia Śląska z historią całej Polski była ściśle związana, a w dalszym ciągu, że tak właściwy Śląsk, w znaczeniu XIII w., jak i odrębnie wówczas traktowane księstwo opolskie zajmują wśród księstw dzielnicowych polskich podobnie stanowisko jak Wielkopolska lub Mazowsze. Samego Henryka Brodatego traktuje jako stanowczo polskiego księcia dzielnicowego¹⁷⁾.

¹⁵⁾ „Zeitschrift d. Vereins für Geschichte Schlesiens”, 1874, t. XII, s. 98—135,

¹⁶⁾ 1873 II, s. 579—587.

¹⁷⁾ Nie może nas to zresztą dziwić skoro do tych samych wniosków doszedł jeden z niemieckich historyków, a mianowicie P. v. Niessen w *Geschichte der Neumark im Zeitalter ihrer Entstehung und Besiedlung*, Landsberg a. W. (Gorzów) 1905, s. 71, który tak samo o Henryku Pobożnym, synu Henryka Brodatego, wyraził się, że był „durchaus ein Piast, ein Herrscher slavischen Stammes, über vorwiegend slavische Gebiete”. Tylko główny historyk Śląska we Wrocławiu,

W tej sprawie, najdokładniej przez siebie zbadanej, Smolka doszedł do własnego, samodzielnego przekonania na podstawie własnych również studiów. Trudno zresztą o tym wątpić, śledząc, w ślad za Smolką dalsze perypetie stosunków Henryka I z innymi Piastowiczami. Pierwszy zaraz układ zawarty z własnym stryjem, Mieszkim Władysławowiczem, księciem do niedawna na Raciborzu, a obecnie także i na Opolu, potwierdzony przez papieża Innocentego III w dniu 21 listopada 1202 r., doszedł do skutku przy pośrednictwie arcybiskupa gnieźnieńskiego oraz biskupów: krakowskiego i wrocławskiego, a doprowadził do ustalenia pokoju aż do śmierci Mieszka w r. 1211. Obaj książęta z najstarszej linii potomków Bolesława Krzywoustego byli już poprzednio stronnikami Leszka krakowskiego. W r. 1206 u Henryka I szukał schronienia uchodzący przed Władysławem Laskonogim arcybiskup Henryk Kietlicz, a w r. 1208 tenże Henryk Brodaty spotkał się z Władysławem Laskonogim i Władysławem Odoniczem w Głogowie na chrzcinach swego syna. W lipcu 1210 wraz z paru głównymi książętami piastowskimi brał udział w ważnym zjeździe w Borzykowie, który stanowił jeden z etapów w zyskiwaniu nowych praw przez Kościół polski. W parę lat później dość nieopatrzone w mieszanie się w spory obu książąt wielkopolskich, Władysława Laskonogiego i Władysława Odonicza, doprowadziły go do zatargu z młodszym z tych książąt, który oparł się aż o papieża Honoriusza III. Wkrótce potem z Władysławem Laskonogim zawarł układ w sprawie obrony położonego na zachodzie Lubusza przed niebezpieczeństwem ze strony niemieckich sąsiadów (1218). W latach następnych bierze udział wraz z innymi książętami polskimi, zajmując wśród nich miejsce jedno z najznacniejszych, w krucjatach przeciw pogańskim Prusom. Potem przychodzą spory z Władysławem Odoniczem i Świętopełkiem pomorskim, w obozie politycznym Leszka krakowskiego, w których Henryk o mało życia nie utracił, a w tych samych latach walki z Niemcami o Lubusz, który odbić potrafił, mimo że sam cesarz Fryderyk II z odległej włoskiej Armii dysponował nim na rzecz

C. Grünhagen, twierdził coś wręcz odmiennego w swej *Geschichte Schlesiens* I. 1884, s. 45—65 i poprzednio w *Die alten schlesischen Landesfürsten*, „*Zeitschrift für Geschichte Schlesiens*”, t. XXI, s. 173 nast. Tego samego zdania trzyma się na ogół późniejsza historiografia niemiecka mimo braku na to danych źródłowych.

Alberta, arcybiskupa magdeburskiego (1226), i to dokładnie w tym samym roku, gdy z Hermanem Salzą kładł podstawy pod przyszłe państwo krzyżackie w Prusiech tenże sam, ostatni cesarz z domu Hohenstaufów, tak fatalną w dziejach tych lat w stosunku do Polski spełniający rolę, jak to od siebie możemy zauważyć¹⁸⁾. Długie za-targi i ostateczne powodzenia w rywalizacji z Konradem mazowiec-kim po śmierci Leszka Białego doprowadziły Henryka do roli naczel-nej w Polsce.

To wszystko szczegółowo Smolka wykazał w swym studium. Uzys-kane w końcu stanowisko określił jako wielkoksiażęce. Nie podniósł poświadczonego późniejszą tradycją, znajdującą się w kronice śląs-kiej, dążenia Henryka do przywrócenia królestwa polskiego na rzecz swojego syna. Uczynili to później inni historycy (M. Łodyński¹⁹⁾, choć ze strony niemieckiej zaprzecza się wciąż słuszności tej tradycji (E. Randt²⁰⁾). Nieufność do tradycji może nie z samego nadmiaru krytyki w tym wypadku pochodzi, gdyż ci sami historycy niemieccy przyjmują bez wahania tradycję tejże kroniki śląskiej w stosunku do innych wydarzeń skądinąd nie potwierdzonych. W danym wypadku może być sporną sprawą tego, jak daleko plany koronacyjne posu-nęły się naprzód na drodze do ich przyszłej realizacji. O tym jednak, że na dworze książąt wrocławskich o nich myślano i mówiono, trudno jest wątpić, gdyż bez tego niezrozumiałe byłyby takie same zamie-rzenia w parę dziesiątków lat później, za czasów Henryka IV wro-cławskiego, które już dokumentami a nie samą tylko tradycją dadzą się stwierdzić w sposób nie mogący budzić żadnych krytycznych za-strzeżeń. Przecież wpływy obce we Wrocławiu wówczas się wzmogły, a odległość od przeszłości królewskiej była większa. Wówczas wprawdzie bezpośrednio niebezpieczeństwo z zewnątrz, ze strony kró-lestwa czeskiego, było większe i mogło wskutek tego stać się osta-tecznym bodźcem do podjęcia planów królewskich, ale plany te można

¹⁸⁾ Por. K. Tymieniecki, *Dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej*. Poznań 1948, s. 434 nast.

¹⁹⁾ M. Łodyński, *Polityka Henryka Brodatego*, „Przegląd Historyczny”, t. XIV, s. 1—25, 141—163, 273—294.

²⁰⁾ Erich Randt, *Politische Geschichte bis zum Jahre 1327. Geschichte Schlesiens* (hsg. von d. Histor. Kommission f. Schlesien u. Leitung v. H. Aubin) I 1938, 92 nast.

było ożywić wtedy, gdy jakiś ślad po nich pozostawał na miejscu, i dlatego też tradycja kroniki śląskiej z początku XIV w. w tej właśnie sprawie jest bardziej wiarogodna niż w paru innych wyrażnie legendarnych. Do tego wszystkiego Smolka jeszcze nie doszedł prawdopodobnie dlatego, że ograniczając własne studia do pierwszej części XIII w., nie dość trafnie potrafił ocenić koniec stulecia, w której to opinii siedł wyłącznie za zdaniem historyków wrocławskich. W opiniach tych niejedno później uległo zmianom, jak przypisywanie Henrykowi IV roli niemieckiego „minnesängera” zupełnie bezpodstawne, a polityczną rolę tegoż księcia i jego zabiegi o królestwo wyjaśnili historycy polscy (Al. Semkowicz, O. Balzer, Grodecki i inni)²¹). Dlatego też Smolka tylko z pierwszą częścią stulecia, do bitwy legnickiej 1241 r., jak sądził, złączył rolę księcia wrocławskiego jako dzielnicowego księcia polskiego, gdy później, jak przypuszczał, było już inaczej.

W czym innym jeszcze pomylił się młody Smolka, a mianowicie utożsamiając za ówczesną historiografią niemiecką, a długi czas również i polską, kolonizację niemiecką z kolonizacją na tzw. prawie niemieckim, wskutek czego dostrzegał kontrast między rolą Henryka Brodatego w jego polityce w obrębie Polski dzielnicowej a rolą jego jako rzekomego germanizatora, dla gospodarczych wprawdzie celów, wewnątrz dzielnic.

W rozwoju naukowym uczonego nie tylko jednak osiągnięcia, ale również plany i zamierzenia mają doniosłą rolę. Monografia o Henryku Brodatym miała być w założeniu swym przede wszystkim próbą analizy, która — zwłaszcza z uzupełnieniem (niemieckim) z r. 74, biorąc w całości i uwzględniając stan ówczesnej znajomości dziejów śląskich, wypadła niewątpliwie bardzo pomyślnie. Rozprawę pomyślaną jako praca z tezą, którą obronić i uzasadnić jest zamierzeniem autora, stała się głównie druga z dwu prac o Henryku Brodatym, i to dopiero w toku dyskusji rozbudzonej recenzją innego uczonego polskiego. Przystępując do pracy młody Smolka miał głównie na celu dokładną i odpowiadającą najwyższym wymaganiom meto-

²¹) Por. ostatnio R. Grodecki, *Dzieje polityczne Śląska do r. 1220* (Historia Śląska do r. 1400 PAU 1933) zwłaszcza, s. 281—229. Sprawę „minnesängera” wyjaśnił K. Wutke *Der Minnesänger Herzog Heinrich von Pressla in der bisherigen Beurteilung* („Zeitschrift f. Gesch. Schlesiens”, t. LVI).

dycznym analizę źródłową. Widzimy to zresztą ze wstępu do polskiego opracowania (wcześniejszego) Henryka Brodatego. Smolka wspomina tu o nowym wówczas krytycznym wydaniu źródeł średniowiecznych („Monumenta Poloniae Historica”), którego II tom miał się właśnie lada dzień ukazać²²⁾. W dalszym ciągu daje też dokładną analizę głównych źródeł kronikarskich i rocznikarskich epoki, której wyniki nie pokrywają się wprawdzie w zupełności ze stanem dzisiejszej nauki w tej sprawie, w szczególności po pracach Wojciecha Kętrzyńskiego z jego rozprawą o kronice wielkopolskiej na czele²³⁾, nie trzeba jednak zapominać, że dyskusja w sprawie źródeł powyższych w wielu razach nie dała wyników ostatecznych i zupełnie pewnych. Wyniki dotychczasowe są i mogą być w dalszym ciągu dyskutowane, jak to widzimy z ostatnich prac francuskich ks. Davida²⁴⁾. W tej dyskusji zaś o opiniach Smolki zapominać nie należy, zwłaszcza przy ustaleniu najstarszych części i źródeł, z których korzystała najważniejsza kronika wielkopolska. Tak samo zdanie Smolki — poza jeszcze rocznikami — o żywocie św. Jadwigi, gdy bardziej przygodnie wspomina o kroniczce klasztoru henrykowskiego, zasługuje i dziś jeszcze na uwzględnienie. Trzeźwość poglądu i jego umiar, które zawsze charakteryzować będą Smolkę, niezależnie od tych lub innych wpływów metodycznych i z przyrodzonymi właściwościami jego umysłu blisko dają się łączyć, występują i w tym wypadku. W sprawie zaś tych wpływów — to właśnie wstęp do „Henryka Brodatego” zawiera połączenie nazwisk Jerzego Waitza, w którego seminarium historycznym praca powyższa powstawała, i Ksawerego Liskego, któremu wprowadzenie w studia historyczne Smolka zawdzięczał. Wreszcie nie można pominąć stosunku do czołowego historyka śląskiego, Colmara Grünhagena, którego „Regesta” śląskie (VIII tom kodeksu dyplomatycznego śląskiego) tak wielką rolę przy pisaniu rozprawy odegrały.

Nic dziwnego, że autorytet Grünhagena, jak widzieliśmy, w rozumieniu doniosłych spraw w przeszłości Śląska poważnie zaciążył na poglądach Smolki. A mimo to w tym tak ważnym dla zrozumienia

²²⁾ Henryk Brodaty, s. 4.

²³⁾ Wojciech Kętrzyński, O kronice wielkopolskiej („Rozpr. Wydz. Hist.-Filoz. A. U.” XXXIII, 1896).

²⁴⁾ P. David, Les sources de l'histoire de Pologne à l'époque des Piasts. Paris 1934.

rozwoju naukowego Stanisława Smolki wstępie znajdujemy również dowody, że nie tylko krytycyzm „czystej” nauki był atmosferą, w której się budziły zainteresowania przeszłością naszego autora. Znajdujemy tu również wpływ związków łączących badania nad przeszłością z aktualną terażniejszością. Już sama postawiona na początku niemiecka maksyma: „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht!” — niezupełnie z naczelną zasadą Rankego i jego szkoły da się pogodzić, skoro wyraźnie chodzi w tym wypadku o sąd nad historią, a nie tylko o jej wierne odtworzenie. W dalszym ciągu Smolka nie pomija zdania „Rzymianina”, że historia jest nauczycielką życia, która pod piórem ucznia Liskego i Waitza może nas zaskoczyć. Uważa też za potrzebne tłumaczyć, że nie tylko dzieje najnowsze, ale również i dawniejsze zasługują na zajęcie się nimi, gdyż — jak słusznie zresztą zauważył — „w historii w ogólności... i w naszej narodowej historii istnieje ciągłość dziejowego rozwoju, że zatem dzieje nasze ostatnich czterech stuleci nie dadzą się ocenić bez należytego zglębienia epok poprzednich”. A dalszy pogląd wypływa już z pewnych syntetycznych skłonności lat ówczesnych, ujawniających się w szczególności w niektórych dość krańcowych nawet poglądach tzw. „szkoły krakowskiej” (szkoły w znaczeniu poglądów na przeszłość, a nie metod pracy badawczej), których w kilka lat później najbardziej znamienym przykładem będą Michała Bobrzyńskiego „Dzieje Polski w zarysie” (I wyd. 1879 r.). U Smolki czytamy dosłownie, że „już w wypadkach z końca XI wieku spostrzec się dają zarody całego dalszego rozwoju, który w końcu doprowadził do katastrofy w wieku XVIII”²⁵⁾. Trudno zaprzeczyć, że była to wielka przesada i że w poglądach wytworzonych o w. XI stosowanie powyższych kryteriów byłoby rzeczą ani ostrożną, ani odpowiadającą wymogom obiektywnej nauki. Uczeń polskich i niemieckich mistrzów metody krytycznej w historii tkwił więc jeszcze dość mocno powyższymi swymi zainteresowaniami i potrzebą wyłożenia ich przed publicznością polską w tej atmosferze, której dawny pragmatyzm był objawem łatwo dającym się stwierdzić. Nad tymi oddziaływaniami środowiska górował już jednak cel wyłącznie poznawczy dokładnego zbadania epoki dotychczas jeszcze wyczerpująco nie zbadanej, o czym zaraz dalej we wstępie czytamy.

²⁵⁾ Henryk Brodaty, s. 4.

W sposób też wysoce systematyczny Smolka prowadził w dalszym ciągu swe badania nad źródłami epoki, wśród których tak ważną rolę zajmowały roczniki, skoro im przecież zawdzięczamy całą chronologię epoki. Następną jego pracą była niemiecka rozprawa o rocznikach²⁰⁾, która stała się jednocześnie podstawą jego doktorskich egzaminów w Getyndze u Waitza. Plan naukowy Smolki przedstawiał się zupełnie jasno. Zajmując się okresem książąt dzielnicowych, postanowił on zbadać ważny dla tej epoki dział źródeł. To go doprowadziło również do ograniczenia swego zadania początkiem XIV w. Ze względów jednak ściśle badawczych wyłączył z tego zadania roczniki wielkopolskie, których dokładne poznanie nie da się osiągnąć bez rozwikłania spornych kwestii dotyczących kroniki wielkopolskiej (tj. w terminologii używanej jeszcze przez Smolkę, Boguchwałę i Godysława). W szczególności autor postawił sobie za zadanie wyjść poza stwierdzenia, dotyczące rękopisów roczników, głównie uwzględniane we wstępach do ostatnich wydań tychże, i zyskać kryteria przy ustalaniu wzajemnego do siebie stosunku poszczególnych roczników. Sprawa bowiem tradycji rękopiśmiennej roczników nie powinna nam zasłaniać sprawy ich pierwiastkowego powstania. We wstępie omówił dawniejszych częściowych wydawców roczników (Sommersberg, Lengnich, Łę'owski) i uwagi Lelewela, pochodzące z dwudziestych lat XIX w., zużytkowane przez Ł. Gołębiowskiego i powtórzone przez samego Lelewela w jego zbiorowym wydawnictwie (w r. 1855). Sprawę wydania roczników zapowiedział A. Bielowski w r. 1864, w I t. swych „Monumentów”. Wydano je najpierw, przy udziale Bielowskiego, w „Mon. Germaniae Historica” (1866), a następnie przez samego Bielowskiego w „Mon. Poloniae Historica”, t. II (1872).

W chwili gdy Smolka pisał swoją rozprawę, były to więc wydawnictwa zupełnie nowe. Nie miał jeszcze do rozporządzenia wydań dalszych roczników w tomach następnych „Mon. Poloniae” i wydania Perlbacha w „Mon. Germaniae”. W chwili nam współczesnej oczekiwane jest długo przygotowywane pełne naukowe wydanie roczników polskich (w spuściźnie rękopiśmiennej ś. p. Wł. Semkowicza), co pozwoli nam bliżej wnikać w zagadnienie, któremu Smolka pierwszy próbował sprostać, wzajemnego do siebie stosunku po-

²⁰⁾ Polnische Annalen bis zum Anfange des vierzehnten Jahrhunderts. Eine Quellen-Untersuchung. Lwów 1873, s. 134.

szczególnych roczników w ich pierwotnej postaci, a w uniezależnieniu się od późniejszych kompilacji. Od chwili wydania rozprawy Smolki do chwili dzisiejszej badania nad rocznikarstwem polskim postąpiły niewątpliwie znacznie naprzód (Tad. Wojciechowski²⁷), W. Kętrzyński²⁸), Wład. Semkowicz²⁹) i paru innych też obcych autorów³⁰). W szczególności zajmowano się pochodzeniem tegoż rocznikarstwa, jego dalszymi dziejami na podstawie poszczególnych zachowanych zabytków i historią niektórych najdawniejszych, w dochowanej tradycji, roczników (tzw. świętokrzyskiego dawnego). W związku z tym dawniejsza praca Smolki została w niejednym prześcignięta. Zachowała przecież do dziś jedną wysoką zaletę. W stosunku do większości tych prac bardziej ma na widoku rozwój całego rocznikarstwa polskiego i jego przemian. Metoda naukowa stosowana przez Smolkę nie może być w każdym razie uważana za przestarzałą. W nowym opracowaniu dziejopisarstwa polskiego wieków średnich w niejednym wypadnie z niej skorzystać. Między innymi rocznikarstwo śląskie i jego bliski związek z rocznikarstwem innych dzielnic piastowskich nigdzie nie zostały tak szeroko uwzględnione³¹).

W następnym, 1874 roku, prócz omówionej już pracy niemieckiej o Henryku Brodatym, Smolka opublikował studium o „Początkach feudalizmu”³²), które warto również tutaj przypomnieć. Praca o feudalizmie nie jest pracą badawczą tak jak trzy poprzednio wymienione. Nie jest jednak również pracą wyłącznie referującą, pomimo nawet

²⁷) Wojciech Kętrzyński, O rocznikach polskich („Rozpr. Wydz. (Pamiętnik Akad. Um. Wydz. Filol i Hist.-Filoz.” IV, Kraków 1880 — Praca nie dokończona, ale dla okresu najdawniejszego posiadająca dużą doniosłość).

²⁸) Wojciech Kętrzyński, O rocznikach polskich („Rozpr. Wydz. Hist.-Filoz. A. U.” XXXIV, 1897).

²⁹) Władysław Semkowicz, Rocznik tzw. świętokrzyski dawny („Rozpr. Wydz. Hist.-Filoz. A. U.” LIII, 1910).

³⁰) M. Perlbach, Die Anfänge der polnischen Annalen („Neues Archiv” LXXXIV, 1899 i P. David, Recherches sur l'annalistique polonaise du XI-e au XVI siècle (Revue des questions historiques”, CXVI, Paris 1932 p. 5—58).

³¹) W tym samym r. 1873 ukazuje się, dając świadectwo również o zainteresowaniu się Smolki źródłami średniowiecznymi, recenzja z dzieła H. Zeissberga, Polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters w „Przewodniku Naukowym i Literackim” II, 1873, s. 888 nast.

³²) Początki feudalizmu. Studium historyczne („Przewodnik Naukowy i Literacki”, Lwów 1874, t. II, s. 65 nast. i Odb., s. 65).

że znaczna jej część poświęcona jest przedstawieniu sporu naukowego między Waitzem i Rothem w sprawie początków feudalizmu. Wynika to stąd, że historia nie jest tylko wyłącznym badaniem źródeł. Obok tego zadaniem jej jest również dalsze postępowanie w zakresie wydobytych ze źródeł faktów, czyli zjawisk historycznych i z tych konstruowanie tzw. przebiegów historycznych. Obu tych stadiów stosowność jest konieczna, gdyż wynika ona z podstawowej właściwości historycznej metody poznawczej, tj. z pośredniości danych o minionej rzeczywistości poznawalnej z pomocą źródeł, albo inaczej zachowanych śladów przeszłości. W pierwszym stadium konieczne jest opanowanie źródeł, pozwalających na wydobywanie pewnych wiadomości w zakresie poznawanej materii. W drugim stadium konieczne jest opanowanie stwierdzonych zjawisk oraz ustalenie wzajemnych tych do siebie stosunków. Obie czynności należą zarówno do czynności naukowych. W drugim wypadku rzadziej zachodzi konieczność sięgania do źródeł, ażeby stwierdzić, co one przynoszą, jakkolwiek jest to możliwe i w razie zachodzących wątpliwości nawet konieczne. Przed historykiem, podobnie jak w szeregu innych gałęzi wiedzy, staje problem, jak same stwierdzone fakty ze sobą uzgodnić. W tej sytuacji znalazł się Smolka i dlatego nie był zmuszony wyrzekać się własnego sądu naukowego, jakkolwiek podstawowe fakty czerpał od obu niemieckich badaczy. Nie usuwało to jednak częściowej od nich zależności.

Wystąpiła ta zależność najsilniej w tym, co było dla obu, tj. Waitza i Rotha, wspólne. Z prac obu wchodziły tu w grę następujące: drugi tom Jerzego Waitza „Deutsche Verfassungsgeschichte”³³⁾, zawierający ustrój państwa frankońskiego w okresie Merowingów, dalej dzieło Pawła Rotha poświęcone wyłącznie spornemu zagadnieniu pt. „Geschichte des Beneficialwesens von den ältesten Zeiten bis ins zehnte Jahrhundert” (1850), oraz prace polemiczne Waitza „Über die Anfänge der Vassalität” (1856) i w dalszym ciągu tomy III i IV „Deutsche Verfassungsgeschichte” (1860 i 1861), a obok tego główna polemiczna praca Rotha pt. „Feudalität und Unterthanenverband” (1863), na które Waitz raz jeszcze odpowiadał w „Die Anfänge des Lehnswesens” (w „Hist. Ztschr.”, 1864). Otóż obu wspólnym był przede

³³⁾ W I wyd. 1847.

wszystkim pogląd o przewadze elementu germańskiego i jego wpływów w całym okresie średniowiecznym, który też z całą siłą występuje u Smolki. Pisał wówczas Smolka, pod silnym wpływem całej prawnie nauki niemieckiej, że w wiekach średnich, choć nie doszło do dzieściowiekowej stagnacji, jak sądzono w okresie oświecenia, żaden objaw cywilizacyjnego życia ludzkości nie doszedł do tak pełnej dojrzałej doskonałości jak w starożytnym klasycznym świecie. Ale właśnie „to dojrzałe, wykończone wykształcenie czynników klasycznej cywilizacji okazuje dowodnie, że ich bezpośrednia działalność w rozwoju ludzkości musiała się ukończyć w czasie, kiedy nowe plemiona wstąpiły czynnie na widownię dziejów”³⁴⁾. W dzisiejszej nauce europejskiej na podstawie materiału czysto indukcyjnego, a więc ze źródeł historycznych zaczerpniętego, odbiegliśmy bardzo daleko od tego poglądu³⁵⁾. U typowych analityków, do których należał Smolka, widocznym jest jednak w tym wypadku, że przekonanie jego nie z indukcji źródłowej, lecz skądinąd zgoła płynęło. Dostrzegamy tu wpływ filozofii okresów cyklicznych w dziejach, bardzo rozpowszechnionej w pewnych okresach, w których wewnętrzna konieczność rozwoju i upadku jest z góry postulowana. Potwierdzenie tego znajdujemy istotnie w dalszych wywodach Smolki. Nowe plemiona, jak pisze, wniosły zarazem i nowe pierwiastki cywilizacyjne. W pierwszych stuleciach wieków średnich ukazują nam się one jeszcze w surowych związkach; w powolnym dopiero rozwoju wykształcają się i przybierają coraz doskonalsze kształty, a nasza dzisiejsza cywilizacja łączy się z nimi zawiązaną tkaniną nieprzerwanych nici. Mimo to spuścizna klasyczna wywarła swój wpływ, choć stanowcze jej oddziaływanie rozpoczęło się dopiero od czasu odrodzenia nauk w XV i XVI stuleciu³⁶⁾.

Widzimy więc, że u analityków znajdujemy stanowczo nie analitycznego pochodzenia zapatrywania, i to o znaczeniu podstawowym.

³⁴⁾ Początki etc., s. 3.

³⁵⁾ Prócz podstawowych dla tego poglądu dawniejszych prac Fustel de Coulanges'a z prac nowszych jako orientujące w podstawach feudalizmu wymienić można H. Mitteis'a, *Lehnrecht und Staatsgewalt*, Weimar 1933 i M. Blocha, *La société féodale. La formation des liens de dépendance*, Paris 1939.

³⁶⁾ Początki etc., s. 3 nast.

Z tego nie wynika bynajmniej potępienie samej metody analitycznej. To, co w ograniczonym zakresie zaobserwowaliśmy w potraktowaniu dziejów wewnętrznych Śląska, tu wystąpiło w szerszym zakresie. W dziejach zewnętrznych Śląska z pierwszej połowy XIII w. Smolka wprowadził doniosłą korekturę na podstawie własnych swych badań źródłowych. W danym wypadku nie było pola do takich korektur, gdyż własnej analizy źródłowej do początków średniowiecza Smolka nie stosował i prawdopodobnie nie odczuwał tego potrzeby. Łatwiej było zresztą przeprowadzić poprawkę na jednym niezbyt wielkim odcinku, w ramach historii jednej polskiej dzielnicy, aniżeli w tak podstawowych zagadnieniach całego europejskiego zachodu. Nie krytycyzm źródłowy, jako metoda naukowa, ponosił więc w tym winę, lecz nie dość szerokie stosowanie tego krytycyzmu u adepta wiedzy pobieranej w uniwersytetach niemieckich zupełnie zrozumiałe. Smolka zdolności krytyczne posiadał znaczne, ale nie zawsze posiadał dość odwagi albo nie odczuwał tego potrzeby, ażeby je zastosować. Wyjaśnimy to lepiej na przykładzie. W rodzimym materiale polskim samodzielność myślenia Smolki jest widoczna. Ludność wiejską w Polsce — tak później w „Mieszkach Starych” — nazywa „chłopami”. Wyraz ten przeniesiony do średniowiecza z całym balastem pojęć wiele późniejszych, w szczególności XVIII i XIX w., byłby bardzo niebezpieczny i jako termin naukowy bardzo niedogodny. Smolka miał jednak wycucie, że tu chodzi o znaczenie pierwotne tego wyrazu, które pokrywa się prawie w zupełności z pojęciem człowieka, mężczyzny, i dlatego nie bez słuszności zestawiał go z łacińskim „homines”. W tym znaczeniu „chłop” Smolki nie budzi zastrzeżeń. Wzdraga się natomiast użyć w odniesieniu do wcześniejszej doby średniowiecznej nazwy kmiecia, który zjawia się dopiero później w „prawie niemieckim”. W istocie kmieć był pojęciem późnośredniowiecznym³⁷⁾. Ten sam jednak Smolka w „Początkach feudalizmu”, gdy mówi o Germanach, właśnie polskiej nazwy kmiecia używa dla tamtejszych najdawniejszych wieśniaków³⁸⁾. Doktryna, czy po prostu „mit” pojęciowy, a ta-

³⁷⁾ Mieszko Stary etc., s. 40 nast. i zwłaszcza 494, też 47 nast.

³⁸⁾ Początki etc., s. 16: „Jądrem narodu był wolny stan kmieci. Obok niego istniała szlachta rodowa, nie zażywała jednak szczególnych przywilejów w prostym ustroju państw starogermańskich (*nobiles* u Tacyty). Pośrednie między niewolnikami a stanem wolnym zajmowali tzw. *lites* (wyzwolenicy),

kie odnajdujemy i w nauce (wynikają one tu z braku krytycyzmu) o wolnych włościanach, czyli kmieciach, w samym początku historycznego rozwoju wyeliminowana zostaje z historii polskiej, czy słowiańskiej, a utrzymana zostaje w historii niemieckiej, pomimo że tam nie posiada wcale mocniejszych podstaw źródłowych. Wynika więc z tego, że nasz kmięć jako instytucja musiał być rzekomo pochodzenia niemieckiego. W dalszym przede wszystkim rozwoju wynikały stąd załamania, których źródłem był „etniczny” sposób myślenia, właściwy nauce niemieckiej aż do dziś dnia (por. Köbner i Aubin w najnowszym wydawnictwie „Cambridge Economic History” I, 1942³⁹), według którego te same w gruncie rzeczy procesy społeczno-gospodarcze odbywały się w sposób zupełnie odmienny, jeżeli nie wręcz przeciwny, u Niemców i Słowian. W takim zaś razie nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak tylko zapożyczać się od Niemców, a i to, według tego samego nawyku myślenia, ostatecznie nie było skuteczne.

Smolka, który „według najnowszych badań” przedstawiał proces tworzenia się instytucji feodalnych w państwie frankońskim, tylko w razie panującej tam zgodności musiał się trzymać zasady „iurare in verba magistri”. Tam gdzie kwestie były sporne, zmuszony był do większej samodzielności i to wychodziło na dobre samemu przedmiotowi. Obydwaj antagoniści, stojąc na gruncie przewagi „germanizmu” w średniowieczu, nie uważali instytucji feodalnych za bezpośrednią

których wolność była ograniczoną. W tym względzie różniły się germańskie instytucje stanowczo od prawa rzymskiego; pomiędzy germańskimi litami a stanem wolnym istniał zawsze głęboki przedział podczas gdy synowie rzymskich wyzwolenców posiadali już wolność zupełną”. To krótka i zwięzła charakterystyka społeczeństwa germańskiego. W danym wypadku chodzi nam tylko o podkreślenie przeciwstawności dwu konstrukcji historycznych.

³⁹) The Cambridge Economic History of Europe from the decline of the Roman Empire ed. by J. H. Clapham and Eileen Power. Vol. I. The agrarian life of the Middle Ages, Cambridge at the University Press 1942, p. XVII, 650. — W wydawnictwie tym R. Köbner, profesor niegdyś we Wrocławiu, opracował „Osadnictwo i kolonizację” średniowieczną z dużym uwzględnieniem spraw wschodnich, obejmujących zachodnich Słowian. H. Aubin (z tegoż niegdyś uniwersytetu, choć już przed wojną drogi obu autorów się rozeszły) zajął się „krajami na wschód od Łaby i niemiecką kolonizacją w kierunku wschodnim”. Por. naszą obszerną recenzję, której przeważną część poświęcona została dwóm wspomnianym rozdziałom, w „Rocznikach Dziejów Społecznych i Gospodarczych” t. X, 1948, s. 272—294.

kontynuację dawnych urządzeń germańskich, szukając słusznie ich bezpośredniej genezy na gruncie średniowiecza. Tu jednak występowała między nimi głęboka różnica. Prawnik Roth szukał początków feodalizmu w jednorazowych aktach prawodawczych i w polityce wewnętrznej pewnych osób historycznych. Waitz, wyszkolony głównie na badaniach źródłowych, nie przynosił w tym wypadku takiej gotowej predyspozycji. Zarzucano mu wprawdzie brak właściwej syntezy i ograniczenie się do samego zestawienia materiału. Był on mimo to bliższy dostrzeżenia samorzutnych procesów w społeczeństwie, które powstają przez sumowanie się bardzo drobnych przyczyn. Takie też było w jego pojęciu źródło zmian następujących w społeczeństwie, które prowadziły do feodalizmu. (W kwestiach bardziej szczegółowych natomiast Waitz ustępował, jak zwłaszcza: charakteru nadawń królewskich w okresie merowińskim, tj. że ograniczenie rozporządzalności jeszcze nie było zasadą.) W takim ujęciu tkwiła zasadnicza słuszość, a brak w nim było tylko postawienia kropki nad i, tj. że wspólnym tłem przemian była słabość władzy państwowej w całym tym okresie. (Ta również nie powstała przez akt prawodawczy.) Z dyskusji tej, mimo jej teoretycznych braków, Smolka niewątpliwie niejedno wynosił dla swej przyszłej pracy naukowej nad historią społeczeństwa polskiego. Z bezpośrednich stwierdzeń z tymi dziejami związanych można wyłowić interesujące obserwacje, świadczące o trzeźwości sądu autora. Mówi więc (s. 10), że „w Polsce nieznaczny tylko daje się spostrzegać wpływ feodalizmu”, mając tutaj na myśli wyłącznie wpływ w ustroju państwowym. Dlatego też zauważył dalej, że „pomaga on jednak w pewnym względzie do zjednoczenia rozbitego państwa, gdyż udzielnici książęta mazowieccy uznają się wasalami polskiej korony”⁴⁰⁾. W tym wypadku chodzi więc o czynniki konstruktywne feodalizmu, których w późniejszym zwłaszcza średniowieczu z pewnością lekceważyć nie należy. (Samą kwestię stosunku dzielnic do odbudowanego królestwa w XIV w. zanalizował później szczegółowo O. Balzer⁴¹⁾. W ramach wciąż feodalizmu w relacjach państwowych wchodziła jeszcze w grę sprawa stosunku terytorium polskiego w pewnych okresach do zagranicy, a mianowicie do cesarstwa. Smolka zauważył, że władcy Polski, podobnie jak Węgier i Danii, wchodzili do

⁴⁰⁾ Początki etc., s. 10 nast.

⁴¹⁾ W szczególności w III t. Królestwa Polskiego 1295—1370 (Lwów 1920).

cesarstwa w stosunek lennej zależności „przelotnie”⁴²⁾. Z pewnością jest to ujęcie bardziej ostrożne aniżeli to, które u szeregu polskich historyków znajdujemy w ostatnim czasie, w odniesieniu zwłaszcza do X wieku.

Praca o feodalizmie, jakkolwiek świadczyła o szerszych zainteresowaniach historycznych autora, nie wchodziła jednak w skład jego ściślejszego planu na najbliższą przyszłość. Z planem tym natomiast łączyły się blisko dalsze badania i poszukiwania źródłowe. Obecnie zwracały się one już nie do samej krytyki, lecz przede wszystkim do heurystyki. Wynikiem zaś tych studiów była bardzo obszerna i szczegółowa praca o „Archiwach w W. X. Poznańskim i w Prusiech Wschodnich i Zachodnich”, wydana jako sprawozdanie z podróży, odbytej z polecenia komisji historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie w lecie 1874 r.⁴³⁾. Podróż ta łączyła się najpierw z zamiarem przeprowadzenia własnych studiów w archiwach wielkopolskich. Po przybyciu jednak do Poznania Smolka otrzymał od lwowskiego grona członków komisji historycznej Akademii zlecenie rozpoczęcia poszukiwań materiałów do trzeciego tomu „Monumenta Poloniae Historica”, a w dwa miesiące drugie zlecenie już wprost z komisji historycznej z Krakowa zbadania ważniejszych archiwów Poznańskiego, Pomorza (Prus Zachodnich) i Prus Wschodnich oraz zdania z tego sprawy przed komisją. Taka była geneza napisania wymienionej rozprawy. Obok dłuższego pobytu w Poznaniu Smolka poświęcił po cztery tygodnie na pobyt w Gnieźnie i Królewcu, trzy tygodnie w Gdańsku, niespełna tydzień w Toruniu i nadto jeszcze z Gniezna zrobił wycieczkę do Trzemeszna. Dla „Monumentów” przywiózł głównie odpisy i kolicje (porównanie odpisu) z Królewca, ale nie sam się zajął przyszłym wydaniem „Pomników”. Zajął się natomiast bliżej samym opisem archiwów, i to zgodnie z otrzymaną instrukcją ze względu na ich wartość z okresu do r. 1572. Z tego zadania Smolka wywiązał się z wielką dokładnością, jakkolwiek ze względu na rozmiar pracy nieuniknione były opuszczenia, a nawet omyłki wnioskowania (np. wniosek o istnieniu czwartego egzemplarza dokumentu Zbiluta dla klasztoru w Łeknie z r. 1153, jak to się okazało z dalszej dyskusji w spra-

⁴²⁾ Początki etc., s. 10.

⁴³⁾ „Rozprawy Wydz. Hist.-Filoz. A. U.”, IV, s. 170—464.

wie powyższego dokumentu) i zwłaszcza pewna nierównomierność w opisach, którą sam we wstępie do swej rozprawy wyznaje.

Prócz ograniczonego czasu na przeszkodzie stawały nieprzychylnie dla badaczy przepisy archiwów rządowych, zabraniające im używania repertoriów archiwalnych. W archiwach duchownych, które Smolka znalazł na ogół w godnym uznania porządku, z powodu braku osobnego urzędnika archiwalnego w tym czasie (i długo jeszcze później, aż do czasów po odzyskaniu niepodległości, gdy przeprowadzona została zasadnicza reforma archiwum archidiecezjalnego w Poznaniu) sam brak koniecznych na miejscu pomocy dawał się odczuwać. W związku z tym tak ważne źródło jak poznańskie „Liber beneficiorum” z r. 1510 lub kronikę klasztoru trzemeszeńskiego Smolka mógł oglądać dopiero na krótko przed wyjazdem, a więc nie mógł im poświęcić odpowiedniej uwagi. Nadzwyczajną przeszkodę stanowiły ustawy „majowe” Bismarcka, które rozpoczynały walkę kościelnopolityczną. W chwili gdy badacz polski zamierzał rozpocząć swe prace w archiwum konsystorskim w Poznaniu, nastąpiło jego opieczętowanie przez delegata rządowego. W opisie odegrały też pewną rolę względy okolicznościowe, wynikające z rozkładu prac i związanych z tym możliwości przedstawiciela Akademii. Mianowicie brak prac przygotowawczych zmuszał go do opisów bardziej sumarycznych, a więc subiektywna zasada wyboru odegrała tu również pewną rolę. W opisie występował nie archiwista, lecz historyk, o rozległych i wszechstronnych zainteresowaniach, tymi to właśnie zainteresowaniami w pewnej mierze się kierujący. Obszerny i wcale dokładny w wielu wypadkach opis mógł się niejednemu z badaczy bardzo przydać, bądź wprost w formie zawartych w opisie krótkich wiadomości, bądź też przez podanie wiadomości o samych aktach i umożliwienie w ten sposób dotarcia do nich.

Dla każdego, który ze źródłami średniowiecznymi miał do czynienia, jest zresztą rzeczą zrozumiałą, że tak cenne akta grodzkie i ziemskie (też konsystorskie w archiwach duchownych) ze względu na ich ogrom i charakter zapisów nie nadają się do opisu uwzględniającego ich zawartość. Problem to nie tylko dla opisu, ale i dla wyszukiwania naukowego przedstawiający specjalne trudności i dlatego wymagający bądź specjalnego poświęcenia się przez długi czas tego rodzaju badaniom, bądź postępowania opracowaniami lokalnymi, gdy

tyczasem przystępowanie do ksiąg z gotowym kwestionariuszem systematycznie przygotowanym, ażeby dla prac specjalnych zyskać materiał historyczny, z góry skazane jest na niepowodzenie i zawód ⁴⁴⁾. Załączenie samego spisu aktów, według ziem i urzędów, jest więc jedynym możliwym ułatwieniem dla przyszłych badaczy. W aktach tych bowiem można znaleźć wszystko i nic, zależnie od tego, w jaki sposób się do nich podejdzie. Istniejące w niektórych archiwach do ksiąg sądowych indeksy dotyczą tylko osób, a więc — poza badaniami genealogicznymi i heraldycznymi oraz w stosunkowo nielicznych wypadkach dotyczących się osób „historycznych”, dla których zachodzi potrzeba zdobycia pewnych danych osobistych — strony zawartości tego typu źródeł najmniej ważnej. Smolka zupełnie słusznie zauważył, że podanie ważniejszych rzeczy z 4.000 ksiąg aktów wielkopolskich, znajdujących się w archiwum poznańskim, mogłoby być w istocie zadaniem całego życia. Do ksiąg sądowych nigdy też Smolka w swym życiu się nie zabrał. Historykiem społeczeństwa bowiem był tylko dla wcześniejszego średniowiecza, a późniejszego z tego punktu widzenia nie objął, gdy tymczasem dla dziejów politycznych z innych zupełnie źródeł korzystał. W archiwum gdańskim bardzo ważne dla dziejów politycznych „Acta internuntiorum” i „Libri missivarum” przedstawiały swą liczbą dość dużą „siłę oporu”, ażeby w powyższym związku móc podać o nich dokładniejsze wiadomości. Z innych jeszcze względów, jak zajęcie się specjalnymi potrzebami wydawnictwa „Monumentów”, ogromne materiały archiwum królewieckiego zmuszały go do wyboru i pobieżności ⁴⁵⁾. Wiele stosunkowo uwagi w czasie swego pobytu poświęcał jako prawy mediewista dyplomom średniowiecznym, ale podania rejestrów dokumentów poznańskich, gnieźnieńskich i trze-meszeńskich unikał w związku z przygotowywanym już w Poznaniu wydaniem kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego I. Zakrzewskiego (tzw. inaczej kórnicki), z którym był zresztą w bliskim kontakcie. Nie wciągnął w Poznań w swój zakres zbiorów rękopiśmienn-

⁴⁴⁾ W danym wypadku nie chodzi więc o propagowanie metody badań regionalnych w przeciwstawieniu do zagadnieniowych, a więc nie o spór teoretyczny, lecz chodzi o „wyprawy” naprawdę odkrywcze w stosunki zwłaszcza społeczne ubiegłych epok, których wyników nikt z góry przewidzieć nie jest w stanie.

⁴⁵⁾ Zapowiedzianego sprawozdania z archiwum królewieckiego nie opublikował.

nych Tow. Przyjaciół Nauk i Biblioteki Raczyńskich oraz wówczas wyodrębnionego (jak i dziś — po wojnie) archiwum miejskiego. Opuścił zupełnie opis archiwum w Elblągu, które jednak odwiedził i o którym dał we wstępie parę informacji.

Opisał stosunkowo szczegółowo w Poznaniu archiwum kapitulne, podając bardzo interesujące wiadomości o jego dziejach, a także o niektórych poniesionych stratach. Podał liczbę zachowanych dokumentów oryginalnych (450) i opisał przechowywane w archiwum kopiarusze. Nie wahał się charakteryzować znaczenia dla historii poszczególnych grup dokumentów, a uwagi jego i dziś nie straciły swej aktualności. Dokumenty do dziejów wielkiej polityki są nieliczne, a część ich największa odnosi się do stosunków społecznych i ekonomicznych. W samo sedno trafia uwaga Smolki, że to znaczenie dokumentów odnosi się zwłaszcza do XIII i XIV w., zaś „zmniejsza się ich względna wartość od początku wieku XV, odkąd już w aktach grodzkich i ziemskich posiadamy nierównie cenniejsze materiały do historii wewnętrznych stosunków”⁴⁶⁾. Plan też wytycza dalszych badań nad dokumentem polskim, gdy zaleca studiowanie kancelarii książęcych każdej z osobna. W roli, jaką przypisujemy w rozwoju mediewistyki polskiej młodszemu od niego o lat jedenaście Stanisławowi Krzyżanowskiemu, pamiętamy powszechnie o wpływie wiedeńskiego Teodora Sickla, a nie pamiętamy o wpływie Smolki, późniejszego nauczyciela Krzyżanowskiego. W pracy Smolki o archiwach poznańskich znajduje się w dalszym ciągu cały zarys studium nad kancelarią wielkopolskiego Przemysła II, a nawet podkreślenie wszystkich cech tej kancelarii: jak panowanie w niej wielkiego porządku i stałych form dokumentacji. Z bystrych tych obserwacji wynikło nie tylko późniejsze studium Krzyżanowskiego⁴⁷⁾, formalnie wzorowe, ale w pomyśle dość mocno od Smolki zależne, z nimi wiązały się również późniejsze jeszcze znacznie wnikliwie studia O. Balzera nad całą tą epoką i rolą polityczną ostatniego reprezentanta wielkopolskiej linii Piastów⁴⁸⁾. Doprawdy

⁴⁶⁾ Archiwa w W. X. Poznańskim i w Prusiech Wschodnich i Zachodnich. Sprawozdanie z podróży odbytej z polecenia komisji historycznej w lecie 1874. „Rozprawy Wydz. Hist.-Filoz. A. U.” IV (1875), s. 192.

⁴⁷⁾ Dyplomy i kancelaria Przemysła II „Pamiętnik Wydz. Filol. i Hist.-Filoz. A. U.” VIII.

⁴⁸⁾ Królestwo Polskie 1295—1370, t. I (Lwów 1919). R. V. Królestwo polskie Przemysła II, s. 215—346.

można powiedzieć, że w świecie ducha i w świecie nauki nic nie ginie, lecz znajduje możliwość nowych wcieleń i realizacji. W porównaniu z tą epoką, stojącą już u progu nowej ery zjednoczonego Królestwa, bardzo skromnie z punktu widzenia ilości i formy dokumentów przedstawia się epoka bezpośrednio poprzedzająca w tejże Wielkopolsce. Wkraczamy tu jednak w inną dziedzinę, a mianowicie największego rozwoju dokumentu immunitetowego, i znowu Smolka nieomylnie dostrzegł najważniejszą cechę okresu ⁴⁹⁾. Niemniej udaną jest charakterystyka następnego okresu (1296 — 1309), a więc po katastrofie Przemysła II, którą cechuje niepewność i niestalość stosunków zauważona już przez współczesnego poznańskiego (kapitulnego) rocznikarza. W inną epokę wkraczamy za Kazimierza W., gdy najliczniejsze dokumenty dotyczą nowych osad na „prawie niemieckim”. Pod piórem „rasowego” historyka samo wyliczanie źródeł poszczególnych epok zamienia się w sugestywną historię ich cech syntetycznych. Pomiedzy analizą a syntezą nie ma stanowczo w tej nauce głębszych przeciwieństw, lecz związek najistotniejszy.

To samo dotyczy obserwacji o dokumentach duchownych. Na przełomie stuleci XIII i XIV zarysowuje się postać biskupa poznańskiego Andrzeja, znakomitego organizatora i administratora, z ujemnymi następstwami również stąd wynikającymi. Należy on wybitnie do epoki przejściowej. W późniejszych studiach K. Potkańskiego nad tym okresem niejedna z pewnością sugestia Smolki da się odnaleźć ⁵⁰⁾. W dokumentach papieskich z XIV w. dostrzega „nervus rerum” z pewnością nie tej tylko epoki w gromadzeniu świętopietrza i danin. Dla późniejszych gruntownych prac J. Ptaśnika mogło to być pierwszym wytknięciem celu ⁵¹⁾. W XV w. obraz nieco się zmienia. Wchodzi tu w grę stosunek do siebie stanów i ich dążeń, a także rola kościołów wobec

⁴⁹⁾ Z realizacją tego programu skłonni jesteśmy wiązać drugą ważną monografię St. Krzyżanowskiego pt. *Dyplomy Bolesława Wstydlwego dla katedry krakowskiej*. „Pamiętnik Wydz. Filol. i Hist.-Filoz. A. U.” VIII.

⁵⁰⁾ Mamy tu na myśli trzy rozprawy Karola Potkańskiego *Walka o Poznań 1307—12*, „Rozpr. Wydz. Hist.-Filoz. A. U.” XXXVIII, *Zajęcie Wielkopolski. R. 1313 i 1314*, „Rozpr.” etc. XLVII i *Jeszcze o zajęciu Wielkopolski*, „Sprawozdania z czynności i posiedzeń A. U.”, 1906 październik.

⁵¹⁾ Kolektorzy kamery apostolskiej („Rozpr. Wydz. Hist.-Filoz. A. U.”, t. I.) i zwłaszcza Denar św. Piotra obrońcą jedności politycznej i kościelnej w Polsce „Rozpr.” etc., LI.

zadań i ciężarów państwowych, tylko że w odmiennej już, poimmunitetowej koncepcji. Nie pomija też bez wzmianki dokumentów doby nowożytnej.

O aktach kapitulnych (protokołach posiedzeń), stanowiących największą część zasobów archiwalnych, zauważył, że są nieoszacowanym źródłem, gdyż dają „wierny i pełen życia obraz stosunków włościańskich w posiadłościach kapitulnych”, a ponieważ duża część tych aktów sięga początków w. XV, można więc w nich znaleźć „cenne wskazówki co do całego przebiegu tego ważnego procesu, jaki się na polu tych stosunków odbył w ostatnim stuleciu naszej średnio-wiecznej historii⁵²⁾. Dalej zauważył, że „sumienny historyk nie powinien przystępować do opracowania historii włościaństwa polskiego, dopóki nie wyekspluatuje należycie aktów wszystkich naszych kapitul”, w nich bowiem „znajdzie niezliczone mnóstwo szczegółów, jasne światło na te stosunki rzucających, a materiałem tym dadzą się wypełnić rażące luki w martwym szkielecie, zbudowanym z luźnych dokumentów i uchwał sejmowych”⁵³⁾. W większym bodaj jeszcze stopniu da się to samo powiedzieć o księgach sądowych ziemskich i grodzkich. Smolka należał do tych, którzy rozumieli doskonale „odkrywcze” zadania nauki historycznej. A nawet nie tylko odkrywcze, ale wręcz pionierskie, ażeby nie powiedzieć traperskie. Nie był więc z tych, którzy z „zielonego sukna” swego biurka w organizacji nauki wszystko, jak mniemają, zdolają przewidzieć i uporządkować. Przesadna dziś obawa przyczynków z tego ostatniego źródła zdaje się wypływać. Historia nie kończy się z pewnością na przyczynkach. Dobrze udany przyczynek może jednak otworzyć zupełnie nowe horyzonty w badaniach i poznawaniu przeszłości. Działalność Smolki nie jest zresztą w tym wypadku najbardziej typową. Z obcych można by tutaj wymienić Henryka Pirenne’a, którego kilkunastostronicowy przyczynek o „cellarium fisci” przewraca zupełnie nasze dotychczasowe wyobrażenia, niewątpliwie więc błędne, o gospodarczym charakterze całej epoki merowińskiej⁵⁴⁾. Z naszych uczonych najbardziej do tego typu zbliżył się Tad. Wojciechowski. Do aktów kapitulnych zauważył Smolka, że

⁵²⁾ Archiwa etc., s. 200 nast.

⁵³⁾ Archiwa etc., s. 201.

⁵⁴⁾ Le cellarium fisci. Une institution économique des temps mérovingiens, Bruxelles 1930.

o tak „olbrzymich materiałach nie podobna wymagać bliższych wiadomości od sprawozdawcy, któremu dozwolonym było w krótkim tylko czasie przejrzeć pobieżnie długi szereg tomów tych aktów kapitulnych”⁵⁵). Zauważmy jeszcze, że Smolce, jak to wynika z całej jego działalności, bardziej widocznie odpowiadała ta druga rola niż pierwsza. To znaczy, że wolał wgłębiać się w ograniczony czasowo i przestrzennie, ale do gruntu poznany materiał, aniżeli podawać o nim pierwsze chociażby informacje. W tym sensie był on i pozostał mediewistą. Księgi kapitulne doczekały się później, nie bez pobudki wychodzącej od Smolki, częściowej publikacji w wydawnictwie B. Ulanowskiego⁵⁶). Był to jednak tylko wybór, i to z konieczności według pewnych subiektywnych punktów widzenia dokonany. Większe uwzględnienie znalazły tam strony życia ówczesnego, o których dalej mówi Smolka, a więc odnoszące się do urzędów kościelnych i kościelno-politycznych (źródła do dziejów partykularnego prawa kościelnego), do historii kultury i obyczajów, do najmniej licznych ech wielkich wydarzeń politycznych, do udziału w sejmach i synodach prowincjonalnych, wreszcie do husytyzmu w XV (też reformacji w XVI) wieku, duchownych „subsidia charitativa” i nawet stosunku do soboru powszechnego w Bazylei, przez co wkraczamy znowu na teren politycznych a nie tylko kościelno-politycznych wydarzeń, też o wojnach z Zakonem Niemieckim. We wszystkich tych kierunkach Smolka wytycza jednocześnie plan pracy na przyszłość. Zaznaczony przecież na początku cel najważniejszy, dotyczący spraw społeczno-gospodarczych wsi i włościaństwa, ani w wydawnictwach, ani w opracowaniach nie został w większej mierze na podstawie ksiąg kapitulnych uwzględniony. Na końcu zamieszczał wiadomość o „Liber beneficiorum” z 1510 r.⁵⁷) (obecnie w przygotowaniu do publikacji) i o sumariu-

⁵⁵) Archiwa etc., s. 201.

⁵⁶) *Acta capitulorum nec non iudiciorum ecclesiasticorum selecta*, ed. B. Ulanowski Vol. I: *Acta capitulorum Gneznensis, Poznaniensis et Vladislaviensis* (1408—1530), Vol. II: *Acta dioecesis Gneznensis et Poznaniensis* (1403—1530), Vol. III, Pars I: *Acta iudiciorum ecclesiasticorum dioecesis Plocensis, Vladislaviensis et Gneznensis* (1422—1533). Pars II (indeksy). Nadto w Archiwum Komisji Prawniczej, t. VI (akta kolegiaty warszawskiej).

⁵⁷) Obecnie w przygotowaniu do publikacji przez ks. dra J. Nowackiego, dyrektora Archiwum Archidiecezjalnego w Poznaniu.

sach ks. Zymchanowskiego, kanonika poznańskiego, niezmiernie pracowitego i zasłużonego dla archiwum (w 9. dzies. lat XVIII w.).

W podobny sposób Smolka przechodził następnie zawartość archiwum kapituły gnieźnieńskiej. O najstarszych naszych dokumentach wypowiada w związku z tym sąd, który nie znalazł uznania u następców, a mianowicie, że wielka ilość dokumentów z najstarszej epoki, od X w., musiała zaginąć. Późniejsza nauka, w osobach Wojciecha Kętrzyńskiego (wiekiem znacznie starszego od Smolki) i jego syna Stanisława, stanęła na stanowisku wręcz odmiennym, a mianowicie zaprzeczając rozpowszechnieniu a nawet stosowaniu dokumentów przy czynnościach prawnych w okresie aż do początków jeszcze XIII w., gdy Stanisław Krzyżanowski i po części Władysław Semkowicz zajęli w tej sprawie stanowisko bardziej umiarkowane. Nawet jednak ostateczne wywoły St. Kętrzyńskiego w sprawie stanowiska prawnego dokumentu w Polsce w dawniejszym okresie budzą słuszne zastrzeżenia (por. recenzję Wł. Semkowicza)⁵⁸). W rezultacie będziemy więc musieli zająć stanowisko pośrednie między obiema najbardziej skrajnymi opiniami. O stratach dokumentów mamy zresztą źródłowe świadectwa od XIV w. Dłuższy ustęp poświęcony najdawniejszym dokumentom gnieźnieńskim ma charakter rozbioru dyplomatycznego i historycznego. Nie pomija też najdawniejszych kopiariuszów. Pomieszczenie uwag historycznych w sprawozdaniu archiwalnym przyczyniło się do tego, że nie były one dostatecznie w literaturze naukowej uwzględniane (przynajmniej w cytowaniu). Wielka ilość pomysłów naukowych, wprost poddawana przez Smolkę, przeszła do tej literatury prawie niepostrzeżenie.

Księgi kapitulne gnieźnieńskie zaczynają się już od r. 1408, a więc o dwadzieścia lat wcześniej od poznańskich. Wiele zagadnień kwestionariusza dotyczącego aktów. jest tych samych. I tym razem szerzej Smolka rozwodzi się o XVI w. W opisie „Liber beneficiorum” arcy-

⁵⁸) Por. Stan. Kętrzyński, Zarys nauki o dokumencie polskim wieków średnich, t. I Warszawa 1934, s. 129 nast. i Wład. Semkowicz, Uwagi o początkach dokumentu polskiego. „Kwart. Histor.” XLIX, 1935. Z dawniejszej literatury naukowej przede wszystkim Wojciech Kętrzyński, Studia nad dokumentami XII w. „Rozpr. Wydz. Hist.-Filoz. A. U.” XXVI 1891 i Stan. Krzyżanowski, Początki dyplomatyki polskiej. „Kwart. Histor.”, VI 1892.

biskupa Łaskiego (wydanym następnie przez ks. Łukowskiego)⁵⁹⁾ podnosi jego zalety jako źródła do dziejów historii gospodarczej, choć niestety źródło to nie zachowało się w pierwotnej nienaruszonej postaci. W Gnieźnie opisał nadto archiwum konsystorskie, posiadające protokoły sądów duchownych za długi okres czterech wieków (1404—1811). Ze względu na szeroką kompetencję sądów duchownych, zwłaszcza w XV w., zakres spraw, które tu znalazły odbicie, jest rozległy. Jak zwykle Smolka potrafił przytoczonymi przykładami nie tylko sucho wyliczyć zawartość aktów, ale ująć je w zagadnienia i zainteresować nimi bliżej innych historyków. Dotyczy to w szczególności ważnych dla dziejów gospodarczych wizytacji biskupich znajdujących się również w archiwum konsystorskim, a uwzględnianych w późniejszych wydawnictwach naukowych (B. Ulanowskiego)⁶⁰⁾. Dłuższy ustęp poświęcił także bibliotece gnieźnieńskiej kapituły⁶¹⁾. Wynajduje i oddaje „pod sąd historyków” ważne zapiski marginalne. Obszerniej omawia rękopis zawierający odpisy korespondencji dyplomatycznej z XVI—XVII wieku. W opisie archiwum w Trzemesznie ważne miejsce zajęły wiadomości o dokonanych w nowszych czasach zniszczeniach.

W opisie archiwum państwowego poznańskiego znajdują się informacje o stanowiących jego pierwszą podstawę księgach grodzkich i ziemskich wraz z wykazem tych aktów uzyskanym od archiwariusza Lekszyckiego. W związku z tym pisze, że „wydanie ważniejszych wyjątków z najstarszych aktów wielkopolskich przyczyniłoby się niewątpliwie bardzo do rozjaśnienia zawilej kwestii pierwotnego ustroju Polski”, a trudność, w związku z kosztami, widzi w tym, że akta poznańskiego archiwum z XV w. zajmują przeszło sto woluminów⁶²⁾. Sprawa przedstawia się więc jasno. Wczesnego średniowiecza (tj. tak zwanego pierwotnego okresu ustrojowego Polski) nie można rozvikłać bez poznania gruntowniejszego późnego średniowiecza. W „Mieszkum Starym” i w „Uwagach o pierwotnym ustroju społecznego

⁵⁹⁾ Jana Łaskiego... Liber beneficiorum archidiecezji gnieźnieńskiej. I—II. Gniezno 1880, 1881.

⁶⁰⁾ Visitationes bonorum archiepiscopatus necnon capituli Gnesnensis s. XVI. P. A. U. 1920.

⁶¹⁾ Dziś mamy katalog rękopisów biblioteki kapitulnej ks. Trzeńskiego z r. 1910 i tegoż katalog rękopisów seminarium z 1904 i 1909.

⁶²⁾ Dotychczas wydano tylko bardzo nieznaczną część zapisek sądowych wielkopolskich (Lekszycki, Piekosiński i in.).

nym Polski Piastowskiej” Smolka czerpać będzie z materiału dokumentowego z XIII w., który miał możliwość poznać dokładniej. Znajomość końca średniowiecza uważa również za metodycznie wskazaną, ale z braku odpowiednich studiów w tym kierunku uważa to tylko za postulat naukowy na przyszłość, którego spełnieniem będzie udostępnienie materiału zawartego w księgach sądowych drogą odpowiednich wydawnictw, o ile te okażą się możliwe do spełnienia. Sprawa publikowania „wyjątków” z ksiąg sądowych ma już późniejszą swą literaturę naukową⁶³). Nie jest wcale rzeczą pewną, czy wyjątki te mogą w całości zastąpić znajomość ogólną tych ksiąg.

Na terenie osobiście lepiej sobie znanym znalazł się przy opisie obfitego zbioru (ok. ośmuset) dokumentów archiwum poznańskiego. Znaczna większość pochodziła z dawnych klasztorów, ale „rzecz jasna, pisał St. Smolka, że zbiór ten nie zawiera kompletu dokumentów wszystkich dawnych klasztorów dzisiejszego W. Księstwa”⁶⁴). Zestawił daty statystyczne tych dokumentów według ich przynależności. Statystyka ta wykazuje tak jaskrawe nierówności, że to się da wytłumaczyć jedynie ogromnymi stratami poniesionymi przez poszczególne zbiory. Wchodzi też w bliższą analizę dokumentów, zwłaszcza najstarszych, w której niejedno znajdujemy cenne stwierdzenie.

Krótko wspomnijmy o dalszych opisanych zbiorach. W Toruniu, w archiwum pod zarządem magistratu toruńskiego, znalazły się dwa odrębne archiwa, a mianowicie archiwum miejskie toruńskie i archiwum ziem pruskich. Wśród dokumentów na czoło wysuwają się, najlepiej strzeżone, dokumenty wielkich mistrzów Zakonu a następnie królów polskich. W dalszym ciągu Smolka zwraca szczególną uwagę na materiały do dziejów politycznych XV w. Nie uchodzą jednak również jego uwagi dane dotyczące np. narodowości mieszczan toruńskich⁶⁵). Dość szczegółowo mówi także o materiałach do dziejów XVI w. Z ocalałych materiałów archiwum ziem pruskich większość

⁶³) Por. Wład. Semkowicz, Fr. Piekosiński jako wydawca źródeł „Kwart. Hist.” XXII 1908, s. 210 nast., O. Balzer w „Ateneum” 1886, III, s. 177 nast., Ks. Liske w „Kwart. Hist.” V 1891, s. 495 nast., M. Handelsman, O metodzie publikowania najdawniejszych ksiąg sądowych polskich „Przegląd Histor.” XX 1916, s. 317 nast.

⁶⁴) Archiwa etc., s. 342. Sprawę strat dokumentów w różnych okresach czasu porusza Smolka i w innych miejscach tej pracy, jak s. 184, 187, 233, 241 etc.

⁶⁵) Archiwa etc., s. 362.

dotyczy „najpamiętniejszego okresu w dziejach ziem pruskich... czasów wojny trzynastoletniej”. W wielkim archiwum gdańskim opisał kolejno najważniejsze działy korespondencji głównie politycznej rady miejskiej (*Libri missivarum*), relacji posłów (*Acta internuntiorum*) i recesy rozmaitych zjazdów. Szczególną też wagę poświęcił materiałom do dziejów wojny trzynastoletniej, których omówienie jest właściwie małą monografią torującą również drogę przyszłym badaczom⁶⁶). Dalej przechodzi do czasów Jana Olbrachta i Aleksandra, w których na czoło wysuwa się sprawa stosunku miast pruskich do cesarstwa i licznych zadrażnień z tym związanych, oraz do ostatniej wojny z Zakonem w l. 1520 i 1521, i kończy zestawieniem politycznej korespondencji archiwum gdańskiego z l. 1525 i 1526, wreszcie wzmianką o bibliotece miasta Gdańska. W pracy tej naukowe stanowisko historyka Smolki znalazło niejednokrotnie tak indywidualny wyraz, że w charakterystyce całej jego działalności zasługiwało na baczna uwagę⁶⁷).

W tym samym roku, 1875, ukazało się drukiem obszerne wydawnictwo źródłowe podjęte wspólnie przez W. Kętrzyńskiego i St. Smolkę: „Kodeks dyplomatyczny klasztoru tynieckiego”⁶⁸). Część pierwszą, obejmującą dokumenty z lat 1105 do 1399, wydał W. Kętrzyński, a część drugą, zawierającą dokumenty z lat 1400 do 1506 — St. Smolka. Przypadło więc Smolce tylko ostatnie stulecie wieków średnich, ale mimo to liczba dokumentów była w tej części większa o 43, a objętość nawet dwukrotnie większa (całość tekstu s. 561, nie licząc wstępów, spisów dokumentów i indeksów). Warunki wydawnictwa były, w zestawieniu z innymi podobnymi wydawnictwami, dość niezwykle, a to z powodu że całe bardzo znaczne archiwum dokumentów oryginalnych, wynoszące przeszło 4.000 dyplomów za cały okres istnienia klasztoru do początków XIX w., skierowane przez władze austriackie do Lwowa, spłonęło tam wraz z biblioteką uniwersytecką w dniu 2 listopada 1848 r. w czasie bombardowania miasta przez ar-

⁶⁶) *Archiwa etc.*, s. 384—436.

⁶⁷) W związku z pracą w archiwum królewieckim pozostaje jego artykuł niemiecki pt. *Über eine bisher unbekannte Handschrift d. Chronicon Polon-Silesiacum* (w „*Zeitschrift d. Vereins f. Geschichte u. Altertum Schlesiens*” XII. 1875, s. 454 nast.). Smolka odkrył w Królewcu nieznanym przedtem trzeci rękopis kroniki.

⁶⁸) Lwów 1875.

tylerię rządową. Z odpisów Aleksandra Batowskiego i dawnych kopiariuszów trzeba było więc odtwarzać teksty pierwotne, przy czym pewna ilość dokumentów oryginalnych odnalazła się w innych zbiorach. Te dotyczyły jednak głównie części pierwszej dyplomatariusza, tak że Smolka w swej części na 299 dokumentów miał tylko dwa zachowane w oryginałach, gdy wszystkie inne pochodziły z odpisów rozproszonych, bądź z kopiariuszy. Najważniejszym zadaniem była rekonstrukcja wadliwych przeważnie tekstów. W tym dwie rzeczy dokumentów znanych było tylko z jednego tekstu, a to niewątpliwie utrudniało prawidłowe odtworzenie tekstu pierwotnego. W pewnych wypadkach posługiwano się repertorium spalonych dokumentów zresztą bardzo niedokładnym. Metodę wydawniczą opracowali obaj wydawcy za wspólnym porozumieniem. W dziale krytyki trudniejsze zadanie przypadło w udziale W. Kętrzyńskiemu, gdyż starszy materiał dokumentowy nasuwa w tym wypadku znacznie więcej wątpliwości, a i większa jego waga i znaczenie przyczyniają się również do tego. Być może, że wyjątkowe warunki wydawnicze, przy braku w większości wypadków oryginalnych dokumentów, sprawiły, że niemal w połowie wypadków W. Kętrzyński odrzucił lub podejrzewał autentyczność dokumentów, narażając się w rezultacie na zarzut hiperkrytyki. Uniknął tego zarzutu St. Smolka, który wśród dokumentów XV w. nie znalazł tak licznych okazji do podejrzeń. W rezultacie jako fałszywe uznał dwa dokumenty a jako podejrzane trzy tylko. Materiał przez niego ogłoszony był prawie w całości, z wyjątkiem kilkunastu dokumentów przedrukowanych z innych wydawnictw, dotąd nie publikowany. Smolka i tym razem przyznaje we wstępie do swej części wydawnictwa, że znaczenie dokumentów z w. XV, wobec istnienia innych obfitych materiałów, jest mniejsze w zestawieniu z poprzednimi stuleciami. Wśród spraw zasługujących na szczególną uwagę wymienia zatargi o sądy duchowne, wywołujące nieraz w tej epoce dużo rozgoryczenia, w szczególności gdy chodziło o sprawy kierowane do kurii papieskiej i sądzone tam nawet zaocznie przez sędziów nie znających stosunków polskich. Dokumentów królewskich w tej części zbioru znajdowało się niewiele, i to wyłącznie z drugiej połowy stulecia (9 Kazimierza Jagiellończyka i 3 Aleksandra).

RELIGIA BALZACA

Stulecie śmierci Balzaca wyłoniło tak ogromną masę rozpraw, studiów, monografii, artykułów, poruszających najrozmaitsze zagadnienia i aspekty życia i twórczości autora „Komedii ludzkiej”, że nie mogło wśród nich nie zabraknąć prac poświęconych problemowi religijnemu u Balzaca. Do najciekawszych z tego zakresu należy studium Philippe'a Bertaulta pt. „La Religion de Balzac”, umieszczone w miesięczniku paryskim „Etudes” (wrzesień 1950).

Na początku autor stwierdza, że myśl religijna Balzaca wywołała u krytyków sądy sprzeczne, nie oparte na tekstach. Pisma filozoficzne, listy poufne, dzieła powieściowe tworzą materiał ogromny i trudny do interpretacji. Przy pierwszej lekturze przekonanie osobiste i zasady wyznaczone przez autora zdają się być w niezgodzie z sobą. Głębsza jednak analiza pozwala odkryć tam pewną wewnętrzną logikę, której posłuszny był tak zdumiewająco sceptyczny umysł pisarza.

Krytyk z „Etudes” metodę swoją określa zarazem jako ścisłą i prostą: polega ona na badaniu tekstów w porządku chronologicznym w celu ujawnienia bieżącego kształtowania się myśli religijnej Balzaca. Główne etapy tej ewolucji przedstawiają się następująco: okres gwałtownej wrogości wobec dogmatu chrześcijańskiego; nagle zmiana frontu w r. 1830, która zakończyła się w r. 1832 formalnym przyjęciem katolicyzmu polityczno-społecznego; długa dziesięcioletnia debata, w czasie której autor „Komedii ludzkiej” oscylował między dwoma wierzeniami starając się pogodzić wiarę katolicką z religią iluministyczną i teozoficzną, wywierającą nań wciąż wielki urok, wreszcie pojawienie się wraz z ostatnią powieścią u Balzaca silniejszego wyczucia tajemnicy łaski uświęcającej, miłości braterskiej i wiary, usprawiedliwiającej nadzieję zbawienia wiecznego.

Jako pisarz debiutujący, Balzac wyznawał rodzaj metafizyki pozytywistycznej i naukowego determinizmu zapożyczonego od fizjologów takich, jak Cabanis i Bichet, i od racjonalistów szkół, jak Dupuis i Destutt de Tracy. Według niego dusza nie różni się niczym od mózgu, materia stanowi zasadę wieczystą, świat jest jednością: wszystkie istoty od najniższych do najwyższych uczestniczą w ruchu witalnym, który je ma doprowadzić poprzez okresy ewolucyjne do ich stanu ostatecznego, będącego prawdopodobnie ich stanem pierwotnym, poprzedzającym stworzenie, albo może nawet nicością.

Zgodnie z tym jednostka może się czuć uwolniona od wszelkich powinności, narzuconych jej przez układ społeczny a sprzecznych z dążeniami natury, która jest dobra, ku szczęściu. W swoich pierwszych utworach: „Notes philosophiques” i „Sterne ou les Erreurs philosophiques” wyraża etykę filozofów osiemnastowiecznych. Odnaleźć tam można argumenty, jakimi posługiwali się Monteskiusz, Bayle, Wolter, Holbach, Diderot, Pigault-Lebrun. Ślady tej pożyczki znajdują się również na stronach „Komedii ludzkiej”.

Myśl religijna debiutanta posiada potrójny charakter: destruktywny (w stosunku do katolicyzmu), konstruktywny (system religijny oparty na wiedzy i rozumie) i realistyczny (całkowite pomijanie stanowiska ducha).

A jednak Balzac już bardzo wcześnie nękany był problemem metafizycznym i tajemnicą chrześcijaństwa. Widać to z jego utworu autobiograficznego „*Histoire intellectuelle de Louis Lambert*” (1832—1833) oraz z jego „*Traktatu o modlitwie*”, pisanego w r. 1824. Spragniony poezji, harmonii, dobroci Balzac czuje w swojej duszy „niewypowiedzianą obecność”. Pisze o istotach wyjątkowych, które „nigdy nie odczuwają potrzeby dowodów wiary w Boga”, ponieważ „same są od dawna zawładnięte tą wielką ideą”. Bóg żyje w ich uczuciu, jakby był samym uczuciem. „Bóg nie schodzi do nas, to my musimy wznieść się do Niego”.

Nie można się w tym dopatrzeć sprzeczności. Balzac uważa, że swoje pojęcie Boga uwolnił od świecidełek, w jakie je wyposażyły wszelkie teogonie i teologie, i przywrócił mu prawdziwość i czystość. Kult dla Russa przywiódł Balzaca do mistycznego naturyzmu. Jego pierwsze powieści „*Wikary z Ardenne*”, „*Ostatnia wróżka*”, „*Jane La Pâle*” zawierają bądź tyrady pełne elokwencji, bądź też opisy egzotyczne na modłę Bernardin de Saint-Pierre. Naturę więc nazywa „*Księgą Wieczną*”, „*świątynią Najwyższej Istoty*”, „*Góry i lasy uczyniły mnie religijnym, mistycznym*” — wyznaje. Była to religijność romantyczna, zbyt płynna, by mogła zadowolić umysł o pretensjach naukowych. Dlatego też Balzac będzie ciągle poszukiwał elementów dla swej religii osobistej, opartej na zasadach, wyprowadzonych z jego doświadczeń psychologicznych i na faktach, kontrolowanych przez jego badania nad historią pozytywną religii.

Autorytetem dla niego w tym zakresie był Swedenborg, wieszcz szwedzki, „*Budda północy*”, bożyszcze ówczesnych teozofów.

Dużo szacunku też żywił dla najzarliwszego jego ucznia, Claude de Saint-Martin, do wybitnego illuministy, barona d'Eckartshausena. Balzac zarzuca Kościołowi katolickiemu i rzymskiemu Kościołowi „*zewnętrznemu*” to, że odstąpił od ducha swego założyciela. Jego obrzędy ciągle komplikowane nowymi obciążeniami, jego mieszanie się do polityki, jego przepisy administracyjne przeszkadzają duszom w dojściu do Boga i zwracają je ku zajęciom ziemskim. Instytucja ta jest tylko przejściową formą uczucia religijnego i ustąpi innym formom.

Od początku świata była tylko jedna religia, wyjaśnia porte-parole Balzaca, Ludwik Lambert. Przyjmowała ona rozmaite obrządki celem dostosowania się do środowisk etnicznych, do okoliczności historycznych i do geniuszu każdego ze swych założycieli, lecz te boskie wskazania „posiadały zawsze te same jasne zasady i wyznaczyły sobie ten sam cel”. Na jednej płaszczyźnie doktrynalnej Balzac stawia Zaratustrę, Mojżesza, Budę, Konfucjusza, Jezusa Chrystusa i Swedenborga oraz Mahometa. Uważa jednak, że religia Swedenborga jest jedyną, którą przyjąć może wyższy umysł. To jest także religia Balzaca.

Głosił on, że chrześcijaństwo trzeba na powrót sprowadzić do jego źródeł, odbudować Kościół pierwotny, Janowy Kościół wewnętrzny, który jest czystą miłością. Balzac występuje jako reformator, a jego posłannictwo jest owocem związku okultyzmu i scjentyzmu. Nie on jeden brał na siebie rolę wieszca.

W czasie około roku 1830, gdy zaroilo się od dzieł ezoteryzmu, pełnych apokaliptycznych, dziwacznych, fantastycznych wizyj, od rewelacji illuministów oraz od różnych sekt teozoficznych, swedenborgiańskich, martinistycznych, mesmerowskich, Balzac pozostawał w stosunkach z licznymi znanymi illuministami i mag-netyzermi. Mistycyzm jego opierał się na danych pseudonaukowych i psycho-fizjologicznych a jego ezoteryzm stał się należycie obserwowanym realizmem. Cuda nie istnieją, akty nazywane nadprzyrodzonymi wyjaśnia koncentracja woli wytwarzającej fluid magnetyczny. Z substancji tej powstają myśli, istoty fizyczne, rodzaje tajemniczych atomów, wysyłanych przez każdego człowieka, i być może, przez każdy przedmiot materialny. Bóg jest powszechną materią, do której dąży wszelkie stworzenie poprzez kolejne przeobrażenie i oczyszczenie. „Wierzyć” to znaczy czuć. „Ażeby wierzyć w Boga, trzeba czuć Boga” — naucza Séraphita.

Ten nadnaturalizm niszczy dogmaty chrześcijańskie, pojęcia łaski, wolnej woli, odpowiedzialności moralnej, grzechu. Do doskonałości duchowej, za której wzór pokazuje nam Balzac Ludwika Lamberta i Séraphite, dochodzi się poprzez modlitwę medytacyjną, stan ekstatyczny i wizjonerski, wytworzony przez intuicję. Jest to droga wiodąca do nieba. Jest to zarazem religia instynktu: trzeba powierzyć się ruchowi pierwiastków, które siła przyciągania wiedzie do Wieczności.

Punkt wyjścia i metę tej filozofii teogonicznej oświetlają dwa oświadczenia. Jedno, datowane może w r. 1824, odnosi się myślą do początku „Traktatu o modlitwie”.

„Nie należy mieszać chrystianizmu z katolicyzmem. Chrystianizm, o ile wyraża on słowa Jezusa, należy do Boga, od którego był posłany; katolicyzm należy do człowieka. Być chrześcijaninem — znaczy słuchać słów Chrystusa; być katolikiem zaś znaczy — być sługą Kościoła. Katolicyzm jest przemijający, chrystianizm zaś wieczny, ponieważ opiera się na prawdziwym słowie”.

Drugi tekst stanowi ustęp z listu do pani Hańskiej z 21 czerwca 1840 r.

„Pani wie, jaką jest moja religia. Ja nie jestem wcale ortodoksem i nie wierzę w Kościół rzymski. Uważam, że jeśli istnieje jakiś plan godny siebie, to są nim transformacje ludzkie, każące nam iść ku nieznanym sferom. Jest prawo wyższych istot. Swedenborgizm, który jest tylko powtórzeniem w sensie chrześcijańskim dawnych idei, jest moją religią, wzmocnioną przeze mnie niezrozumiałością Boga”.

Tak się przedstawia religia Balzaca. Zaspokajała ona jego potrzebę bezpośredniego kontaktu z zaświatem, a jednocześnie odrzucając związek z Kościołem odpowiadała jego niezależności intelektualnej, a odrzucając ścisłą karność odpowiadała jego zmysłowej naturze.

Lecz w roku 1830, gdy pojawiają się „Sceny z życia prywatnego”, dokonuje się u Balzaca zmiana światopoglądu. W tych moralizujących nowelach autor dowodził, że człowiek nie słuchający praw społecznych, idący za popędem serca zostaje rychło lub późno ukarany. Do pani de Castries pisze ofiarując jej ten utwór: „Mam szacunek dla wierzeń, w które nie wierzę” (15 października 1831). W tym samym ponadto roku w opowieści fantastycznej, zatytułowanej „Kościół”,

„twierdza z naciskiem, że jest ona „najpiękniejszą, najrozleglejszą, najprawdziwszą, najpłodniejszą ze wszystkich idei ludzkich”.

Okazało się, że Balzac, który jeszcze w r. 1829 jako liberał bronił instytucji republikańskich, w początkach roku 1832 wstąpił do partii neo-legitymistycznej, która szła w parze z katolicyzmem. Jego lektury i rozważania ujawniły mu trwałość jednego faktu historycznego: dobroczynności cywilizacyjnej Kościoła. Instytucje polityczne przeobrażały się w miarę, jak je przenikały dwie fundamentalne idee Ewangelii: równość ludzi wobec Boga i ich braterskość w Chrystusie.

Pod wpływem Lamennais'go, Montalemberta, saint-simonistów zaczął się poświęcać literaturze budującej: „Lilia w dolinie” (1835). „Problem wiejski” (1839) „Chłopi” (1814). „Katolicyzm jest całkowicie systemem tłumienia sprzecznych dążeń człowieka” — pisał w „Lekarzu wiejskim”. Z tej definicji wypłynęła jego filozofia polityczno-społeczna. Religia katolicka swą nieustanną walką z następstwami grzechu pierworodnego zmierza do ustalenia porządku moralnego i boskiego, jest siłą jednoczącą, kieruje bogatych i możnych ku miłości bliźniego a wydziedziczonych i pokornych ku rezygnacji i głosi posłuszeństwo wobec praw, jest „instrumentem rządu”, „koniecznością polityczną”.

Z tego wynika, że Balzac traktuje Kościół pozytywistycznie. W dogmaty jego nie wierzy, ale używa ich konsekwencji praktycznych dla wzmocnienia poprzez autorytet duchowy Kościoła władzy świeckiej nad masą poddanych. Z punktu widzenia politycznego wyznaje religię katolicką i stoję po stronie Bossueta i Bonalda i nigdy tego stanowiska nie opuszczę. Wobec Boga wyznaje religię świętego Jana Kościoła mistycznego” — wyznaje Balzac w liście do pani Hniskiej 12 lipca 1847 r. Opisując w „Komedii ludzkiej”, jak lekarz kliniczny, zło i dobro, występki i cnoty ludzkości, nie widzi innego lekarstwa na jej błędy i zbrodnie jak te, które zaleca Kościół katolicki w swym kodeksie moralnym. Jednocześnie Balzac daje tam realistyczny i historyczny obraz religii katolickiej, przeżywanej lub zwalczanej na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, lecz jest to tylko obraz zewnętrzny. Balzac opisuje sytuacje i gesty, zło restytuje siły napędowe, myli się co do intencji, zna listę przepisów i przykazań boskich, nie spostrzega ich właściwego rezonansu w sumieniu chrześcijańskim, łaska jest dlań tylko słowem a nie rzeczywistością, odczuta w wewnętrznych wyrzeczeniach, których wymaga, w siłę, jaką szafuje.

Ogólnie mówiąc Balzac umie doskonale przedstawić zarówno grzech i występki jak i świętość niewinności i ośnienia ekstazy, lecz jego doświadczenie wewnętrzne pozbawione wiary chrześcijańskiej jest zbyt ubogie, aby mu pozwoliło oddać dialog duszy ze Stwórcą. Balzac zawodzi, gdy miejsce malarza zajmował w nim psycholog świata religijnego. „Komedii ludzkiej” brak wymiaru tajemnicy.

Począwszy od roku 1842 myśl Balzaca zbliża się ściśle do nauki katolickiej. Dowodzi tego zarówno jego „Katechizm społeczny”, zbiór uwag filozoficznych, jak i powieść pt. „L'Envers de l'histoire contemporaine”, oddająca w sposób wyjątkowy prawdziwą płodność dogmatów katolickich i szlachetną miłość bliźniego.

W dniu 14 marca 1850 r. Balzac, wypowiadawszy się, wziął ślub kościelny na Ukrainie z panią Hańską i przyjął wraz z nią Komunię świętą. W parę miesięcy później zachorował śmiertelnie. Wtedy odbywał kilkakrotnie rozmowy z proboszczem swej parafii, a dnia 18 sierpnia 1850 r. przyjął przytomnie ostatnie namaszczenie. Na frontonie swej „Komedii ludzkiej” umieścił uroczyste oświadczenie, że pisze na chwałę dwóch prawd wiecznych, z których jako pierwszą wymienił religię. Lecz czyż to znaczy, że Balzac był pisarzem katolickim?

Od roku 1841 „omnes fabulae amatoriae” znalazły się na indeksie, który wymienia osobno „Fizjologię małżeństwa”, „Lilię w dolinie” i „Ksiązkę mistyczną”. Widzimy z tego, że władze kościelne wcześniej dostrzegły elementy niebezpiecznych, heretyckich w jego interpretacji i rozwinięciu tego, co on nazywał „religią”. A jak należy na tę sprawę patrzeć w świetle naszej wiedzy? Odpowiedź znajdziemy w następującej konkluzji autora wymienionego artykułu.

„Balzac liczył na potomność, że pojmie ona, jak „głęboko katolickie i monarchiczne” jest jego dzieło. Człowiek nowoczesny, przeniknięty sprzecznociami Balzaca wymachuje katolicyzmem jak pióropuszem muszkietera. Swego Balzac nosi w swym kapeluszu, lecz nie w swoim sercu. Jego deklaracje powiedziały mu, jakie były jego intencje artystyczne. Drapuje się w swój kostium. Gra swą rolę z przejęciem. „Im mniej posiadam wiary w katolicyzm, tym więcej posiadam siły, aby go bronić. Odrzućcie prawdę Creda, jeśli chcecie, lecz spełniajcie przepisy obrządku i moralności katolickiej! „Wówczas przyswaja sobie wzniosłość, pisze książki budujące, tak budujące, że przenoszą nas w sferę bardzo wielkiej świętości. Rozwijają tam tak ciepłe uczucie, że szczerokość tej parady swoje piękno. Miała też swą zasługę”. (A. R.)

NADZIEJA PRZECIW ROZPACZY

Temat egzystencjalizmu nie przestaje poruszać umysłów, nie znika z łamów czasopism francuskich. Oto w tym samym numerze „Etudes” (septembre 1950) znajdujemy jeszcze jedną próbę przewyciężenia egzystencjalizmu, i to typy Sartre'owskiego, ze stanowiska katolickiego. Stanowi ją artykuł Gabriela Le Maitre pt. „Wybrać nadzieję” (Choisir l'espoir). Zasluguje on z tego względu na uwagę, że przewyciężenie to dokonuje się nie od strony spekulatywnej, lecz od strony, w której zawiera się sedno egzystencjalizmu: od strony przeżyć i doświadczeń ludzkich, co sprawia, iż zamierzony cel osiąga się w sposób wyjątkowo skuteczny.

Metoda ta jest tym skuteczniejsza, że egzystencjalizm nie tyle jest doktryną, koncepcją metafizyczną, ile postawą, której się doświadcza. Centralne tematy filozofii Sartre'a: absurdalność, przypadkowość, rozpacz, nuda, samotność istnieją jako możliwości, które może sobie wybrać człowiek. Jej budowlą spoczywa na pewnej liczbie doświadczeń, które istotnie zachodzą w życiu wielu ludzi, lecz które przy wyłączeniu innych, równie realnych doświadczeń służą do wysnuwania jednostronnych wniosków filozoficznych.

Ażeby więc zachwiać słusznością tych wniosków, wystarczyłoby może postawić obok nie odrzucanych doświadczeń Sartre'a inne doświadczenia ludzkości, równie silne i prawdziwe, a następnie uzyskać takie poglądy metafizyczne, które by umiały zdać sprawę jednocześnie z całej gamy efektywnie przeżytych doświadczeń. Możliwe, iż rozpacz, nuda, poczucie bezcelowości i absurdalności życia i ciężar samotności bywają w pewnych chwilach przeżyciami i dusz głębokich, ale ciągle lub bardzo często w sposób jasny i intensywny występują one tylko u rzadkich jednostek. Co jednak jest najważniejsze to konieczność potwierdzenia równej rzeczywistości doświadczeń przeciwnych; choć i one odnoszą się w swej najpełniejszej formie jedynie do nielicznych jednostek: nadzieja, chęć smaku życia, olśniewająca pewność, iż dobrze jest istnieć, radość z osoby ukochanej, z którą się pozostaje w łączności. Wszystko to stanowi również część spuścizny doświadczeń wewnętrznych, z których powinniśmy zdawać sobie sprawę z punktu widzenia poważnej metafizyki egzystencjalnej.

Można jednak iść jeszcze dalej. Można się zwrócić do tych ludzi, którzy świadomie ze swego życia uczynili „ciągłe przebywanie w obliczu tajemnicy bytu” i przekazali nam historię swej przygody. Możemy dzięki nim zaznajomić się z pewnymi przeżyciami bytu i nicości, które posiadają największą wartość w oczach konsekwentnego egzystencjalizmu. Są to ci, którzy się wybili w „uprawie” sumienia religijnego czy „życia wewnętrznego”, doprowadzonego aż do świętości. Zanim więc chciałoby się próbować wysnucia wniosków z naszych doświadczeń nudy i rozpacz, należałoby sięgnąć do sprawozdań doświadczeń egzystencjalnych a tymi sprawozdaniami są pisma pewnych wielkich świętych.

„Nie znajdziemy w nich wprawdzie rozpacz lub nico ci, lecz nie znajdziemy też błogiej stagnacji w naiwnym zadowoleniu i płochego optymizmu ignorującego zło. Znajdziemy za to zdumiewająco bogatą i złożoną syntezę, w której „zgola na byt” wypływa z utajonej, potężnej pracy całej świadomości. Wszyscy święci afirmują niebo jako doświadczenie, które przyjdzie, a nawet jako doświadczenie już istniejące w nich w pewnej mierze, lecz poprzez przewidziane i ciągle zagrożające, tymczasem przewyciężone piekło. Oni przez ciągłą walkę z pokusą rozpacz, bezsensu i buntu przeciwko bytowi odkryli tę nową ziemię i te nowe nieba; zgodnym doświadczeniem wszystkich świętych jest wewnętrzne kosztowanie słodyczy Boga przez przewyciężenie nawet wstrętu do życia i znużenia nim. Efektywne doświadczenie zgody na pokusę, z mieszaniną tajnych rozkoszy i wynikającego z nich strachu, w niczym nie odrzuca również efektywnego doświadczenia uśmierzonej burzy i przewyciężonej pokusy. Nad sartryzm przkładamy wizję świata, która daje miejsce Lucyferowi, Kainowi i Judaszowi, lecz która daje również miejsce Boozowi, św. Janowi i św. Wincentemu z Paulo”.

W dalszym ciągu autor wymienia pisma św. Grzegorza Wielkiego św. Jana od Krzyża, św. Franciszka Salezego lub św. Teresy z Lisieux po to, by ukazać niesłuszność postaw, w jakie nieprzygotowanego czytelnika wprowadzają powieści i dramaty Sartre'owskie. Wprawdzie wielu ludzi dzisiejszych realnie przeświadcza widzieć sens swego życia, widząc go za to w utworach Sartre'a, ale dzieje się tak dlatego, ponieważ nie posiadają własnego życia wewnętrznego a udziałem

ich stały się ciężkie, okrutne doświadczenia; z drugiej strony, z tego niepokoju wyrasta poczucie nieuleczalnego niezadowolenia, jakie rodzi w nich egzystencja wstrętna i pozbawiona widoków na lepszą przyszłość. To niezadowolenie z warunków życiowych, to cierpienie z powodu niewoli życia stanowi wieczny temat chrześcijańskiej medytacji i niezbędny etap drogi duchowej bynajmniej nie ślaskiej. Święci samym swym istnieniem zabraniają nam szukać odpoczynku w niezadowoleniu i nieszczęściu. Dlaczego widzieć w świecie totalny nonsens a nie tajemnicę, której sens nam się wymyka? Każdy człowiek jest tajemniczym ośrodkiem ustawicznej odnowy nie przez wyrzeczenie się tego, czym on jest itd., lecz przez zryw całej jego istoty do pójścia dalej. Każdy człowiek sam swój los rozstrzyga. W tym niezmiernie trudnym zadaniu pomaga Łaska.

Sartre'owski klimat grzechu nieodpuszczonego przezwytyczyć zdoła jedynie egzystencjalne doświadczenie życia autentycznie chrześcijańskiego, możliwego do uchwycenia i spostrzeżenia dla innych, a przez to reaktualizującego w świecie w sposób konkretny obecność Chrystusa: to znaczy Miłość, która stworzyła świat z Miłości i dla Miłości. (A. R.)

PRZESTĘPCZOŚĆ MŁODZIEŻY—CHOROBA CYWILIZACJI WSPÓŁCZESNEJ

„Przestępczość młodzieży jest jednym ze zjawisk, które zdradzają w sposób najwyraźniejszy fakt utraty równowagi przez naszą cywilizację. Jest to jednocześnie jedno z najmniej znanych schorzeń, bądź dlatego, że specjaliści ukrywają je poza zasłoną swych terminów technicznych, bądź też dlatego, że dziennikarze pragnąc ujawnić je szerszej publiczności, popadają w styl z najgorszego romanse felietonowego”.

Słowa te czytamy w przedmowie redakcyjnej do specjalnego numeru „Esprit” (lipiec 1950), poświęconego problemowi młodzieży przestępczej. Numer ten zawiera zbiór dokumentów, przeważnie nie odnoszących się do wypadków wyjątkowych, lecz do zwykłych, gdyż zamiarem Redakcji było wydobyć zjawisko w całej jego nagości i prozie, by przemawiało swą surową, a zarazem prostą i jasną wymową. Materiały zamyka artykuł, będący próbą wszechstronnej analizy problemu.

Na dokumenty składają się raporty policji obyczajowej, zakładów poprawczych oraz listy, wyznania, pamiętniki młodocianych przestępców. Rzucają one światło na elementy socjalne przestępczości, na środowiska rodzinne delikwentów, na obciążenie dziedziczne, na przyczyny gospodarcze jak i psychologiczne i psychopatologiczne zła.

Co się tyczy artykułu, to nosi on tytuł „Co czyni społeczeństwo”, jego autorem jest Henri Michard. Artykuł ten zawiera wiele ciekawych stwierdzeń i danych porównawczych oraz ocenę prób rozwiązania problemu.

Autor stwierdza przede wszystkim, że od chwili wyzwolenia Francji przestępczość młodzieży jest na porządku dziennym. Zajmuje się nią prasa, artykuły za-

sadniczo i statystyki. W r. 1947 istniały jeszcze we Francji trzy periodyki specjalnie zajmujące się tym problemem. Książki na temat „nieszczęśliwego dzieciństwa”, „zawinionego dzieciństwa”, „dzieciństwa nienormalnego” mnożą się w rytmie prawie niepokojącym poczaszysy od rozpraw naukowych aż do utworów popularnych, na polu beletrystycznych. Nie mniej liczne pojawiają się filmy o młodzieży. Drogę otworzył Związek Radziecki arcydziełem: „Droga życia”. Francja kroczyła nią ze swymi filmami „Wieżenia bez krat”, „Królestwo Niebieskie”, „Klatka z dziewczętami”, „Dzieci zagubione na rozdrożu” i „Klatka słowicza”, Ameryka z filmami: „Urodzą się ludzie”, „Anioły o brudnych kształtach”, „Chłopcy w klatce”, Włochy z filmem „Sciusia” i Węgry z filmem: „Gdzieś w Europie”, dały też najbardziej znamienne dzieła aktualne.

Już to samo świadczy o tym, że problem przybrał na niebywałą ostrości. Świadczą również o tym kongresy krajowe i międzynarodowe, świadczy specjalna sesja studiów europejskich w Paryżu, odbyta pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych, jak również światowy kongres kryminologii, który zebrał się miał we wrześniu tego roku również w Paryżu, a który poświęcił poważną część swoich prac przestępczości młodzieży.

Jednocześnie przystąpiono do akcji czynnej. W opracowaniu są nowe kodeksy karne, nawet metody redukcji, samo pojęcie „młodocianego przestępcy” jest w trakcie modyfikacji i tracenia tego uproszczenia, jakie mu nadali prawnicy z minionego wieku, a bowiem w miarę jak się bliżej bada problem, tym bardziej staje się on skomplikowany, a nawet tajemniczy.

Oto kilkanaście cyfr.

We Francji liczba wypadków przestępstw młodocianych, które się zdarzyły w ostatnich latach, przedstawia się następująco:

1912	13 870	1943	34 781
1924	12 671	1944	23 384
1936	10.879	1945	17.578
1939	12 165	1946	28.568
1940	16 937	1947	26 841
1941	32 327	1948	27.638
1942	34.781		

Tak więc przed wojną było we Francji przeciętnie przestępstw w roku 12.000, w czasie wojny osiągnęły one punkt kulminacyjny w r. 1942 cyfrą 34 000 wypadków, w latach 1944, 1945 zaznacza się spadek, który się tłumaczy dezorganizacją sądów w momencie wyzwolenia, a wreszcie występuje dążność do stabilizacji na poziomie 26.000 wypadków. Jest to poziom zdecydowanie większy od przedwojennego.

Statystyki wykazują, że przestępstwa popełniane przez dziewczęta są około 5 razy mniej liczne aniżeli przestępstwa popełniane przez chłopców:

W r. 1946 było	23 985	chłopców przestępców	a	4.583	dziewcząt
W „ 1947 „	22 514	„ „	a	4.327	„
W „ 1948 „	23.013	„ „	a	4.625	„

Statystyki potwierdzają też sąd powszechny o tym, że środowiska miejskie są największymi ogniskami przestępców:

W r. 1946	było 6.519 przestępstw	w Paryżu,	22 049	na prowincji
W „ 1947	„ 5.826	„ „ „	21.015	„ „
W „ 1948	„ 5.698	„ „ „	21.940	„ „

Stamtąd dowiadujemy się, że okres krytyczny przestępczości zachodzi między 14 a 17 rokiem życia. Zyskujemy wreszcie interesujące wskazówki co do form, w jakich się ona wyraża. Zbrodnie zdarzają się rzadko: mniej niż 3%. U chłopców przeważa kradzież, w r. 1942 na 3.452 wyroków wydanych przez Trybunał Sekwany 2482 odnosiły się do wypadku kradzieży. W Lyonie na 188 wypadków poddanych ekspertyzie lekarskiej było 125 wypadków kradzieży (17 wykroczeń przeciwko obyczajom, 10 napaści, 4 podpalenia, 32 wypadki włóczęgostwa).

U dziewcząt złodziejstwo występuje często: 25 do 30% wypadków, lecz góruje prostytucja: 60 do 70% wypadków.

Jakkolwiek ważna jest lektura tych cyfr, umożliwia ona jednak tylko powierzchowną znajomość zjawiska przestępczości nieletnich. W sedno problemu wprowadza dopiero badanie jej przyczyn. Tymczasem się okazuje, że badania w tym zakresie znajdują się dopiero w stadium początkowym najbliższy międzynarodowy kongres kryminologii postawił sobie skromnie jako cel proste określenie metody badań.

W tym punkcie jednak autor studium radzi posługiwać się raczej terminem *czynniki* aniżeli przyczyny, ponieważ na przestępstwo składa się zespół mniej lub więcej różnorodnych elementów. Sztuczne izolowanie jednego spośród elementów sprawia np., że w wypadku danego przestępstwa oskarża się po kolei rozkład rodzinny, niepokoje, charakter, kino, prasę dziecięcą, niedorozwój umysłowy, rękę mieszkaniową, analfabetyzm, syfilizm, społeczeństwo kapitalistyczne, utratę zmysłu autorytetu lub dyscypliny. Idzie o to, że różne czynniki uzależniają się wzajemnie. Np. osobnik nie da się ani wzruszyć, ani rastraszyć, ani poprawić, czyni zło dla samego zła, z przyjemności. Rzeczą jest prawie niemożliwą odróżnić zboczenie konstytucjonalne od zboczenia nabytego, w tym drugim wypadku element socjalny odgrywał rolę naczelną. W genezie tych wypadków istnieje ścisła współzależność pierwiastka społecznego i biologicznego, inaczej mówiąc zbieżność sprzyjających okoliczności i terenu receptywnego.

W świetle ostatnich badań występuje wyraźnie przewodnia rola rozkładu rodzinnego, ujawnionego już z grubsza przez statystykę.

Krytykując w tym zakresie ustawodawstwo francuskie autor zaznacza, że sąd winien zespolic wysiłki poznawcze nie na materialności faktów, lecz na osobowości nieletniego przestępcy. Służyć mu w tym winien socjolog, lekarz, psycholog i obserwator, w ten sposób funkcje sędziego ewoluowałyby coraz bardziej ku funkcjom wychowawczym.

Co się tyczy reedukacji, to Henri Michard stwierdza, że polega ona przede wszystkim na „reklasacji socjalnej”. Przestępstwo jest prawie zawsze wskaźni-

kiem zachowania się asocjalnego, objawem chronicznej nieprzystosowalności społecznej. Trzeba więc dziecko „readaptować”, włączając je na powrót w ramy życia normalnego. Aby jednak rezultaty były trwałe, reklasacja winna iść w parze z reedukacją osobistą. Podstawą zaś takiej reedukacji jest obserwacja.

W prostych wypadkach wystarczy badanie socjalne uzupełnione badaniem lekarskim i psychologicznym. W wypadkach bardziej skomplikowanych korzysta się z tzw. przytułków („centres d'accueil”), gdzie praktykuje się bezpośrednie obserwacje nad zachowaniem się przestępcy, które uzupełnia lub cieniuje psychiatra i psycholog.

W roku 1949 były we Francji 64 takie ośrodki. Ogółem jednak rzecz biorąc metody obserwacji nie są jeszcze ściśle ustalone.

Zespół środków reedukacyjnych dzieli się schematycznie na dwa typy główne: umieszczenie w internacie i leczenie wolne („la cure libre”), to znaczy reedukacja w środowisku otwartym.

W przeciwieństwie do okresu sprzed r. 1936, kiedy to internaty były zakładem karnym z personelem takim samym, jak personel więzienny, obecnie internaty są prawdziwymi zakładami kuracyjnymi. Przyjmuje się do nich przestępców dość ciężkich, by trzeba było ich wyłączyć z ich środowiska, pozbawić częściowo wolności i poddać ciągłej akcji wyspecjalizowanych wynalazców, wspomaganych przez lekarzy i psychologów. Było ich we Francji w r. 1949 1588. Zakład nie jest najlepszym środkiem wychowawczym, lecz w systemie reedukacyjnym zajmuje on miejsce ważne.

Reedukacja w środowisku otwartym jest we Francji w stadium swej pierwszej organizacji, istnieje dopiero od r. 1945. Jej cechą dodatnią jest to, że zatrzymuje ona dziecko w jego środowisku naturalnym, że nie wymaga zerwania tak istotnej więzi jak więź rodzinna, że pozwala na korzystanie z wolności, bez której nie ma całkowitej reedukacji. Jej minus polega na tym, że wystawia ona na pokusy środowiska, nie zabezpiecza od ryzyka recydywy i nie pozwala specjalistom w wychowaniu na interweniowanie w sposób skuteczny. Stosuje się ją w wypadkach lekkich, które nie wymagają potrzeby poddania przestępcy ciągłej akcji wydawczej i których środowisko życiowe przedstawia minimum gwarancji.

Są to zresztą wypadki najliczniejsze: trzy czwarte tych, które rozpatrywane są przez sądy.

Ten system wydawczy posiada również rozmaite formy, a przede wszystkim umieszczenie w rodzinie, umieszczenie w domu półwolnym, będącym w rodzaju małego internatu w typie rodzinnym.

Na swej granicy dolnej środki reedukacji łączą się ze środkami prewencyjnymi. Różnica między dzieckiem zagrożonym moralnie, nie zdolnym do zastosowania społecznego a zdecydowanym przestępcą jest znikome. Toteż dokładna znajomość mechanizmu przestępczości nie może mieć za cel jedynie uzyskanie odpowiedniej reedukacji, lecz także — i to przede wszystkim — skuteczniejsze zapobieżenie przestępczości.

Interesujące i niezmiernie ważne wywody Henri Michard kończy następująco:

„Nie należy wierzyć, by wszystko udało się osiągnąć. Nie jest to problem wyłącznie techniczny. Zło posiada korzenie bardzo głębokie. Wydaje się, że po raz pierwszy w dziejach ludzkości przestępczość młodzieży objawia się z taką jadowitością (*virulence*). Wynika to zaś nie stąd, że po prostu nasza wrażliwość ludzi hipercywilizowanych wzrusza się tym, co pozostawiało nieczułymi naszych przodków, posiadających twardszą skórę, lecz stąd, ponieważ jest ona jedną z endemicznych chorób, na jakie cierpi nasze społeczeństwo.

Przodkowie nasi znali niewolnictwo i zarazę. My znamy wśród innych plag gruźlicę i przestępczość dzieci. W tym samym rytmie, co automobile, cywilizacja nasza fabrykuje seryjnie osobników asocjalnych. Zatem neuropsychiatra i pedagog-specjalista stają się tak niezbędni jak kierowca ruchu ulicznego lub właściciel garażu. Lecz skuteczne rozwiązanie problemu nie zależy ani od jednego, ani od drugiego.

Zależy ono od tych wszystkich, którzy zdobędą jasną świadomość, którzy zdecydują się walczyć po to, by zbudować świat, w którym człowiek będzie mógł odnaleźć swoją utraconą równowagę”. (A. R.)

PIERWSZY OGÓLNOPOLSKI KONGRES OBRONCÓW POKOJU

W dniu 1 września r.b. w Warszawie w auli Politechniki rozpoczął obrady Pierwszy Polski Parlament Pokoju przy udziale 1.300 delegatów z całego kraju i przeszło tysiąca zaproszonych gości.

Na obrady przybyli członkowie Rady Państwa z marszałkiem Kowalskim na czele, członkowie Rządu z wicepremierami Chelchowskim i Korzyckim oraz ministrami Bermanem Ochabem, Radkiewiczem i Rapackim, prezes NIK Józwiak, przedstawiciele stronnictw politycznych, związków zawodowych i organizacji społecznych. Na sali obrad obecni byli również: ambasador Z.S.R.R. Wiktor Lebiediew, ambasador Chin Ludowych Peng Ming-Chili szef misji dyplomatycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej ambasador Friedrich Wolf oraz członkowie ambasady Z.S.R.R. przedstawiciele placówek demokratycznych państw demokracji ludowej.

Wejście na salę delegacji zagranicznych powitane było burzliwymi oklaskami i okrzykami. Była więc delegacja Radzieckiego Komitetu Obronców Pokoju w osobach pisarzy Aleksandra Korniejczuka i Wandy Wasilewskiej, była delegacja Korei z ppłk. armii ludowej Kan-Bukiem na czele, dalej delegacja czechosłowacka z min. Lukaszewiczem, delegacja niemieckich bojowników pokoju z członkiem Biura Politycznego SED Franz Dahlemem na czele oraz był delegat Światowego Komitetu Światowego Kongresu Pokoju Gabriel d'Arboussier.

Otwarcia obrad dokonał przewodniczący Polskiego Komitetu Obronców Pokoju prof. Jan Dembowski, który określił zadania Pierwszego Polskiego Kongresu Pokoju. Polegały one na podsumowaniu polskich osiągnięć w walce o pokój i na wytyczeniu drogi po której pójdzie ruch pokoju w dalszej walce, na powiązaniu jeszcze ściślejszym walki o pokój z naszym wysiłkiem dla wykonania Planu 6-letniego, a tym samym z postępowymi siłami całego świata, ze Związkiem Radzieckim na czele a wreszcie na wybraniu kierownictwa polskiego ruchu pokoju oraz delegacji na II Światowy Kongres Obronców Pokoju w Londynie.

Po wyborze prezydium Kongresu głos zabrał d'Arboussier. Mówca w krótkich, mocnych słowach opisał olbrzymi sukces kampanii zbierania podpisów pod Apelem Sztokholmskim. „Rezultaty kampanii zbierania podpisów, wyrażające się dotychczas liczbą ponad 350 milionów podpisów — mówił wiceprzewodniczący Światowego Komitetu — wykazały możliwość zdobycia szerokich mas dla sprawy pokoju i skuteczności akcji przez nas przedsięwziętej. Konieczna są dalsze wysiłki do osiągnięcia celu, jaki postawiliśmy sobie — dla utrzymania pokoju.

Zdemaskowani podżegacze wojenni rozwścieczeni powtarzającymi się niepodważeniami ich zbrodniczych usiłowań, przyspieszają przygotowania do wojny. Powinni my i możemy przeszkodzić w urzeczywistnieniu tych potwornych planów.

Zwracając się następnie do delegatów d'Arboussier mówił: „Wzmocniając ze wszystkich sił wasz ustrój, tym samym wnosicie olbrzymi wkład w dzieło pokoju, nierozłącznie związanego ze sprawą postępu i szczęścia narodów.

Pomimo wściekłego wrzasku podżegaczy wojennych mamy jak najgłębszą wiarę w siły obozu pokoju. Wszędzie bowiem nowi bojownicy wstępują dziś w nasze szeregi. W Ameryce jak i w Azji, czy w Europie setki milionów ludzi staje do walki o pokój, aby zagrozić drogę wojnie”.

D'Arboussier zakończył przemówienie na cześć polskiego ruchu obrońców pokoju, na cześć światowego frontu pokoju i na cześć Państwa Polskiego, którego ustroj gwarantuje pokój i szczęście swemu narodowi.

Okrzyki te podchwycili wszyscy zebrani, gorąco oklaskując mówcę i wiwatując na cześć światowego ruchu pokoju.

Referat min. Adama Rapackiego

Referat programowy polskiego ruchu obrońców pokoju wygłasza wiceprzewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju — min. Adam Rapacki.

Stwierdzając że nie było jeszcze w Polsce ruchu, który by porwał za sobą tylu ludzi wszystkich warstw, przekonań, wierzeń i poglądów, min. Rapacki wskazał, że jest tak nie tylko w Polsce. W przodującym na świecie Związku Radzieckim 115 milionów podpisów wyraża dobitnie wolę tej pierwszej siły pokoju. Ponad 85 milionów *) podpisów zebrano dotychczas w Chinach. W krajach demokracji ludowej liczby podpisów wyrażają jedność narodów w walce o pokój. Na kapitalistycznym Zachodzie, gdzie podpis pod Apelem Sztokholmskim naraża na szykany, na więzienie, zebrano jednak dziesiątki milionów podpisów.

Nie było w świecie ruchu, który by potrafił zebrać w ciągu czterech miesięcy blisko 400 milionów podpisów ludzi, deklarujących walkę w jego szeregach, który zjednoczyłby w walce o jeden cel tylu ludzi różniących się pochodzeniem i poglądami na świat.

Nigdy jeszcze walka o pokój nie była tak masowa, tak powszechna, tak zorganizowana — w granicach państw i ponad ich granicami.

Delegaci na Kongres zgromadzili się dlatego, że stary wróg ludzkości — imperializm znów zagraża pokojowi. Mówca przypomniał, że zaledwie 11 lat temu hitlerowskie bomby zbudziły miliony Polaków długo usypianych przez faszystowską, sanacyjną politykę i propagandę. Dziś, jak co roku, ludzie myślą o przyczynach napaści, klęski i nieszczęść. Czy można przypuścić, że naród nasz mógłby lekceważyć niebezpieczeństwo wojny? Na pewno nie. Głębokim, bliskim echem odbiły się w sercach polskich wybuchy bomb wśród miast i wsi w Korei, gdzie znów taki sam imperialistyczny napastnik, dziś bliski przyjaciel tamtego sprzed jedenastu lat, wyruszył na podbój.

Polacy patrzą na politykę imperialistów amerykańskich w Niemczech zachodnich, słuchają wieści zapowiadających tworzenie przez imperialistów w Niemczech zachodnich armii pod dowództwem faszystowskich generałów, katów Polski, Francji, Ukrainy, Belgii, Białorusi, Czechosłowacji, Danii i Norwegii. Słuchając tego Polacy z zaciętymi pięściami, z nieugiętą wolą walki o pokój, z twardym postanowieniem „Nie powtórzy się”.

*) W międzyczasie cyfra ta przekroczyła 180 milionów. (Przyp. Red.).

Nikt nie może zapominać o niebezpieczeństwie dziś, kiedy furia imperialistyczni wrzeszczą o wojnie przez wszystkie mikrofony amerykańskiej propagandy.

Ale polscy obrońcy pokoju i cały naród polski wiedzą że wojna nie jest nieunikniona, nie są przejęci obawą wojny. W Warszawie 1 września 1950 r. Dętrzą się i podnoszą wyżej z każdą godziną mury domów, szkół, pracowni naukowych. 1 września wychodzą na miasto tysiące warszawiaków, aby zapaść usuwać ruiny, wydobywać z gruzu cegłę na nowe domy, nowe szkoły, nowe gmachy.

Budują nową, piękniejszą niż kiedykolwiek Warszawę — miasto pokoju. Nie tylko w Warszawie, w całym kraju szybkim, równym rytmem pracują ludzie i maszyny, bo 6 tygodni temu sejm uchwalił plan 6-letni, bo trzeba budować, produkować, tworzyć. Jest to praca na miarę pokoleń. Z okazji Kongresu wykonują swój Czyn Pokoju załogi robotnicze, gminy i gromady.

Mówca wskazał następnie, że obrońcy pokoju całego świata widzą niebezpieczeństwo wojny i nie lekceważą go, a'e nie wierzą w nieuchronność wojny. Przeciwnie, wierzą, że można narzucić pokój imperialistom. Obrońcy pokoju walczą we wszelkich warunkach bez strachu — z nienawiścią do wojny i jej siewców, w poczuciu własnej siły, z wiarą w przyszłość. Obok nieznannej w historii masowości i powszechności — ten bojowy duch ofensywy jest drugą nową cechą walki o pokój. Wielki ruch pokoju nie ma nic wspólnego z tzw. pacyfizmem. Widzi jasno przyczyny wojny i ich sprawców. Nie boi się wojny, ale jej nienawidzi. Zamiast indywidualnego biernego oporu — toczy masową zaciętą, ofensywną walkę.

Zastanawiają się nad przyczynami tego przełomu, nad źródłami wielkiego ruchu obrońców pokoju min. Rapacki wskazał kilka podstawowych prawd, które decydują o wojnie i pokoju w naszych czasach.

Pierwsza prawda: Jest świat imperializmu. Na jego czele stoi imperializm amerykański. Imperialiści amerykańscy chcą wojny. W świecie ginącego kapitalizmu, w świecie imperializmu panują prawa, które pchają do wojny. Grabież, podbój, ucisk narodów słabszych — są naturalnym przedłużeniem wyzysku człowieka, wyzysku, na którym opiera się ustrój kapitalistyczny. Coraz częstsze i głębsze kryzysy skłaniają wielki kapitał do szukania ratunku w zbrojeniach, w wojnie i podbojach.

Pokojowe współzycie z krajami kapitalistycznymi jest możliwe, jeśli się je musi do szanowania pokoju. Trzeba im narzucić pokój. Dokonać tego można przeciwstawiając im taką siłę, której nie odważą się zaczepić. Można też im uniemożliwić napad. Nie będzie przecież prowadzić wojny p. Truman na czele kilkudziesięciu tysięcy bankierów i kapitalistów. Bez mas nie poprowadzą wojny.

A masy nie mają żadnego interesu w wojnie — chcą pokoju. Ażeby je doprowadzić na wojnę, imperializm musi je najpierw oszukać. Stąd cały imperialistyczny aparat oszustwa, sieć agencji, partii.

Żeby uniemożliwić imperializmowi napaść i wojnę, trzeba chronić masy przed oszustwem, nie dać imperializmowi piechoty, której tak szuka dokoła.

Druga prawda: Jest świat zwycięskiego i budującego się socjalizmu, który potrzebuje i chce pokoju.

Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej są światem wyzwolonym spod panowania imperializmu i jego praw. W tym świecie wyzysk zniszczono albo się dobija. Tym światem rządzą ludzie, którzy chcą pokoju — ludzie pracy, którzy z tej pracy żyją i tylko w niej widzą swą przyszłość.

W samym sednie ustroju socjalistycznego i ustroju budowy socjalizmu tkwią przyczyny trwałego pokoju. Nie mogą nas skłaniać do napastniczych wojen ani rynki zbytu ani cudza ziemia, bogactwa, niewolnicze ręce robotnicze. Nie jest to nam potrzebne.

W kraju zwycięskiego socjalizmu — w Związku Radzieckim — co kilka lat, z każdym nowym planem, podwaja się produkcja. Naród jest pewien swej przyszłości, postanawia i wie, co będzie za rok, za dwa, za pięć lat.

„Tak jest w Związku Radzieckim, tak staje się w Polsce i w całej wyzwolonej części świata. Dlatego Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej są główną siłą pokoju. Dlatego Związek Radziecki jest strażą przednią obozu walki o pokój. Dlatego nazwisko Stalina jest naszym sztandarem i drogowskazem” — stwierdza z mocą mówca.

Pragnąc ukryć przed masami ludów na całym świecie pokojową istotę zwycięskiego i budującego się socjalizmu, pismacy imperialistyczni wymyślili bajkę o „wojnie ideologicznej”, w myśl której marksiści chcą rzekomo siłą zaprowadzić socjalizm na całym świecie. Mówca przypomina, że marksizm mówią o rewolucji światowej wszędzie stwierdza, iż socjalizm może powstać tylko tam, gdzie dojrzeją wewnętrzne siły, które będą zdolne go urzeczywistnić. Nie można socjalizmu przynieść z zewnątrz na bagnietach. Marksizm stwierdza również, że kapitalizm i imperializm ustąpią z powierzchni świata, ale to nie znaczy wcale, że upadając muszą koniecznie pociągnąć za sobą milionowe ofiary w katastrofie wojennej. Temu właśnie chcemy zapobiec.

Trzecia prawda: Powstanie, istnienie i rozwój świata socjalizmu pokazuje masom ludzkim, że wojna nie jest nieuchronnym losem człowieka. W ciągu drugiej wojny światowej setki milionów ludzi zaznało wszystkich okropności wojny i całego piekła panowania faszystowskiego napastnika. Setki milionów ludzi nauczyło się do głębi nienawidzić wojny i jej sprawców.

W ogniu drugiej wojny światowej Armia Radziecka, wyzwalała narody i gromiła faszyzm, rozbijała jednocześnie mur kłamstwa i oszustwa, którym przez tyle lat starali się imperialiści otoczyć Związek Radziecki. Klasa robotnicza i jej partie rewolucyjne stawały pierwsze na czele zbrojnej walki na tyłach wroga.

Przed milionami ludzi odłoniły się siły, które dziś przodują w walce o pokój, które torują przed ludzkością drogi postępu. Ludzie nie tylko widzieli, że siły te zwyciężają, ale i uczyli się rozumieć, dlaczego zwyciężają. Najlepsi — setkami tysięcy stawali do walki u ich boku.

Jeszcze w ogniu wojny ludzkość usłyszała pierwsze wezwanie do powojennej walki o trwały pokój: „Teraz najważniejszym zadaniem jest zapewnić narodom

pokój" — mówił Stalin 6 listopada 1944 r. Po wojnie miliony ludzi zobaczyły, jak dokoła Związku Radzieckiego rozwijają się niepowstrzymane nowe kraje rządzone przez lud, który nie chce i nie potrzebuje wojny. Miliony widzą rosnącą potęgę tego świata, widzą nieugiętą walkę o pokój, pokojową politykę Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej.

Czwarta prawda: Siły obozu pokoju rosną, muszą rosnąć i będą rosnąć niepowstrzymanie. Będą niepowstrzymanie rosły siły Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Dość spojrzeć na drogę przebytą i na cyfry danów. Zacieśnia się stale więź współpracy między tymi krajami, ponieważ ta współpraca oparta jest na zasadach wzajemnej pomocy.

Rosną siły pokoju w krajach kolonialnych i półkolonialnych, zaostrza się i potężnieje walka wyzwolenicza ujarzmionych i wyzyskiwanych narodów. Wzmaga się rewolucyjna walka klasy robotniczej.

Szerzy się i potężnieje ruch pokoju.

Piąta prawda: Siły obozu imperialistycznego nie mogą wzrastać poważnie i na daleką metę. Świat imperializmu dotknięty jest nieuniknionym rozkładem. Chwilowe zastrzyki koniunktury zbrojeniowej nie ulecza, lecz pogłębia na dalszą metę kryzys ustroju kapitalistycznego. Amerykański imperializm z trudem utrzymuje tzw. „jedność obozu imperializmu”. Wszystkie ustrojowe przyczyny, które prowadziły do wojen między państwami imperialistycznymi, działają dalej.

Mówca wskazuje wnioski płynące z tych oczywistych prawd:

Słusznie obrońcy pokoju widzą niebezpieczeństwo wojny, słusznie widzą jego sprawców w amerykańskich imperialistach. Słusznie obrońcy pokoju nie zgadzają się z nieuchronnością wojny — ponieważ są siły, które mogą zmusić imperialistów do cofnięcia się.

Słusznie obrońcy pokoju wierzą w przyszłość, ponieważ nie nie zdoła odwrócić ostatecznego zwycięstwa sił socjalizmu i pokoju nad siłami imperializmu i wojny.

Słusznie obrońcy pokoju, jak świat długi i szeroki, zrywają się do walki i walczą o pokój z całą żarliwością i zapałem.

Min. Rapacki stwierdził następnie, że byłoby szkodliwym upraszczaniem przypuszczenie, iż wystarczy osiągnąć jakakolwiek przewagę sił pokoju nad siłami imperializmu, aby imperialiści zrezygnowali ze swych planów. Choć można przyjąć za pewnik, że obóz pokoju już posiada przewagę sił — większą niż kiedykolwiek i stale wzrastającą — nie wystarcza to jednak, masowa bowiem walka przebiega inaczej i nie takie proste są jej prawa. Mówca scharakteryzował zachowanie się obozu imperialistycznego w obliczu stałego niepowstrzymanego wzrostu sił pokoju, przytaczając szereg najważniejszych faktów i zjawisk.

Fakt pierwszy: Wzrost zbrojeń i awanturniczych nastrojów wojennych imperializmu amerykańskiego.

Drugi doniosły fakt — wejście imperializmu amerykańskiego na drogę zbrojnej agresji, na drogę zbrojnej interwencji w wewnętrzne sprawy narodów w Korei, na Formozie, w Vietnamie.

Trzeci ważny fakt: w planach wojennych imperializmu amerykańskiego coraz większą rolę odgrywają faszystowskie i odwetowe siły Niemiec zachodnich. Otwarcie mówi się już o zbrojeniu Niemiec zachodnich. Wypowiedziało się za nim tzw. Zgromadzenie Doradze Rady Europejskiej.

Czwartym charakterystycznym zjawiskiem są narastające wahania w samym obozie kapitalistycznym.

Piąte zjawisko w rozwoju sytuacji światowej: awanturnicza politykę imperializmu amerykańskiego charakteryzuje poczucie słabości wobec mas, lęk przed narodami i przed własnym narodem, lęk przed otwartą walką ideologiczną.

Coraz trudniej imperialistom oszukiwać masy. Dlatego coraz wyraźniej wchodzi na drogę dyktatury faszystowskiej. Ale faszyzm też musi się opierać na oszustwie, które kogoś mu pozyska: drobnomieszczaństwo, część inteligencji, bogatego chłopca.

I znów przychodzi ruch pokoju i stawia sprawę prosto i słusznie — kto nie chce wojny, niech bez względu na wszelkie różnice walczy wraz z nami, obrońcami pokoju. I rośnie żaarty opór przeciw amerykańskiej faszyzacji świata kapitalistycznego.

Wobec tego — trzecie rozwiązanie: wojna bez mas, broń atomowa. Dlatego to, choć dawno rozwiała się legenda o monopolu atomowym imperialiści nie chcą przestać wierzyć w bombę atomową. Zgubna to dla nich sama wiara: ani nie mają przewagi atomowej, ani też przewaga taka nie decyduje o losie wojny. O losach wojny decyduje: ustrój, człowiek i słuszna, postępową sprawą. We wszystkich trzech punktach przewagę ma socjalizm.

Im bardziej zawodzą inne środki, tym bardziej potęguje i doskonali imperializm swój ostatni atut próby rozbicia obozu pokoju, próby oddzielenia czołówki obozu pokoju — Związku Radzieckiego, klasy robotniczej, partii robotniczej i mas... Do tego zadania imperializm amerykański montował od dawna rozległy, dobrze płatny aparat. Od wszystkich imperializmów przejął ich stałe agentury. Prawica socjalistyczna, agentura titowska, trockiści, faszyści, emigracje polityczne, zielona międzynarodówka, WRN, chadecja, siatki szpiegowskie i sabotażowe — to wszystko jest jeden centralnie kierowany aparat. Przeciwno ruchowi pokoju imperializm próbował wyzyskać skompromitowany wszędzie indziej titoizm.

Imperializm ma niejednego agenta, dobrą starą szkołę dywersji szpiegostwa i sabotażu. Dlatego konieczna jest czujność. Znaczenie Apelu Sztokholmskiego polega i na tym, że przyparł on do muru również wszystkie jawnie działające polityczne agentury imperialistów. Wszystkie one na pytanie czy są za, czy przeciw bombie atomowej, odpowiedziały gwałtowną propagandą przeciw Apelowi.

Masy wierzących uważają, że wielkim moralnym obowiązkiem człowieka jest przeciwstawiać się zbrodni. Masy wierzących walczą o pokój w szeregach naszego ruchu i na świecie, i w Polsce. W szeregach naszego ruchu walczą liczni duchowni. W Polsce ogromna większość duchowieństwa podpisała Apel Sztokholmski, a setki

księży z oddaniem pełnią funkcje organizacyjne w naszym ruchu. Łączy nas wspólna sprawa przyszłości Ojczyzny i wielka walka o pokojową przyszłość ludzkości.

Z wydarzeń i faktów, charakteryzujących zachowanie się obozu imperialistycznego w obecnej fazie walki o pokój, wypływają następujące wnioski:

Wniosek pierwszy: w obliczu niepowstrzymanego wzrostu sił obozu pokoju najbardziej zaciekle grupa imperialistów przyspiesza przygotowania wojenne. Ich polityka nosi coraz wyraźniej charakter polityki bankrutów i awanturników.

Wniosek drugi: w obliczu rosnących sił pokoju i w obawie przed rosnącym ryzykiem klęski mnożą się objawy otrzeźwienia w dość szerokich kołach kapitalistów, zwłaszcza europejskich. Mnożą się zastrzeżenia i opory wobec awanturniczej polityki imperialistów amerykańskich.

Wniosek trzeci: obóz imperializmu w obliczu przewagi i wzrostu sił pokoju różnicuje się: z jednej strony wyłania się topniejąca, ale coraz bardziej zażarta grupa awanturników, z drugiej — przeciwstawiać się jej będzie coraz szersza grupa kapitalistów, przede wszystkim w krajach opanowanych przez imperializm amerykański.

Tam i kapitaliści dotkliwie odczuwają skutki „opieki” amerykańskich panów i konkurentów.

Stały i szybki wzrost przewagi sił pokoju stworzyć może warunki, w których wszystkie sprzeczności interesów kapitalistycznych mogą znaleźć coraz silniejsze ujście w przeciwstawianiu się państw kapitalistycznych.

Wniosek czwarty: aby zapobiec wojnie, nie wystarczy „jakakolwiek” przewaga sił pokoju. Potrzebna jest decydująca przewaga, wobec której nie ośmieli się napaść nawet awanturnik.

Wniosek piąty: obok siły zwycięskiego i budującego się socjalizmu. Potężną siłą obozu pokoju jest opór mas w świecie kapitalistycznym przeciw wojnie.

Wniosek szósty: konkretnym, bojowym zadaniem ruchu obrońców pokoju — w obecnym okresie zaostrzonej walki o pokój — jest: jeszcze szybciej zmobilizować wszystkie siły mas do walki o siłę świata socjalizmu i demokracji ludowej — do walki o zadania produkcyjne. Jeszcze szybciej zmobilizować wszystkie siły mas świata kapitalistycznego do oporu przeciw imperialistycznym przygotowaniom do napaści wojennej. Jeszcze energiczniej demaskować i obracać w niwecz imperialistyczną kampanię oszustwa. Szerzyć i pogłębiać prawdę o istotnych przyczynach wojny i agresji. Wzmacniać jedność obozu pokoju na całym świecie. Zdwoić czujność wobec prób rozbicia dywersji i osłabienia obozu pokoju.

Min. Rapacki podkreślił następnie, że wyzwolony z faszystowskiej okupacji naród polski idzie szybko do lepszej, socjalistycznej Polski i jest ogniwem obozu pokoju i jedną z wysuniętych jego pozycji.

„Ale też jesteśmy jak nigdy silni: jako państwo należące do obozu pokoju i postępu, jako państwo, w którym lud ma w ręku władzę Polscy obrońcy pokoju są w położeniu o wiele szczęśliwszym niż obrońcy pokoju w krajach kapitalistycznych: oni muszą walczyć o pokój przeciw własnym rządów zaprzędanym wrogom pokoju i narodu; nasza władza ludowa jest kierownictwem i bronią narodu w walce o pokój prowadzi u boku Związku Radzieckiego politykę pokojową w stosunkach międzynarodowych.

Jesteśmy również silni naszą gospodarką narodową, rozwijającą się według planu.

Polscy obrońcy pokoju mają przed sobą Plan 6-letni — konkretny program produkcyjnej walki o pokój, o siłę i obronność Polski Ludowej. Plan 6-letni ma nie tylko wewnętrzne, ale i międzynarodowe znaczenie, potęgując wkład Polski do ogólnych sił pokoju.

Pierwszym obowiązkiem obrońców pokoju jest wykonać i walczyć o wykonanie Planu 6-letniego. Nie znaczy to tylko pracować według planu — wykonywać normy. Walką o pokój jest praca zażarta, wykonywana z zapałem, z nieustanną myślą o jej znaczeniu dla Ojczyzny i dla milionów ludzi na świecie — praca wykonywana ze zrozumieniem wagi każdej godziny w wyścigu między siłami pokoju i awanturnictwem wojennym imperializmu.

Byłoby błędem sprowadzać walkę o pokój tylko do zadań produkcyjnych. Również w domu, w dzielnicy wielkiego miasta, we wsi, miasteczku, osiedlu — toczy się walka polityczna o pokój. I tam dociera łatwiej niż gdzie indziej wróg pokoju i Polski Ludowej. A jednocześnie nie tam kryją się wielkie niewyzyskane rezerwy ruchu pokoju. Wiele kobiet gospodyń domowych stanęło do akcji w czasie Apelu Sztokholmskiego a potem z ogromnym rozmachem wystąpiły na zebraniach wyborczych. A jeszcze setki tysięcy nowych aktywistek i aktywistów ruchu pokoju stanęły w naszych szeregach.

Polski ruch obrońców pokoju sięga już szeroko: potrafił zebrać 18 milionów podpisów pod Apellem Sztokholmskim skupiając w tej akcji 700 000 aktywistów, w większości bezpartyjnych w bardzo dużej części kobiet. Ponad 4 miliony obywateli wzięło udział w zebraniach wyborczych.

Apel Sztokholmski był stwierdzeniem jedności narodu polskiego w woli pokoju. Powinniśmy my każdego, kto chce pokoju, przekształcić w żołnierza-bojownika pokoju.

Powinniśmy jedność narodu w woli pokoju przekształcić w ogólnonarodowy bojowy front pokoju.

Mamy przed sobą Światowy Kongres Pokoju. Niech będą gotowe Komitety Obrońców Pokoju do wykonania jego uchwał. Niech będą gotowi do ich wykonania polscy obrońcy pokoju”.

Kończąc mówca stwierdza:

„Na całym świecie i w każdym jego zakątku wola setek milionów ludzi stała się do walki przeciwko imperialistycznym prawom wojny, ucisku i grabieży.

Wszystko, co ludzkość ma w tych wielkich czasach najlepszego — wszystkie siły socjalizmu i postępu, siły klasy robotniczej i mas pracujących, siły wszystkich uczciwych i dzielnych ludzi wzmagają się w tej walce.

Być obecnym w walce — spełnić swój obowiązek — a przede wszystkim zwyciężyć — to punkt honoru osobistego i narodowego, to słuszny przedmiot najszlachetniejszej dumy narodowej polskich obrońców pokoju.

Jesteśmy oddziałem światowej armii pokoju

Z nami słuszna, wielka i piękna sprawa.

Z nami niezwykła potęga całej postępowej ludzkości.

za pokój, za Ojczyznę — naprzed!”

Dalszy ciąg obrad Kongresu w pierwszym dniu.

Zjawienie się na trybunie Aleksandra Korniejczuka wywołało długotrwałą owację na cześć Stalina. W słowach, pełnych uniesienia i wiary w zwycięstwo sił światowego obozu pokoju, znakomity literat radziecki mówił o milionach ludzi zjednoczonych w świętej walce o pokój na świecie, o przyjaźni między narodami przeciwko handlarzom krwi. Mówca z uznaniem podkreślał olbrzymi wkład narodu polskiego w dzieło utrwalenia pokoju.

Duże wrażenie wywołała ta część przemówienia, w której Aleksander Korniejczuk przestrzegł przed niedocenianiem wrogich pokojowi sił obozu imperialistycznego.

Z drugiej strony milionom ludzi, którzy wierzyli w sławną amerykańską demokrację, otwierają się oczy na to, do czego zdolny jest imperializm. W ciągu pierwszych dziesięciu dni wojny w Korei 100 milionów ludzi podpisało Apel Sztokholmski.

Delegaci owacyjnie oklaskiwali przemówienie Aleksandra Korniejczuka, który stawiał zadanie stałego wzmagania wysiłków wszystkich obrońców pokoju w aktywnym działaniu przeciwko podżegaczom wojennym.

Niebawem radosne dźwięki fanfary młodych harcerzy-trębaczy skupiły uwagę Kongresu.

Ze wszystkich stron szły ku prezydium dziesiątki, setki roześmianych radosnych dzieci. Niosły one olbrzymi, biało-czerwony sztandar. Była to delegacja uczniów i uczennic wszystkich klas warszawskich szkół podstawowych. Wzruszeni delegaci witali przedstawicieli najmłodszego pokolenia niemilknięcymi okrzykami na cześć młodzieży. Na trybunę weszła 12-letnia uczennica szkoły TPD Nr 1 Gracyna Filipczak. Wzruszonym głosem pozdrowiła ona delegatów w imieniu dzieci. Był to bardzo podniosły i wzruszający moment I Polskiego Kongresu Pokoju.

Po przerwie toczyła się dyskusja nad referatem wiceprzewodniczącego Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, min. Rapackiego, w której m. in. udział wzięli: artysta scen polskich, Aleksander Zelwerowicz, kompozytor Andrzej Panufnik, profesor Jarosław Iwaszkiewicz, ks. Dąbrowski z Wrocławia i rektor Stanisław Kulczyński.

Drugi dzień obrad.

W drugim dniu obrad Kongresu głos m. in. zabrali: Wanda Wasilewska, Franz Dahlem, ks. Antoni Lemparty, Wojciech Żukrowski i Wojciech Kętrzyński.

Znakomita powieściopisarka, witana owacyjnie przez zebranych, powiedziała m. in.:

„Nie chcemy ani atomowej bomby, ani żadnej innej bomby, nie chcemy jej rzucać na nikogo, nie pragniemy zdobyć, nie pragniemy cudzych, dalekich ziem, nasze kraje mają dość ziemi własnej i nasze kraje mają dość pracy, budując własne szczęście — byśmy chcieli się wtrącać w cudze sprawy, w interesy innych narodów lub innych państw.

Chcemy jednego — aby na nas nie rzucono bomb atomowych, nie chcemy ginąć nie tylko od bomb atomowych, nie chcemy ginąć od żadnych bomb, nie

chcemy ginąć nawet od zwykłych kul karabinowych. My ohoemy żyć dlatego, że jesteśmy narodami twórców, narodami wierzących w życie, narodami kochającymi życie, narodami, które czują, które rozumieją, że idą po wspaniałej, wielkiej, pięknej drodze ku powszechnemu szczęściu".

Franz Dahlem wzruszonym głosem przekazał pozdrowienia polskim obrońcom pokoju od niemieckich działaczy pokojowych i podziękował za zaszczyt, jakim było dla nich zaproszenie na polski Kongres. „Zdajemy sobie sprawę — mówił stary niemiecki rewolucjonista — z jakimi uczuciami wspominacie dzisiaj najazd hitlerowskich faszystów na Polskę. Dlatego też zapewniamy Was, że już nigdy nie nastąpi od wschodnich granic Niemiec agresja przeciw Polsce, Związki Radzieckiemu i innym narodom". „Przyjaźń między Polską Ludową i Niemiecką Rep. Demokratyczną została przypieczętowana ustaleniem granicy na Odrze i Nysie jako granicy pokoju".

Zebrani oklaskami powitali ukazanie się na trybunie ks. Lempartego przewodniczącego Zarządu Głównego „Caritas".

Cytując św. Pawła i ewangelistów mówca wskazał, że idea obrony pokoju jest jedną z najszczytniejszych prawd nauki katolickiej. To właśnie jest przyczyną, że w szeregach obrońców pokoju nie braknie również księży patriotów, którzy m. in. brali aktywny udział w pracy „trójek" pokojowych. Wspólnie z przedstawicielami wszystkich środowisk naszego narodu obradują oni na tej sali nad sposobami walki przeciwko podżegaczom wojennym. Widzimy — mówił ks. Lemparty — że obraliśmy słuszną drogę, ponieważ imperialiści zagrażają pokojowi, bombardując miasta i wsie Korei. Ale jednocześnie nie odwracamy oczu od Zachodu, gdzie imperialiści uzbrajają narody do nowej bratobójczej wojny.

Z entuzjazmem podkreślił ks. Lemparty, że podczas gdy przodownicy pracy meldują o swych osiągnięciach, szeregi księży patriotów, aktywnych bojowników o pokój, rosną z każdym dniem, ponieważ przyłączają się do nich ci kapłani, którzy najbardziej ukochali lud i są przywiązani do Polski Ludowej.

Wojciech Żukrowski zwrócił uwagę na antypokojową działalność reakcyjnej części emigracji polskiej oraz na próby szerzenia dywersji w naszym kraju z ich strony. Drogą kłamliwej szeptanej propagandy obóz reakcji stara się wytwarzać w kraju stan niepewności i osłabiać twórcze siły naszego narodu. W tej sytuacji obowiązkiem pisarza polskiego jest aktywna walka, agitacja na rzecz nowego, wspaniałego, twórczego życia. „Broń w walce o pokój mamy wspierała — jest nią Plan 6-letni" — zakończył Wojciech Żukrowski i w tej samej chwili w całej sali rozbrzmiał okrzyk: „Niech żyje Plan 6-letni".

Charakter zasadniczy posiadało przemówienie red. Wojciecha Krzyńskiego.

Powiedział on, że walka o pokój sięga po najszlachetniejsze uczucia, jakie człowiek w sobie nosi. Propaganda wojny, agresji, imperializmu szerzy bestialstwo, zawiść, ślepą nienawiść.

By opowiedzieć się po stronie obozu wojny, trzeba zaprzedać, zagubić własne człowieczeństwo. By walczyć w obozie pokoju, trzeba tylko uświadomić sobie

bezpieczeństwo wojny i uświadomić sobie ogrom odpowiedzialności, jaki ciąży na każdym z nas, za odsunięcie śmierci i cierpień od milionów niewinnych ludzi.

Istnieją na świecie różne przekonania, różne światopoglądy, różne religie. Każdy, w zależności od tego, w co wierzy i co głosi, po swojemu ocenić może środki i cele polityczne we współczesnym świecie. Czasy nasze bardziej niż kiedykolwiek przedtem domagają się od każdego człowieka pogłębienia i konsekwentnego realizowania swej postawy ideowej. Na cele działalności pokojowej, na środki utrzymania pokoju, na metody zwalczania podżegaczy wojennych mogą i będą ludzie patrzeć rozmaicie. Niemniej obrona pokoju jest wspólnym zadaniem wszystkich uczciwych ludzi i w Ruchu Obrońców Pokoju znajdzie swe miejsce każdy, bez względu na swe przekonania, byleby uczciwie i konsekwentnie chciał o pokój walczyć.

Przez wzgląd na ten dogłębnie ludzki i moralny nakaz walki o pokój — sprawa ta powinna być specjalnie bliska masom katolickim, które przykazania miłości bliźniego stawiają na pierwszym miejscu swego światopoglądu. Być katolikiem, być prawdziwym katolikiem, to jeszcze jeden argument więcej, to decydujący argument dla wzmożenia udziału w światowej akcji w obronie pokoju. Nie wznosić udziału w tej akcji, to sprzeniewierzyć się świadomie czy też nieświadomie głoszonemu zasadom, to zaprzeczyć naczelnemu przykazaniu chrześcijańskiej miłości.

W historii Polskiego Ruchu Obrońców Pokoju katolicy mają swój wkład: Od chwili uchwalenia w Sztokholmie apelu przeciw bombie atomowej wiele już zostało zrobione, by przeciwstawić się na tym odcinku propagandzie wojennej, by zmobilizować do walki o pokój cały potencjał sił katolickich. W okresie propagandy Apelu trzeba było przezwyciężyć wiele przesadów, wiele nieufności, wiele nieporozumień. Trzeba było znaleźć argumenty i trafić do tych, którzy są jeszcze czuli na płynącą z Zachodu propagandę podżegaczy wojennych. Wyniki akcji — miliony podpisów, udział znacznej większości duchowieństwa, akces Episkopatu polskiego, liczne i zdecydowane pokojowe demonstracje katolików świeckich dowodzą, że potrafiliśmy pokonać trudności.

Niemniej błędem by było spoczywać na laurach. Wiele nam jeszcze pozostaje do zrobienia i trzeba dziś postawić sobie zadanie uaktywnienia w ramach tak pięknie rozwijającego się w Polsce Ruchu Obrońców Pokoju jak najszerszej kadry uczciwie myślących katolików zdolnych do stałego oddziaływania w duchu pokojowym na swoją społeczność, zdolnych do godnego reprezentowania w tym ruchu katolickiego stanowiska w sprawach wojny i pokoju.

Musimy sięgnąć do szerokich mas świeckich katolików. Któż bardziej niż zwykły polski wierzący obywatel, wprzęgnięty w codzienną twórczą pracę, troszczący się o dom, o rodzinę, biorący udział w życiu społecznym własnego narodu, który jest bardziej od niego kwalifikowany do zabierania głosu i bronięcia wśród współwyznawców sprawy pokoju?

W czasie obrad wkraczały na salę delegacje poszczególnych załóg fabrycznych z meldunkami o wykonaniu zobowiązań podjętych dla uczczenia Kongresu.

Uchwały Kongresu.

Jednomyślnie przyjęty został projekt Uchwały I Polskiego Kongresu Pokoju oraz lista kandydatów na członków Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju i lista delegatów na II Światowy Kongres Pokoju. Na tej ostatniej liście znalazły się m. in. następujące nazwiska: Jerzy Andrzejewski, rektor Kazimierz Ajdukiewicz, Zb. Bienkowski, ks. proboszcz Capecki, prof. Ludwik Hirszfeld, rektor Stanisław Kulczyński, Leon Kruczkowski, Wojciech Kętrzyński, ks. Antoni Lemparty, Zofia Nałkowska, ks. proboszcz Z. Pasternak i Jan Parandowski.

Zamykając obrady I Polskiego Kongresu Pokoju, przewodniczący Jerzy Putrament podkreślił, że Kongres wykazał jedynomyślność Narodu Polskiego w dążeniu do utrwalenia pokoju na całym świecie.

Mówca wezwał delegatów, aby stali się nieustrudzonymi orędownikami ruchu pokoju wśród całego społeczeństwa, i zakończył okrzykiem na cześć Światowego Ruchu Obrońców Pokoju, po czym zebrani odśpiewali hymn narodowy: „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Międzynarodówkę”.

Należy wspomnieć, że w ramach uroczystości Kongresowych w drugim dniu obrad odbyła się wielka manifestacja 100 000 mieszkańców stolicy, którzy zebrali się na placu przed Politechniką, by powitać delegatów z całej Polski i z zagranicy, oraz by dać wyraz uczuciom i woli ludności Warszawy. W niedzielę natomiast, dnia 3 września odbyła się na stadionie W. P. w Warszawie wielka impreza pod nazwą „Apel sportowców na I Polski Kongres Pokoju”. Stadion W. P. wypełnił się tysiącami widzów, którzy wraz z występującymi na bieżni i boisku sportowcami manifestowali wolę walki o pokój.

Tegoż dnia w sali Rady Państwa wiceprzewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju min. Rapacki udekorował w imieniu Prezydenta R. P. tych spośród odznaczonych, którzy uczestniczyli w obradach I Polskiego Kongresu Pokoju. Pomiedzy nimi ks. Stanisław Owczarek odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi, a Srebrnym Krzyżem ks. Rajmund Butrymowicz (po raz drugi), ks. Jan Gałęza, ks. Stanisław Grabowski, ks. Bolesław Kalinowski i ks. Stefan Kotwarski.

RZĄD POLSKI WZYWA EPISKOPAT

do zorganizowania na Ziemiach Zachodnich stałych diecezji kościelnych

Urząd do Spraw Wyznań przesłał w dniu 23 X na ręce sekretarza Episkopatu — ks. biskupa Z. Choromańskiego — następujące pismo:

„Porozumienie między przedstawicielami Rządu RP i Episkopatem z dnia 14 kwietnia br. w sposób jasny i niedwuznaczny ustala w punkcie 3, że na Ziemiach Odzyskanych zamiast dotychczasowych administratorów diecezji winni być biskupi ordynariusze, a zamiast tymczasowych administratorów parafii — proboszczowie, podobnie jak na innych terenach Państwa Polskiego.

Od czasu zawarcia Porozumienia minęło przeszło 6 miesięcy. W czasie tym podpisany został układ między Rządem RP a Rządem Niemieckiej Republiki Demokratycznej, dotyczący wytyczenia istniejącej granicy na Odrze i Nysie. Układ ten jest formalno-prawnym przypieczętowaniem faktu przynależności po wieczne czasy Ziemi Odzyskanych do Polski.

Równocześnie wszelkie rewizjonistyczne, antypolskie, hitlerowskie i imperialistyczne czynniki wszczęły — w ramach swej obłędnej nagonki wojennej — zbrodniczą kampanię przeciwko naszej granicy zachodniej, nasilała ją coraz gwałtowniej i wiążąc z remilitaryzacją Niemiec zachodnich,

Nie bacząc na to, Władze Kościoła Katolickiego, miast przyśpieszyć realizację swego uroczystego zobowiązania, nadal utrzymują na odcinku kościelnym stan tymczasowości na Ziemiach Odzyskanych. Taka postawa narusza umowę i jaszkrawo koliduje z interesem państwowym i narodowym Polski i jest na ręce tylko czynnikiem antypolskim i wszelkim siłom agresji i podżegania do wojny.

Ponieważ nic nie może stać na przeszkodzie pełnej stabilizacji prawno-politycznej na Ziemiach Zachodnich, Rząd RP nie zamierza dłużej tolerować na terytorium Państwa Polskiego takiego stanu rzeczy i wzywa Episkopat Polski do zlikwidowania obecnego stanu tymczasowości stanowisk kościelnych na Ziemiach Zachodnich, podkreślając z naciskiem, że zasłanianie się względami formalnymi w sprawie tak istotnej wagi nie stanowi żadnego usprawiedliwienia.

*

W związku z powyższym Redakcja „Życia i Myśli” pozwala sobie zwrócić uwagę na zamieszczony w nr 3—4/50 artykuł wstępny, który też apelował do Episkopatu o zorganizowanie na Ziemiach Zachodnich stałych diecezji kościelnych.

LIST OTWARTY

UCZONYCH I PISARZY KATOLICKICH W POLSCE DO INTELEKTUALISTÓW I DZIAŁACZY KATOLICKICH WE FRANCJI

Na ręce *ks. Boisselot, ks. Chaillet, Henri Daniel-Rops, J. M. Domeneche, Stanislas Fumet, ks. Gabel, Etienne Gilson, ks. de Lubac, Jacques Maritain, ks. Maydiou, ks. Montuclard, ks. Riquet.*

Panowie! Bezpośrednie niebezpieczeństwo zagraża ludzkości.

W imię polityki agresji i wojny realizuje się dziś próba wskrzeszenia niemieckiego militarizmu.

Koła dążące do nowej wojny chcą uczynić z Niemiec zachodnich główną narzędzie agresji. Dlatego popiera się tam oficjalnie ideologię odwetu, odbudowy „Trzeciej Rzeszy”. Dlatego pozwala się i zachęca, by przywódcy polityczni w Bonn by magnaci stali i generałowie Hitlera znów przemawiali dobrze znanym językiem wojny i odwetu.

Zwracając się do Was nie przesadzamy niebezpieczeństwa. Nie głosimy nie nawici nacjonalistycznej ani też szowinistycznych haseł. Z całego serca pragniemy współtworzyć ład, który by wykluczał wojny, niesprawiedliwości, wyzysk społeczny. Wychowujemy własne społeczeństwo w poczuciu, że po przezwyciężeniu hitleryzmu naród niemiecki zdolny jest do uczestnictwa we wspólnocie ludów pokojowych i twórczych. Niemcy Demokratyczne wyrzekły się wszelkich roszczeń zagrażających pokojowi sąsiednich narodów. Na granicy pokoju między Niemcami a Polską, na Odrze i Nysie, przedstawiciele Niemiec Demokratycznych i Polski podali sobie ręce i poprzysięgli w braterskiej współpracy wyrównać lata krzywd i nieszczęść, których naród polski doznał od hitleryzmu. Niestety, nie zostało zrobione w Niemczech zachodnich, by unicestwić zbrodniczy posiew hitleryzmu. Niestety, czyni się tam wszystko, by hitleryzm odrodzić. Odbudowuje się niemiecki przemysł wojenny kosztem przemysłu krajów Europy. Działacze hitlerowscy cieszą się nie tylko pełną swobodą działania, lecz powierzone im są wysokie odpowiedzialne stanowiska państwowe. Generał Guderian, ten sam, który wydał rozkaz zrównania z ziemią naszej stolicy Warszawy, który usiłował również zniszczyć Paryż, organizuje dziś w ukryciu nowy odwetowy Wehrmacht. Generałowie Rundstedt, Manteuffel, Schwerin. Student — odpowiedzialni za najstraszniejsze zbrodnie popełniane na ludności cywilnej na wschodzie i na zachodzie Europy — są dziś z honorami przywracani do wysokich funkcji i godności. Oni to przygotować mają piechotę niemiecką do nowych podbojów.

Katolicy Francji! Szykuje się nowa agresja na nasz i na Wasz kraj. My, katolicy polscy, apelujemy do Waszych sumień i do Waszego rozsądku. Współ-

nym, ze wszystkimi ludźmi dobrej woli na świecie, solidarnym wysiłkiem możemy zapobiec grożącemu nieszczęściu i nie dopuścić do straszliwych w konsekwencjach katastrof.

Apelujemy do opinii publicznej katolickich środowisk francuskich, których odwagę i dalekowzroczność znamy i cenimy.

Apelujemy do duchowieństwa Francji, do katolickiej prasy i do katolickich społecznych organizacji masowych, by użyły całego swego wpływu i zmobilizowały wszystkie siły dla zdecydowanego przeciwstawienia się niebezpieczeństwu, które zagraża tak drogo okupionemu pokojowi Europy.

Apelujemy, byście wspólnie z nami walczyli o pokój dla naszych krajów dla świata.

Apelujemy, byście wspólnie z nami walczyli przeciw remilitaryzacji Niemiec.

Mamy nadzieję, mamy pewność, że Wy, Panowie, podzielnicy nasze stanowisko. Tradycyjna, odwieczna przyjaźń łączy naród francuski z narodem polskim. Lecz jeżeli zwracamy się dziś za pośrednictwem Panów do ogółu katolików francuskich, to nie dlatego tylko, że jesteście reprezentantami Francji, również my dotkniętej wojnami niemieckiego militarizmu. Zwracamy się do Panów, ponieważ jesteście przedstawicielami myśli i sztuki francuskiej, tych dwóch dziedzin francuskiego ducha, które niejednokrotnie zaważyły w dziejach Europy i świata. Wasze słowa i stanowisko znaczą wiele i mogą mieć wielki wpływ na bieg wydarzeń. Oczekujemy z nadzieją, że Wy, Panowie, zabierzecie głos, aby autorytet swej wiedzy i swego talentu rzucić na szalę wielkiej sprawy pokoju między narodami.

Ks. Stefan Biskupski, prof. Uniw. Warsz., red. nacz. miesięcznika „Ateneum Katolickie”. Ks. Piotr Chojnacki, prof. Uniw. Warsz. Władysław Czapliński, prof. Uniw. Wrocław. Jan Czekanowski, prof. Uniw. Poznań. Członek Polskiej Akademii Umiejętności. Dr Kazimierz Szwarzenberg-Czerny, Ks. Jan Czuż, dziekan Wydziału Teologii Katol. na Uniw. Warszawskim. Ks. Eugeniusz Dobrowski, dr Nauk Biblijnych. Jan Dobraczyński, literat. Antoni Gołubiew, literat. Paweł Jasienica, publicysta. Ks. Aleksy Klawek, dziekan Wydz. Teol. na Uniw. Jagiell. w Krakowie. Ks. Kazimierz Kłusak, wykł. Uniw. Jagiell. w Krakowie. Kazimierz Kumaniecki, prof. Uniw. Warsz., członek Polskiej Akademii Umiejętn. Dr Stanisław Łoś. Jan Parandowski, prof. K. U. L. Ks. Antoni Pawłowski, prof. Uniw. Warszawskiego, regens Sem. Warszawskiego, Bolesław Piasecki, redaktor naczelny tygodnika „Dziś i Jutro”. Dr Aleksander Rogalski, literat. Jan Sajdak, prof. Uniw. Poznańskiego, członek P. A. U. Stefania Skwarczyńska, prof. Uniw. Łódzkiego. Tadeusz Lehr-Splawiński, prof. Uniw. Jagiellońskiego. Członek Polskiej Akademii Umiejętności. Dr Stanisław Stomma, red. mies. „Znak”. Dr Mieczysław Suchocki, redaktor. Jerzy Turowicz, redaktor nacz. „Tygodnika Powszechnego”. Zygmunt Wojciechowski, prof. Uniw. Pozn., członek Polskiej Akademii Umiejętności, redaktor mies. „Życie i Myśl”. Andrzej Wojtkowski, prof. K. U. L. Ks. Inf. Józef Zalewski, prezes Lub. Tow. Naukow. Wojciech Zukrowski, literat. Ks. Mieczysław Żywczyński, prof. K. U. L.



Okladkę opracował *A. Krakowski*

Komitet Redakcyjny: przewodniczący — *Tadeusz Lehr-Spławiński*
członkowie — *Włodzimierz Głowacki, Zdzisław Jaroszewski, Zdzisław Kaczmarczyk, Alfons Klafkowski, Aleksander Rogalski, Michał Szczaniecki, Mieczysław Suchocki, Zygmunt Wojciechowski i Seweryn Wyśtouch.*

Redaktor: *Zygmunt Wojciechowski*; zast. redaktora: *Mieczysław Suchocki*
sekretarz redakcji: *Aleksander Rogalski.*

REDAKCJA i ADMINISTRACJA „ŻYCIA i MYŚLI” — INSTYTUT ZACHODNI
POZNAŃ, CHEŁMONSKIEGO 1, m. 7/8. TELEFON 66-14

Prenumerata „Życia i Myśli” w r. 1950 — 800.— zł, wraz z przesyłką
PKO Nr V. PPK „Ruch” 67-18 (na „Życie i Myśl”) — wysyłka za uprzednią wpłatą.

Druk. Uniw. Pozn. 23.8.50 — 31.10.50. — Zam. 858/4 — Nakł. 3000. K-1-11494

W. S. P.

w

Gdańsku

C-II 56

FWH 3105/Gk-Gd./30